



SIECI

**WILDSTEIN:
WOLNOŚCI
MEDIÓW
ZAGRAŻAJĄ DZIŚ SĄDY**

**KS. ISAKOWICZ-ZALESKI:
O CO WALCZĄ
ORMIANIE**

**UJAWNIAMY
JAK DZIAŁAŁA SZAJKA
DZIENNIKARZY SZANTAŻYSTÓW**

GORZKI BILANS REWOLUCJI:

**ŁUKASZENKA
KONTROLUJE BIAŁORUŚ,
ROSJA KONTROLUJE
ŁUKASZENKĘ**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 42 (411) 2020
12-18 października 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

EPIDEMIA - FAZA DRUGA

JAK TO ZATRZYMAĆ?

**O DRAMATYCZNYCH WYBORACH STOJĄCYCH PRZED POLSKĄ
PISZĄ JAN ROKITA I MACIEJ PAWLICKI**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
4 2
9 772544 269007



POLSKI KOMPAS 2020

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania
na **gb.pl** oraz na:



Pobierz darmowe
e-wydanie



ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
NAJLEPIEJ WYKAZUJĄCY W POLSCE

PATRONAT HONOROWY:



PARTNER ZŁOTY:



PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNER:



PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



Hienowate zagrania

Media brytyjskie, francuskie, włoskie, amerykańskie, japońskie, greckie, hiszpańskie, brazylijskie, szwedzkie i we wszelkich innych możliwych krajach, regionach, w każdym żywym języku, publikują co jakiś czas listy osób, które zmarły wskutek zakażenia koronawirusem. Długie listy.

Nie ma tu dla nas znaczenia, czy byli to seniorzy, osoby w słabej kondycji zdrowotnej, czy też tacy, których nic wcześniej nawet nie bolało. Bo każda ofiara to czyjaś tragedia. I co najważniejsze – nikt nie znalazł sposobu na jej uniknięcie. Można sobie z epidemią i jej skutkami radzić lepiej, można gorzej – ale żaden rząd ani żadni eksperci nie mają cudownych maseczek, gotowej szczepionki, recepty na pokonanie tego paskudztwa.

Jest oczywiste, że bez względu na przyjętą strategię koszty społeczne i gospodarcze są duże, zwykle nawet nie w pełni ujmowane w oficjalnych statystykach. Cierpią też nasze rodziny, wspólnoty religijne, nie możemy w pełni realizować wielu pasji i planów.

To wszystko zwiększa społeczną nerwowość.

Jednak życie toczy się dalej.

Niemieckie media realizują reportaże z Majorki, martwiąc się o tamtejszy przemysł turystyczny pozbawiony dopływu gości z Niemiec. W Monheim w Niemczech 7 października otworzono instalację artystyczną – fontanny na rondzie. Zabawka kosztowała miasto 600 tys. euro. A ludzie w tym czasie umierają.

Szwedzka Akademia Noblowska przyznała nagrody w dziedzinie medycyny, ale też z literatury. Czytają poezję, a ludzie umierają.

Francuski prezydent Emmanuel Macron cieszy się właśnie z wyniku referendum w Nowej Kaledonii, które oznacza utrzymanie tego zamorskiego terytorium przy Republice. A ludzie w Paryżu umierają.

Odbывают się rozgrywki sportowe, pewnie i Tusk kilka meczyków obejrzał.

Innymi słowy, ludzkość stara się żyć pomimo trudności, stara się cieszyć z wielu wydarzeń, trwają też polityczne zapasy, odbywają się wybory.

Jednak nikomu z tych wszystkich liderów, żadnemu rządowi, pan Tusk, w końcu figura dziś międzynarodowa, nie rzucił w twarz tak pogardliwego wpisu, jak to uczynił wobec rządu polskiego.

„Duda radośnie komentuje sportowe wydarzenia, uśmiechnięty Morawiecki ogłasza kolejne sukcesy, Kaczyński schował się w nowym gabinecie. Wirus zabił prawie trzy tysiące Polaków i zabija dalej. Zaraza” – napisał.

Nikommu. Ani Niemcom, ani Francuzom, ani Czechom. Choć wszyscy starali się i starają żyć normalnie, tak samo jak próbowali i próbują Polacy.

Pan Tusk wie, że tam opinia publiczna uznałaby ten rodzaj turbopopulizmu za żenujący. Dlatego tylko Polakom i tylko po

polsku go serwuje. Zastanawiałem się, czy i w temacie koronawirusa Donald Tusk postawi na hienowatość. Zrobił to.

Ale przecież problem jest szerszy. Opozycja wyraźnie uznała, że totalność w sprawie epidemii, frontalne i populistyczne zaatakowanie rządu w tym obszarze to jej jedyna szansa. Za nami już atak na premiera za to, że późną wiosną, gdy spadały wskaźniki zakażeń, śmiało zachęcił Polaków do optymizmu, do ostrożnych wakacji – co uratowało zdrowie psychiczne wielu rodzin i potężny sektor naszej gospodarki.

Warto zatem opozycji przypomnieć, że to ona sama chciała, żądała, proponowała, by kampania i wybory prezydenckie odbywały się właśnie teraz – jesienią. Bo jej zdaniem wtedy – w maju – koperty były zabójcze, a wybory miały zabijać.

Strach pomyśleć, co byśmy mieli, gdybyśmy poszli tym tropem. Z dwójga złego niech Tusk siedzi daleko i stamtąd wbija swoje internetowe szpile. Mimo wszystko, od kiedy się wyprowadził, sprawy w kraju idą dużo lepiej.

Michał Karnowski




32
Iwulscy na służbie
Marek Pyza

43
Gramy do jednej bramki
dodatek sportowy

49
Fake – plaga naszych czasów
dodatek specjalny

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 10 SORRY MNIE BITE**
Krzysztof Feusette
- 11 COVIDOWA BEZDUSZNOŚĆ**
Dorota Łosiewicz
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 PANI BARLEY ZARZĄDZA GŁODÓWKĘ**
Jan Pietrzak
- 15 KNEBEL DLA DZIENNIKARZY**
Bronisław Wildstein
- 16 WALIZKA KAROLINY PAJĄCZKOWSKIEJ**
Michał Korsun
- 17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19 CYFROWA TRANSFORMACJA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 NIEBEZPIECZNA BEZSIŁNOŚĆ**
Jan Rokita
- 25 DRUZGOCĄCA PANDEMIA MANIPULACJI**
Maciej Pawlicki

KRAJ

- 28 RZĄD JAK W SYSTEMIE PREZYDENCKIM**
Stanisław Janecki
- 30 EDUKACJA NA FRONCIE**
Konrad Kołodziejcki
- 32 IWULSCY NA SŁUŻBIE**
Marek Pyza
- 35 Z KACPREM PŁĄŻYŃSKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska
- 38 DZIENNIKARZ CZY SZANTAŻYSTA?**
Wojciech Biedroń
- 40 Z JACKIEM PAŁKIEWICZEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowski

OPINIE

- 57 WERBALNE WYKOLEJENIE**
Aleksandra Rybińska

ŚWIAT

- 62 GORZKI BILANS REWOLUCJI**
Marek Budzisz
- 66 ZWIĄZEK ORMIAN Z ROSJĄ TO WYBÓR MNIEJSZEGO ZŁA**
Jakub Augustyn Maciejewski

SIECI KULTURY

- 69 HIOB W CZASIE ZARAŻY**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 74 Z JERZYM KALINĄ**
rozmawia Goran Andrijanić
- 78 ZACZYNAMY OFENSYWĘ**
Robert Tekieli
- 79 WOJNA ŚWIATÓW**
Robert Tekieli
- 80 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

- 82 MOJE SMAKI: JABŁKA W PRZEPISACH GWIAZD**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 JEST CORAZ DZIWNIEJ**
Hanna Karp
- 86 DZIENNIKARSKA WIARYGODNOŚĆ**
Alina Czerniakowska
- 87 FELIETONY**
Lech Makowiecki
- 87 Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska
- 88 NASZE MIEJSCE W HISTORII**
Jan Pospieszalski
- 89 I KIEDY ZŁOTEM PAŹDZIERNIKA OCZAROWANI...**
Leszek Długosz
- 90 WYOBRAŹNIA W SZAFIE**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

RMF_{FM}

Numer 1

wśród opiniotwórczych
stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Najważniejsze słowa padają o **8:02** w RMF FM



**Robert Mazurek
zapraszam o 8:02**



Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

Sygnalista nadaaje

Posel Solidarnej Polski Jan Kanthak do opozycji: „Wygrajcie wybory. Będziecie mogli robić ministrami edukacji takich, którzy będą wyrażali wasze poglądy”. Odpowiedział Jan Vincent-Rostowski, minister finansów w rządach Tuska: „Oddajcie telewizję »publiczną«, to wygramy nie tylko wybory, ale dostaniemy większość konstytucyjną!”. Internauci: „Mieście TVP, TVN, Onet, WP, »Newsweek«, »Politykę«, Polskie Radio, RMF, Zet, prasę regionalną, »Gazetę Wyborczą« itd., itd. I tak przegraliście”. Rostowski: „Bzdura!”. Oni już do władzy nie wrócą. Nawet w Polsce nie może wygrać formacja tak skrajnie wyjąłowana z jakiegokolwiek świeżej myśli.

Tomasz Sakiewicz: „Po latach zasłużyłem na odrobinę szacunku. I dlatego jak widzę jakiegoś młokosa, który mówi mi, co powinienem, a czego nie powinienem robić w swoich mediach, uważam to za brak szacunku. Kiedy bliżej nieznany z umiejętności, zasług, a często i zdolności intelektualnych prezes państwowej spółki albo szef jego marketingu pyta mnie, co dla niego zrobiłem, też uważam to za brak szacunku. Kiedy rozlicza się moich dziennikarzy, którzy nadstawiali głowę, by zrobić w tym kraju przełom, z tego, że nie trzymają z tym czy z tamtym, a jednocześnie konkurencja, która ślizgała się po salonach III RP albo brała pieniądze od oligarchów, jest pokazywana jako wzór, to uważam to za brak szacunku”. Rozumiemy, mamy to samo.

Red. Sakiewicz podkreśla, że „spokojnie znosi problemy finansowe, osobiste zagrożenie czy niesprawiedliwe ataki ze strony wrogów”.

Donald Tusk skomentował rosnące wskaźniki zakażeń koronawirusem: „Duda radośnie komentuje sportowe wydarzenia, uśmiechnięty Morawiecki ogłasza kolejne sukcesy, Kaczyński schował się w nowym gabinecie. Wirus zabił prawie trzy tysiące Polaków i zabija dalej. Zaraza”. No ale Polska jest i jeszcze rośnie w siłę. A jeszcze parę lat Tuska i mogłoby być różnie.

Ocenia, że „tak już widać musi być i jest to cena, którą trzeba płacić za bycie sobą”. Na koniec dodaje: „Starzeję się jednak i nie starcza mi cierpliwości do ludzi, którzy nie potrafią się zachować. Proszę mnie więc nie winić, że paru wkrótce postawię do pionu”. Nie, tak nie można. Chodziło przecież o przełom, a nie o nas.

Na rynku medialnym świetnie radzi sobie także TVN. W zeszłym roku firma zanotowała 540 mln zł zysku. Firma zatrudnia 1,6 tys. osób, zwiększyła wydatki na wynagrodzenia, marketing i badania. I to jest prawdziwy obraz siły regulacyjnej państwa polskiego. Bo to w regulacji leży dziś prawdziwa władza.

Byli dziennikarze radiowej Trójki, m.in. Marek Niedźwiecki i Jakub Strzyczkowski, planują w grudniu powołanie internetowego Radia 357. Zespół ma liczyć 40 osób, które do niedawna pracowały w Programie III Polskiego Radia. Już zbierane są pieniądze na start projektu. W ten sposób wkrótce będą działały trzy Trójki: ta właściwa, nadająca z Myśliwieckiej, Radio Nowy Świat Magdaleny Jethon oraz 357 Niedźwieckiego i Strzyczkowskiego. Trzymamy kciuki za wszystkie nowe inicjatywy, ale ostrzegamy: własne medium to bardzo ciężki kawałek chleba. Zwłaszcza wówczas, gdy zatrudnia się na starcie kilkadziesiąt osób. To nie pojędzie.

Dziennikarz „Super Expressu”: „Wiele moich koleżanek i kolegów coraz częściej odchodzi z mediów lub odejście rozważa z powodu

klikbajtozy i kurczącej się przestrzeni dla jakości dziennikarstwa. I to najczęściej świetni fachowcy. Za chwilę nie będzie od kogo przepisywać newsów, bo nie będzie komu ich tworzyć”. To akcja niszczenia byłej premier Beaty Szydło wymaga aż tak wyrobionych piór? Przesada. Dacie radę.

🔊 Sama **Beata Szydło** stwierdziła: „Media nie ustają w atakowaniu mojej rodziny. Jeszcze trochę, a okaże się, że rodzina Beaty Szydło nie ma prawa nawet oddychać. Cieszę się, jak wiele osób krytycznie odniosło się do oszczerstw Onetu [dotyczących leśniczówki, z której ma korzystać syn byłej premier]. Razem musimy stawiać opór temu pseudodziennikarstwu”. Pani premier, to nie dziennikarstwo ani nawet nie pseudodziennikarstwo. To zlecenie.

🔊 Wiceszefowa Parlamentu Europejskiego Katarina Barley – ta, która chciała zagłodzić Węgrów, a w sumie i Polaków też – w „Gazecie Wyborczej”: „Rządy w Warszawie i Budapeszcie instrumentalizują każdą krytyczną wypowiedź pod swoim adresem, bo nie tolerują krytyki – niezależnie od tego, czy pochodzi ona z kraju, czy z zagranicy”. Dobrze, dobrze. Jak wiadomo, centrale unijnego imperium wręcz uwielbiają krytykę pod swoim adresem. I w ogóle nie są małostkowe ani miściwe. O nie, to „zagłodzenie” to był przecież taki żart zapewne.

🔊 Nasza opozycja wciąż uważa, że nie przekroczyła wszystkich granic. Magdalena Adamowicz: „Z kłamstw i szczucia PiS zrobiło machinę zdobywania i utrzymywania władzy. Teraz tę podłą machinę PiS kieruje na europejskich polityków, którym chce się bronić naszej polskiej demokracji. Kiedyś Katarina Barley czy Michał Śimečka [słowacki europoseł] powinni dostać polskie odznaczenia za walkę dla Polski”. Nie lepiej zacząć od odznaczenia tych, którzy w przeszłości głodzili Polaków?

🔊 Prezydent Gdańska **Aleksandra Dulkie-wicz** podczas uroczystości upamiętniającej 81. rocznicę zamordowania obrońców Poczty Polskiej: „Dziś, w XXI w., pocztowcy, jesteście dla nas, współczesnych gdańszczanek i gdańszczan, wzorem najwyższego poświęcenia. Nie tylko dlatego, że mężnie broniliście swojego urzędu, ale również dlatego, że latem 1939 r. nie zrezygnowaliście dla ochrony swojego prywatnego bezpieczeństwa. A przecież w latach 30. Gdańsk brunatniał z dnia na dzień”. Cenne słowa. Skoro Gdańsk „brunatniał”, to dlaczego współczesne miasto odwołuje się do

tradycji Wolnego Miasta? Może Dulkie-wicz nie wie, że to było właśnie wtedy?

🔊 Dulkie-wicz znów nie powiedziała, kto mordował, choć słowo „Niemcy” padło: „W 1938 r. Niemcy anektowali Austrię, pół roku później, także wbrew postanowieniu traktatu wersalskiego, zajęli część Czechosłowacji i wcielili ją do III Rzeszy. Przed 2 września wielokrotnie naruszali granice Rzeczypospolitej Polskiej. W tragedii, którą wspominamy dziś, boleśnie spleta się historia mocarstwa bezwzględnie idącego po władzę z losami zwykłych ludzi”. Można się śmiać z toporności tych zdań, ale ten historyczny i mentalny kisiel to jednak jest znieważanie bohaterów.

🔊 Wcześniej prezydent Gdańska w wypowiedzi dla niemieckiego radia stwierdziła: „Wolność jest zabierana po kawałku, przecież tak było w III Rzeszy”. Czy przeprosi za to skandaliczne porównanie? „Czasem użycie mocniejszych słów, opisanie pewnego mechanizmu powinno działać ku przestrodze. Dzisiaj faktem jest to, że nie mamy niezależnego sądownictwa, nie mamy niezależnej prokuratury, po raz kolejny przesunięto głosowanie w sprawie wyboru Rzecznika Praw Obywatelskich. Mówiłam ku przestrodze” – odpowiedziała. To nieprawda, ale nawet gdyby tak było, to i tak by nie znaczyło, że szykujemy obozy koncentracyjne, komory gazowe i plany podboju świata. Poza tym akurat w III Rzeszy naziści wolność zabrali błyskawicznie.

🔊 Europosłanka Sylwia Spurek, dawniej zastępczyni Adama Bodnara, odniosła się do jednej z wypowiedzi nowego ministra edukacji. „Panie ministrze Czarnek, nie mieliśmy dzieci, nie mamy i nie zamierzamy mieć! Mamy po 44 lata, jesteśmy szczęśliwi, walczyliśmy o prawa innych! Nie czujemy się gorsi!” – zadeklarowała, publikując zdjęcie ze swoim partnerem (mężem?). Przynajmniej jest jasne, jak brzmi propozycja pani Spurek – i bliskich jej środowisk – dla świata. Ma nie być niczego.

🔊 **Leszka Millera** zapytano, czy głosował za przyjęciem rezolucji wzywającej Unię Europejską do powiązania funduszy unijnych z tzw. praworządnością. „Oczywiście głosowałem za”. Dodał, że w jego mniemaniu było to głosowanie „za Polską”: „Polska powinna być państwem praworządnym i w pełni demokratycznym. Jeżeli są dowody, że tak nie jest, to działanie na rzecz Polski to przywrócenie praworządności”. To nieprawda, że to brzmi komunistycznie. To brzmi jeszcze mocniej: przedrozbiorowo.



SIECI

NA POZĄTEK

ZDJĘCIE TYGODNIA





Wielki sukces polskiego tenisa

Wychodzi na kort z poczuciem siły. I natychmiast stara się zdominować rywalki. Tak, żeby poczuły się słabsze, przede wszystkim w głowach. Dlatego właściwie nie okazuje emocji, a tym bardziej słabości. Jedyne, na co sobie pozwala, to ściskanie dłoni po wygranej piłce. Między zagraniami i wymianami porusza się energicznie: żadnego znużenia, człapania, zwieszania rąk.

Poczucie siły Igi Świątek jest uzasadnione, skoro na teoretycznie wolnym korcie ziemnym w Paryżu stara się grać bardzo szybko. I szybko kończyć piłki. Najlepiej sposobem serw i kończący wolej. Albo zabójczym returnem rujnującym psychikę rywalki. A jeśli to się nie uda, wypycha rywalki za końcową linię, by zadać decydujący cios. Wzdłuż linii, w sam narożnik kortu, tuż za siatkę albo pod takim kątem, że rywalkom odechciewa się wszystkiego. Albo podchodzi do siatki, wywierając presję. I popełnia bardzo mało niewymuszonych błędów.

Iga Świątek gra jak Rafael Nadal i chyba żadna inna tenisistka nie jest w stanie obecnie tak grać. I to jest wyjątkowy komplement, bo oznacza siłę, szybkość, precyzję oraz wszechstronność. Z tego punktu widzenia jest niebywałym i wyjątkowym talentem. Technicznie jest już jedną z najlepszych. I najbłyszotliwszych. Któż może to bardziej docenić niż komentująca turniej Rolanda Garrosa Chris Evert, zwyciężczyni 18 turniejów wielkoszlemowych (w tym siedmiu w Paryżu).

Iga ma dopiero 19 lat. I już w tym wieku jest dominatorką, co podkreślają liczni dawni mistrzowie. Cisną się porównania do przedwojennej mistrzyni Jadwigi Jędrzejowskiej (trzykrotnej finalistki Wielkiego Szlema) i Agnieszki Radwańskiej (raz w finale Wielkiego Szlema i wygrana w Turnieju Mistrzyń). Ale Iga Świątek jest inna, chyba bardziej kompletna (jak na swój wiek). Niezwykle silna psychicznie, a przez to spokojna i skupiona na grze. Szybko korygująca własne błędy, doskonale analizująca grę. W dodatku jest wyjątkowo sympatyczną, skromną młodą osobą.

Przyszłość kobiecego światowego tenisa należy do Igi Świątek.

Stanisław Janecki

Sorry mnie bite



KRZYSZTOF FEUSETTE

Halo? Guten... tak, ja dzwonię z Danzig, pani mnie połączy, bite, z herr ambasadorem? Jak to „z jakim”? No, naszym! A gdzie ja się dodzwoniłam? Ambasada polska w Berlinie? Serio? Aha, to przepraszam, bo zaszło małe kleine nieporozumienie, ten jelop coś pokręcił.... Kto to jest jelop? No, to jest on właśnie. Nie słyszała pani, jak mówił, że wojnę wywołało złe słowo Polaka wobec innego narodu oraz Niemca wobec innego narodu? To już nie mógł sobie tego Niemca darować? Dobra, kończę, bo widzę, że jak się sama nie połączę, to nikt mnie nie połączy. Auwiedezejn, do usłyszenia.

Z kim ja muszę pracować? Tylko mi trzeba skandalu za granicą, i tak wszyscy pamiętają, jak błysnęłam z tym ciemnym z Londynu. Że, ho, ho, witamy egzotycznego gościa... Myślałam, że mnie wzrokiem zabije. Albo dzidą, bo z takimi nigdy nic nie wiadomo. Zanim ta pierwsza integracja nastąpi, to trochę wody w rzece upłynie. Jeszcze żeby to woda była... Wielkie pasmo nieszczęść z tym Rafałem. Przyjeżdża co chwilę jak jakiś rewizor. Co on, do cholery, swojego miasta nie ma? Halo? Ja... ja... bite mnie połączyć z herr ambasadorem dojcze w Polszcze, Warszał, Wahrrrrszał – właściwie. Ja, ja, sznela. Znaczą się: pilne. Przepraszam, ale ja dużo zapomniałam po niemiecku, a nie mam kiedy odświeżyć. Nawet ostatnio udzielałam wywiadu i tak sobie myślałam, kurczę blade, kuhrrrcze, że ja właściwie lepiej myślę po dojcze niż szprechen po polski. No i stąd właśnie ajne kłajne nieporozumienie, które muszę herr ambasadorem wyjaśnić. To znaczy, mam nadzieję, że ono jest kleine, bo jeszcze nie rozmawiałam. Ja... ja... ja poczekam. Jawohl...

Halo, herr ambasadorem dojcze republik w polnisze republik? Och, jak się cieszę, że się dodzwoniłam, ja muszę coś panu powiedzieć. Pan czytał, naturliś, mój wywiad dla radio dojcze-fanki czy jakoś tak? Wiedziałam. Czy pan herr już po ten wywiaden, gdzie dzwoniła? To znaczy dzwonił? Telefoniren? Sorry mnie bite, to jest wszystko z nerwów. Ja muszę to z siebie wyrzucić. Ja... ja... ja pragnę, jak to będzie po niemiecku? Phhrrragne – chyba, więc ja phhrrragne przeprrosić waszą ekscelencję. A na ekscelencji ręce – całe Niemcy, naród niemiecki oraz diasporę rozsianą po Ameryce Południowej przez te dzikie wysiedlenia. Pan wie, o czym ja mówię, ja wiem, o czym pan myśli. Ja nawet nie wiem, jak ja mogłam. Wypso mi się czy wypsneło? Po prostu nie pomyślałam. Ale potem się przeraziłam. Sama sobą, dosłownie. Ja... ja... kretinen. Ale kto? Ja? No, tak.

Tym bardziej żałuję, nie takie były meine intencje. Ja to jestem taka, że lubię radosne pochody i tańce. A choćby

w rocznicę wybuchu wojny. Po pierwsze, z tego, co się dowiedziałam, to nawet nie była pierwsza wojna na świecie, tylko druga. A po drugie, jakie to ma dziś znaczenie, kto kogo najechał czy mordował w obozach, skoro wszyscy jesteśmy teraz wielką europejską rodziną?

Kurczę, herr ambasadorem, przecież my tego czasu nie wrócimy! Więc ja naprawdę nie wiem, jak mogłam porównać obecną Polskę do III Rzeszy. I to w uczciwych, niemieckich mediach. Zestawić demokratyczne państwo prawa, może trochę kulawego, ale jednak prawa, z tym strasznym reżimem? Przecież Hitler wygrał w demokratycznych wyborach, a pisowcy swoje sfalszowali! Musieli sfalszować, bo niemożliwe, żeby większość społeczeństwa głosowała na faszystów! Z drugiej strony, ja, ja, naturliś, jesteśmy w Polsce, a nie w którejś z dojrzałych demokracji. Myśmy Stuhra dzieci do Głogowa przywiązywali. Co, herr ambasadorem Grossa nie czytał? Albo grosse Grabowskiego? To karczuk też polecam, chociaż wywiady ma lepsze niż książki. W piersi się bije, aż dudni. Jak to, czy w swoje? A czy ona zabijała? Przecież to Polacy robili! Już pomijam fakt, że wojna trwała sześć lat, a PiS rządzi sieben, więc łatwo porównać.

A po drugie, to chciałam bardzo danke. Za te piękne i potrzebne słowa frau Bayern, tfu, Harley, nie, też nie, no, jakżeż ona się nazywa? Barley! Te, że czas zagłodzić Polskę i Węgry. To znaczy na razie same Węgry, ale wiadomo, że kwestię polską też trzeba będzie ostatecznie rozwiązać. To jest to, na co my, w Danzig ratuszen bardzo czekamy. Żebyśmy tak mogli dostawać tę kasę, co na przykład na fundusze strukturalne idzie. Czy herr ambasadorem wie, jaki ja bym mogła supermarket z multipleksem na Westerplatte, za przeproszeniem, postawić? I wszędzie tabliczki: danke, dziękujemy, gdańszczanie z Danzig. Można by breloczki ze Schlezwigiem-Holsteinem na pocztach sprzedawać, żeby ludzie pamiętali, co może złe słowo Polaka wobec innego narodu zrobić. Ja mam dużo pomysłów, naprawdę. To jest w końcu, w pewnym sensie, dziedzictwo również Pawła Adamowicza, który mnie nauczył, że tramwaj w Danzig także dzisiaj może nosić imię nazisty. Choćby ten nazista, akurat Niemiec, brał udział w eksperymentach dr. Mengele. A ja powiem szczerze, herr ambasadorem, moim zdaniem to Szumowski nie był lepszy. Sama nie wiem dlaczego. Może o to chodzi, że teraz z Niemcem rozmawiam i wtedy mi się coś takiego włącza? Słucham? Ja... ja... kretinen, jawohl. Polnische kretinen, ha, ha, ha...

Covidowa bezdusznosc

Dla czyjego dobra wprowadzono te przepisy? Czy lekarze zapomnieli, jaki wpływ na powrót do zdrowia dziecka ma obecność i opieka matki?

Właściwie już się przyzwyczailiśmy, że w Polsce ciągle ktoś przeciwko czemuś protestuje. Przyzwyczailiśmy się także do tych samych twarzy na większości protestów. Bez względu na to, czy chodzi o dziki, korniki, sądy czy prawa osób homoseksualnych.

Warto jednak powiedzieć o jednym proteście, który w ostatnim czasie miał głęboki sens, a uczestniczące w nim osoby szczęśliwie zostały częściowo wysłuchane. Chodzi mi o rodziców, głównie matki, które zebrały się przed Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Matki wcześniaków walczyły w ten sposób o prawo do odwiedzin swoich dzieci. Wizyty na oddziałach neonatologii i pediatricznym, nie tylko w tej jednej placówce, zostały mocno ograniczone przez trwającą pandemię. Protestujące kobiety skarżyły się, że nie mogły widzieć dzieci nawet tygodniami, a na ich apele i pisma o zmianę procedur nikt nie reagował. Domagały się od dyrekcji złagodzenia przepisów. Np. Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi, to, pod którym odbywał się protest, wydało następujące regulacje: „Matki mogą widywać dziecko (ciężko chore) 1 godzinę na 10 dni, tylko w przypadku »szczególnego uzasadnienia medycznego«, wyłącznie za pisemną zgodą i po wykonaniu testu na koronawirusa na 72 godziny przed wizytą”. Wcześniej takie odwiedziny nie były w ogóle możliwe.

Jedna z kobiet opowiadała swoją historię. W trakcie siedmiu miesięcy widziała swoje przedwcześnie urodzone dziecko tylko dwa razy. Dziecko zmarło. Trudno nawet wyobrazić sobie ból, którego nic nie utuli. Kiedyś już opisywałam na tych łamach historię Anielki. Dokładnie pamiętam, gdy przyszła na świat moja najmłodsza córka. Była chora i pierwszy miesiąc życia musiała spędzić w szpitalu, z tego pierwszy tydzień była na oddziale intensywnej terapii. Na tym oddziale rodzicom nie wolno było przebywać w nocy, mogliśmy być z córką tylko w dzień (i to na zmianę). Pielęgniarki mówiły: „Proszę korzystać”, „Proszę się wyspać”, „Proszę odpocząć”, a ja nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że moje dziecko jest gdzieś tam na szpitalnej sali beze mnie. Nie może się przytulić, usly-

ścić bicia mojego serca czy mojego głosu. Łzy nie przestawały płynąć. Taki to był odpoczynek. Choć po tygodniu przeniesiono nas na oddział dzienny i mogliśmy być razem już bez ograniczeń, to do dziś (a córka ma już prawie pięć lat) tulę ją z całych sił, żeby wynagrodzić tamten tydzień. Tylko i aż tydzień! A w wielu miejscach Polski rodzice są rozłączeni z chorymi dziećmi całymi tygodniami. Dla czyjego dobra wprowadzono te przepisy? Czy lekarze zapomnieli, jaki wpływ na powrót do zdrowia dziecka ma obecność i opieka matki?

Tymczasem personel medyczny, który zajmuje się dziećmi codziennie, wychodzi do domu. Lekarze, pielęgniarki i salowe chodzą do sklepów, spotykają się z ludźmi, z rodzinami, po prostu żyją. We wspomnianym szpitalu i tak pojawiły się ogniska koronawirusa, a jego źródłem był personel.

Naszczyć się okazało, że w tym przypadku presja miała sens. Zaangażowanie w sprawę mediów i organizacji pozarządowych sprawiło, że dyrekcja tego konkretnego szpitala poinformowała o wdrożeniu nowego regulaminu wizyt rodziców, m.in. na oddziale neonatologii. Zapowiedziano również, że szpital postara się zorganizować specjalnie wydzieloną strefę dla matek, w której będą mogły mieszkać i regularnie odwiedzać swoje dzieci. Jedynym warunkiem jest posiadanie negatywnego testu na COVID-19. Szpital zapowiedział też pomoc w przeprowadzaniu testów. Szkoda, że tak późno, że trzeba było wielkiej presji, także medialnej, by ruszyć czyjeś sumienie.

Dobrze, że ktoś postanowił skończyć z tym bezdusznym absurdem. Jednak sprawę należy rozwiązać na poziomie ministerstwa w całym kraju, bo placówek, które utrudniają lub uniemożliwiają obecność rodziców przy dzieciach, jest więcej. Ograniczane są także porody rodzinne, a starsi ludzie umierają w szpitalach i DPS-ach samotnie, bez możliwości pożegnania się z rodziną. Resort zdrowia nie może umyć rąk od tych problemów. Potrzebne są ludzkie, w miejsce nieludzkich, procedury, które zapewnią bezpieczeństwo na oddziałach (choćby szersze testowanie) i pozwolą na więcej normalności chorym i ich opiekunom. Trzeba też się zająć organizacją opieki na oddziałach położniczych. Nie może być tak, że chore i bezbronne dzieci, osoby starsze znaczą mniej niż norki.

Dorota Łosiewicz



Od chwili, gdy podano informację o tym, że Donald Trump zaraził się koronawirusem, było wiadomo, że prezydent zrobi ze swojej choroby spektakl medialny. Nasuwa się jednak pytanie, jak na ten show zareagują Amerykanie, którzy każdego dnia muszą się mierzyć nie tylko z kolejnymi rekordami zakażeń, ale też z rosnącym widmem bankructwa.

Tuż przed opuszczeniem szpitala, w którym spędził zaledwie weekend, Trump napisał na Twitterze: „Nie bój się COVID-a. Nie pozwól, aby wirus zdominował twoje życie. Opracowaliśmy naprawdę świetne leki i mamy wiedzę. Czuję się lepiej niż 20 lat temu!”. Można się spodziewać, że Trump będzie jeszcze mocniej podkreślał wizerunek twardziela, jaki przez całą prezydenturę budował. Twardziela, który pokonał wirusa, mimo że jako 74-latek jest w grupie podwyższonego ryzyka. Możliwe, że napisze, iż Joe Biden chował się przez pół roku w swojej piwnicy i udzielał wywiadów tylko za pomocą Skype’a, a on, mając zaledwie cztery lata mniej, stanął twarzą w twarz z wirusem i go powalił. W ostatnich tygodniach kampanii prezydenckiej obrazowe i mocne symbole są ważniejsze niż wyborcze elaboraty

Koronawirus rządzi wyborami

USA 

i wielkie manifesty ideologiczne. Tyle że frustracja związana z pandemią mocno daje się we znaki Amerykanom, co przekłada się na sporą, sięgającą nawet 14 proc., stratę duetu Trump/Pence do Joeo Bidena i Kamali Harris.

Triumfalna reakcja Trumpa po przejściu COVID-19 może się zdarzyć właśnie z tą frustracją. Prezydenta leczono eksperymentalnymi lekami i gdy opuszczał szpital, CNN przestrzegł przed optymizmem: „Jeśli zachorujesz na COVID-19, to nie spodziewaj się takiego samego leczenia, jakie otrzymał Donald Trump. Oczywiście przywódca kraju może liczyć na najlepszą opiekę i dodatkową uwagę, ale niektóre metody jego leczenia nie są dostępne dla ogółu społeczeństwa”.

W czasie napięć klasowych i finansowej zapaści taka argumentacja może mieć zdwojoną siłę. Nawet konserwatywny „National Review” zamieścił artykuł o potrzebie pełnej transparentności leczenia Trumpa. Liberalne



Fot. iulian/Shutterstock.com

media będą też pewnie przypominać lekceważące słowa Trumpa o wirusie i paradowanie jego sztabowców (kilku z nich zapadło na koronawirusa) bez maseczek. Przecież to podczas debaty, kiedy Trump już musiał zarażać koronawirusem, prezydent wyciągnął z kieszeni maseczkę, mówiąc, że zakłada ją tylko, gdy musi, Biden zaś panikuje. Jednak covidowy test Bidena był negatywny.

Narazie Trump podkreśla swoją dobrą formę, ale przecież nie wyzdrowiał. Wiadomo, że zanim trafił do szpitala, dwukrotnie podawano mu tlen, co dowodzi, że prezydent nie przechodzi łagodnie choroby. Jej dalszy przebieg może mieć więc duże znaczenie dla wyników wyborów. Koronawirus ma większy wpływ na świat, niż nam się zdawało.

Łukasz Adamski

Swiatowa Organizacja Zdrowia (WHO) po raz kolejny znalazła się w ogniu krytyki. Po tym jak oskarżono ją o nieodpowiedzialne zachowanie w pierwszym okresie pandemii, doszły nowe zarzuty, tym razem z Afryki. Niezależne śledztwo dziennikarskie prowadzone przez niemal rok w Demokratycznej Republice Konga ujawniło wielki skandal seksualny, którego niechlubnymi bohaterami stali się właśnie pracownicy tej organizacji, wysłani na Czarny Ląd, aby walczyć tam z epidemią wirusa ebola. Przy okazji wykorzystywali oni dziesiątki czarnoskórych kobiet i dziewcząt, najczęściej zatrudnionych jako kucharki, sprzątaczk lub tłumaczki. Często sprawcy szantażowali swoje ofiary groźbą utraty pracy, niekiedy upijali je, zamykali w pokojach i gwałcili.

W proceder, oprócz pracowników WHO, zamieszani byli też przedstawiciele Funduszu Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci UNICEF, Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM) oraz trzech organizacji pozarządowych: Lekarzy bez Granic, Alima i World Vision. Do wielu przypadków wy-



Seksualna kolonizacja

 Demokratyczna Republika Konga

ności cywilnej i zapewnienia przestrzegania prawa człowieka, gwałcili dziesiątki kobiet i dziewcząt.

Teraz, jak zapewniają władze WHO, sprawcy, wśród których znajdują się obywatele m.in. Belgii, Francji i Kanady, zostaną surowo ukarani. Czy aby na pewno? Dotychczas takie czyny popełniane w Afryce uchodziły bezkarnie.

Grzegorz Górny

Fot. Brian B. Massieu/Shutterstock.com

Rewolucja bez rozstrzygnięć

Kirgistan

Nowa Zelandia

W Kirgistanie kolejna, trzecia już, kolorowa rewolucja. Los obalonych przed laty prezydentów Karimowa i Bakijewa może podzielić obecna głowa państwa Sooronbaj Dżeenbekow, który – gdy piszę te słowa – nie złożył wprawdzie urzędu, ale jego odejścia domaga się zjednoczona opozycja. Miejsce pobytu prezydenta jest nieznane, co oznacza, że nie można wykluczyć, iż wyjechał na kontrolowane przez jego klan południe kraju i przygotowuje kontrnatarcie.

Wydarzenia potoczyły się niezmiernie szybko. W niedzielnych wyborach do parlamentu dostały się cztery formacje, z których aż trzy są kontrolowane przez współpracowników Dżeenbekowa i zaprzyjaźnionych z nim oligarchów. Gdy ogłoszono te wyniki, opozycja zwołała wiec w centrum stolicy, domagając się powtórzenia nieuczciwych, jej zdaniem, wyborów. Nie chodziło o rażące naruszenia procedur, ale o notowany na masową skalę proceder kupowania głosów, dzięki któremu bogate klany z południa kraju, w tym prezydencki, zdobyły kontrolę nad parlamentem.

Niedługo potem demonstracja przerodziła się w starcia z siłami porządkowymi, w których 600 osób odniosło obrażenia, a jedna miała zginąć. Co ważne, gdy część policjantów przeszła na stronę protestujących, pozostali zaczęli ustępować pola demonstrantom i wkrótce uciekli. Tłum zdobył budynek parlamentu, a późną nocą demonstrujący uwolnili z więzienia byłego prezydenta Atambajewa, skazanego w tym roku za korupcję, i byłego premiera Isakowa.

W rezultacie rebelii Komisja Wyborcza unieważniła wyniki niedzielного głosowania, a partie opozycyjne powołały Komisję Koordynacyjną, której celem jest przejęcie władzy. Do dymisji na masową skalę zaczęli się podawać ministrowie, burmistrzowie i gubernatorzy. Z kolei deputowani, którzy zebrali się w innym miejscu, powołali nowego premiera. Został nim Sadyr Żaparow, którego również wypuszczono z więzienia. Żaparow był kiedyś doradcą prezydenta Bakijewa, później kierował służbami walczącymi z korupcją, a do więzienia trafił za zorganizowanie wiecu, na którym wzięto jednego z gubernatorów na zakładnika.

Jednak sytuacja w Kirgizji jest daleka od stabilizacji. Następnego dnia po wybuchu rewolucji zaczęły się grabieże i podpalenia, a opozycja się podzieliła, co doprowadziło do powstania dwóch Komisji Koordynacyjnych. Część formacji politycznych nie zgadza się z wyborem Żaparowa. Nieznane są też zamiary stronników prezydenta Dżeenbekowa i byłego prezydenta Atambajewa.

W rosyjskiej bazie lotniczej w Kant zarządzono stan podwyższonej gotowości, a w kraju, w którym nie ma jednego ośrodka władzy, w każdej chwili może zapanować chaos.

Marek Budzisz

Dość już angielskiego!

Niewykluczone, że za kilka lat z mapy świata zniknie Nowa Zelandia. Tak się stanie, jeśli rząd Partii Pracy przyjmie postulaty Maorysów i zmieni dotychczasową nazwę państwa na Kraj Długiej Białej Chmury – czyli po maorysku Aotearoa.

Maorysi uważani za rdzenną ludność Nowej Zelandii (choć przybyli tutaj w średniowieczu) coraz głośniej domagają się oficjalnego uznania ich dziedzictwa kulturowego i historycznego. Wśród zgłoszonych niedawno postulatów pojawiły się żądania wprowadzenia maoryskiego nazewnictwa geograficznego na wyspach – dotyczy to nie tylko nazwy państwa, ale i poszczególnych miast, oraz obowiązku nauczania języka maoryskiego i maoryskiej historii w szkołach podstawowych i średnich.

Maorysi, którzy stanowią – według spisu z 2018 r. – 16,5 proc. ludności Nowej Zelandii, ubolewają, że rdzennym językiem posługuje się dziś zaledwie jedna piąta ich populacji. Chcieliby, aby docelowo język maoryski stał się równie popularny co angielski, a w przyszłości nawet go częściowo zastąpił. Dlatego postulują szerokie wprowadzenie go do mediów. Zgodnie z ich projektem finansowanie przez państwo nadawców i wydawców miało być uzależnione od biegłej znajomości maoryskiego przez dziennikarzy.

Kampania na rzecz przywrócenia maoryskiej tożsamości nabrała impetu wraz z falą walki z kulturą zachodnią, która rozpoczęła się przy okazji zamieszek w Ameryce i rozlała na cały świat. Maorysi uważają się za ofiary kolonializmu i rasizmu, a ich postulaty dotyczące edukacji i symboliki państwowej są zaledwie wstępem do znacznie poważniejszych żądań. W zeszłym tygodniu Partia Maoryska (Māori Party) przedstawiła projekt zastąpienia dotychczasowego prawa karnego wywodzącym się z tradycji autochtonów systemem sprawiedliwości naprawczej. Zdaniem maoryskich polityków obecne przepisy są podyktowane rasistowskimi uprzedzeniami i służą represjonowaniu „niewinnych Maorysów”.

Radykalizacja ma również tło polityczne. Partia Maoryska ma również poparcie społeczne, również wśród autochtonów, i w ostatnich wyborach w ogóle wypadła z parlamentu. Teraz chce do niego powrócić i zdobyć rozgłos, więc zasypuje rząd kolejnymi żądaniami. Zresztą część z nich ma szansę przeforować, bo rządząca Partia Pracy przedstawia się jako formacja wspierająca mniejszości. Potomkowie Brytyjczyków będą więc pewnie musieli wkrótce pokutnie uderzyć się w piersi i przejść przyspieszony kurs języka maoryskiego. Co ciekawe, tego języka będzie się również musiała nauczyć większość Maorysów.

Konrad Kołodziejcki

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pani Barley zarządza głodówką

Za granicy pokoju i przyjaźni na Odrze doleciały do nas zabawne słowa wiceszefowej PE Katariny Barley o tym, jak to Polacy i Węgrzy żyją z pieniędzy europejskich i trzeba nas zagłodzić finansowo. Tak nas rozszyfrowała, biedaków.

Co do zagłodzenia, brałem udział w takim eksperymencie. W czasie okupacji niemieckiej często żywiłem się jedynie zupą z pokrzyw i komosy. Dużo smaczniejsze szczaw i mirabelki wyjadali z okolicznych „plantacji” silniejsi, starsi chłopcy. Napisałem „zabawne słowa”, bo są typowym dla Niemców szyderstwem, wywołującym dziarski rechot w szeregach einsatzgruppen jednoczących Europę w poprzednim rozdziale historii.

Tamten morderczy rozdział wydawał się zamknięty od momentu zburzenia muru berlińskiego przez polską Solidarność. Tak właśnie było, mur berliński runął pod bramą Stoczni Gdańskiej, pod portretem św. Jana Pawła II. Było to wydarzenie rozciągnięte w czasie, ale dokonało się dzięki odwadze głodnych Polaków, a nie przeżartych wurstami Niemców.



Jan
Pietrzak

Wielu ludziom wydawało się, że w organizacji zwanej Unią Europejską dawne rany się zbliznią i, szanując się nawzajem, odnajdziemy lepszy model sąsiedztwa niż zaproponowany przez Hitlera dla Generalnej Guberni. Śpiewano wtedy na ulicach Warszawy: „Hej tam pod Krakowem, skąd ta Wisła płynie, rozwalila nam się świnia na polskiej krainie. A jak się upasie, przyjdą lepsze czasy, zabijemy pałą świnie, narobim kielbasy. Tymi kielbasami wedle receptury wytrujemy wszystkie w Polsce Prusaki i szczury!”

Obecnie odnoszę wrażenie, że zagapiliśmy się w ostatnich latach i świnia znowu się rozwała na polskiej krainie. Niemcy nie chcą nas szanować, chcą nami pomiatać. Nasze chrześcijańskie miłosierdzie i bezgraniczna tolerancja traktowane są jako słabość. Czy tak ma być zawsze? Pani Nitek-Plażyńska skandalicznie obrażana przez biznesmena hitlerowca zostaje skazana przez polski sąd! Jak to możliwe? Polski prezydent nikczemnie traktowany przez goebbelsowską gadzinówkę? Środowiska polityczne korumpowane przez niemieckie firmy? Nieustająca agresja wobec naszych władz? Z jakiego powodu mamy się na to godzić? A co do pieniędzy, czekamy na reparacje wojenne! 

W tajemniczym ogrodzie

Z Roksana Węgiel, zwyciężczynią pierwszej edycji „The Voice Kids” oraz Eurowizji Junior 2018, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Swoim najnowszym teledyskiem promujesz film, który w tym tygodniu wejdzie na polskie ekrany. Co znałaś w ekranizacji klasycznej książki Frances Hodgson Burnett?

Roksana Węgiel:

Przygoda z „Tajemniczym ogrodem” była dla mnie cudownym doświadczeniem. Jestem ogromnie wdzięczna za możliwość brania udziału w tym projekcie. Oprócz podkładania głosu pod główną bohaterkę filmu stworzyliśmy również z Pawbeat-

sem piosenkę „Tajemnice”. Ten numer jest dla mnie wyjątkowo ważny. Opowiada o tym, że ze wsparciem bratniej duszy możemy poradzić sobie nawet z najtrudniejszymi przeciwnościami losu.

Kogo spotkałaś przy okazji tego filmu?

Świetnych ludzi z ekipy produkcyjnej, którzy udzieli mi cennych wskazówek dotyczących dubbingu, a na planie klipu – mojego dobrego kolegę z pierwszej edycji „The Voice Kids”, Antka Scardinę. Reszty dubbingujących niestety nie miałam okazji poznać, ponieważ każdy z nas nagrywał w innym terminie.

Jako 13-latka przywiozłaś z Mińska zwycięstwo zdobyte podczas Eurowizji Junior 2018. Miałabyś jakieś rady dla 10-letniej Ali Tracz, która wystąpi w kolejnej edycji konkursu, 29 listopada w Warszawie?

Mocno trzymam kciuki za naszą reprezentantkę. Ala pięknie śpiewa, jest bardzo zdolną dziewczynką, a piosenka, z którą będzie reprezentowała nasz kraj, bardzo przypadła mi do gustu. Najważniejsze, żeby potraktowała ten konkurs jako zabawę i zaśpiewała najpiękniej, jak tylko potrafi. 



BRONISŁAW WILDSTEIN

Knebel dla dziennikarzy



Wiem już, że moje życie upłynie w świetle na opak, w rzeczywistości odwróconych znaczeń. Musimy się temu przeciwstawiać, ale bez złudzeń, że w dającej się przewidzieć przyszłości uda się przywrócić elementarny porządek sensów i wartości. Czynimy w tym kierunku pierwsze kroki, uczestniczymy w budowie tamy przeciwko dominującemu dziś nurtowi ideologicznego zakłamania, ale upłynąć musi sporo czasu, zanim – jeśli w ogóle – cywilizacja nasza znowu stanie na nogach. Jest to jednak warunek jej przeżycia.

„Wiemy już, że cywilizacje są śmiertelne” – stwierdził sto lat temu Paul Valéry. Fakt, że uznano to wówczas za rewelację, świadczył o niepokojącej ignorancji, która była efektem nowoczesnych przesądów. Do stwierdzenia tego banału wystarczyła bowiem podstawowa znajomość historii. To, że przestaliśmy wyciągać z niej wnioski, powinno być znakiem ostrzegawczym. Nie było.

Kiedy piszę o przywracaniu podstawowego ładu, nie odwołuję się do mitycznej arkadii, która nigdy nie istniała. Nawet najbardziej twórcze i dynamiczne epoki cywilizacji nie wolne były od śmiertelnych zagrożeń, a kłamstwo i obluda towarzyszą i będą towarzyszyć człowiekowi zawsze. Rzecz w tym, że jeszcze niedawno mniej więcej rozumieliśmy znaczenie zasadniczych pojęć, a więc norm i wartości. Dominująca dziś ideologia oraz środowiska, które się nią posługują, aby zdobyć i utrzymać władzę, robią wszystko, aby pozbawić nas tej zdolności.

Te bardzo ogólne refleksje przyszły mi do głowy przy okazji partykularnego i, wydawałoby się, nie tak znaczącego w szerszej skali wydarzenia, jakim jest proces, który Ringier Axel Springer Polska wytoczył dziennikarzowi Samuelowi Pereirze za zamieszczane przez niego na Twitterze krytyczne uwagi pod adresem koncernu.

Polska osuwa się coraz niżej w rankingach wolności słowa opracowywanych przez światowe organizacje w rodzaju Reporterzy bez Granic. Według organizacji tej wolność panowała w naszym kraju, kiedy media publiczne „oczyszczone” zostały ze wszystkich krytycznych dziennikarzy i przyłączyły się do chóru, który chwalił rząd i, przede wszystkim, niszczył opozycję. Nie dostrzegały więc m.in. zeznań prezydenta Bronisława Komorowskiego, który publicznie płał się w wyjaśnieniu swojego udziału w kryminalnej aferze, nie zauważały całej tej sprawy. Wolność zdaniem Reporterów bez Granic rozkwitała, kiedy agenci służb specjalnych wkroczyli do redakcji tygodnika, aby

zabrać stamtąd kompromitujące rząd materiały, a słuchane szeroko radio katolickie nie mogło otrzymać koncesji telewizyjnej, których kolejne pakiety otrzymywały przyjazne rządowi wielkie korporacje medialne. Reporterzy bez Granic ograniczenie wolności słowa upatrują w pluralizowaniu się medialnego rynku i w pojawianiu się w nim różnorodnych treści. Wprawdzie dominujący, lewicowo-liberalny nurt nadal stanowi w Polsce zdecydowaną większość, ale jego przewaga zmniejszyła się. Czas bić na alarm.

Do pewnego stopnia muszę jednak zgodzić się ze wspomnianym rankingiem. W Polsce zagrożenie wolności słowa narasta. Jej potężnym przeciwnikiem są sądy.

Było tak przez cały czas trwania III RP. Sędziowski układ przeniesiony in corpore z PRL stanął na straży nowego porządku i tłumił jego krytykę. Sędziowie decydowali, jakie treści mogą pojawiać się w debacie publicznej. Do pewnego czasu Adam Michnik pozywał swoich krytyków, a sędziowie się z nim zgadzali i za niewłaściwą (czyli niezgodną z jego oczekiwaniami) interpretację kazali przeproszać oraz wypłacać należne odszkodowania. To tylko przykład.

Od 2015 r. znacząco jednak zwiększa się liczba spraw wytaczanych dziennikarzom, zwykle przez potężne koncerny medialne i celebrytów w nich posługujących. Wizja Polski, w której niezależni dziennikarze mogą krytykować, kogo chcą, spędza sen z powiek również sędziom tęskniącym za czasami, kiedy w polityce, kulturze, mediach czy wymiarze sprawiedliwości ostateczny porządek ustalało „właściwe” towarzystwo. I chociaż demokracja pozwala nieświadomym obywatelom wybierać nie tego, kogo powinni, to jej obowiązująca liberalna forma daje sądom możliwość blokowania decyzji nie lubianych przez siebie władz, a także skazywania tych, którzy piszą nie to, co powinni.

Zjednoczona Prawica usiłuje przywrócić w naszym kraju demokrację, a więc dać reprezentantom narodu zdolność rządzenia. Sędziowie, którzy w liberalnej demokracji i jej szczególnym wariacie, jakim była III RP, stanowią realną nadwładzę, są tym przedsięwzięciem szczerze oburzeni i robią wszystko, aby się ono nie udało. Jedną z metod jest zastraszanie dziennikarzy, którzy mają w tej kwestii inne zdanie. Wielkie korporacje i establishment sędziowski ramię w ramię działają na rzecz osiągnięcia tego celu. Na szczęście władza polityczna ma w tej mierze także coś do powiedzenia. To, czy uda się obronić w Polsce wolność słowa, pozostaje ciągle pytaniem.



Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Karoliny Pajączkowskiej

dziennikarki, reporterki i prezenterki

Zawsze stylowo i z dbałością o każdy szczegół. Odwiedziła 30 krajów na czterech kontynentach. Podróżuje prywatnie i zawodowo jako reporterka do zadań specjalnych. Odblichtru Oscarów w Hollywood po wertepy Afryki Subsaharyjskiej. Jak sama mówi, serce zostawiła w Afryce, i to na ten kontynent wraca najchętniej. „Kiedyś żyłam na walizkach. Mieszkając od Wielkiej Brytanii przez Luksemburg po Nigerię, szukałam swojego miejsca na Ziemi. Dzisiaj je znalazłam. Mój dom, moją drogę”. Swoje 30. urodziny zamierza spędzić w Kenii wraz z niespełna sześciolatnim synem. Safari w jego towarzystwie jest spełnieniem jej dziecięcych marzeń.

BALETKI

Najczęściej podróżuję samolotem i na czas lotu lubię założyć takie „kapcie”. Dają mi one poczucie komfortu. Jest to odrotny trend niż większości pasażerów, którzy wolą epatować zgrzanymi stopami w skarpetkach.



LEKTURA

Przeważnie czytam pozycje oparte na faktach: reportaże, biografie i autobiografie. Z racji zawodu lubię poznawać życiorysy i doświadczenia zawodowe innych reporterów. Często też dobieram lekturę do docelowego kraju mojej podróży. Tak było w przypadku mojego lotu na galę oscarową, podczas którego czytałam „Atlantyk–Pacyfik” Melchiora Wańkowicza.

KASZMIROWY SZAL

Jestem zmarzluchem i często używam go jako okrycia. Zakupiony na targu w stolicy Omanu, był dla mnie prezentem... ode mnie samej. Mam taki zwyczaj, że w każdym kraju kupuję sobie prezent, który jest nie tylko sentymentalną pamiątką, lecz jest też praktyczny.



PERFUMY

Zapachy jak lektury dobieram do okazji. Jadąc w jakieś miejsce, używam konkretnej nuty zapachowej, która po jakimś czasie przypomina mi tę podróż.

KUFEREK

To jest przykład mojego prezentu dla siebie zakupionego w Hollywood. Duży kuferek, bo dużo kosmetyków. Jestem estetką i sama dbam o swój wizerunek. Nie uznaję czegoś takiego jak gorszy dzień i codziennie od rana wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. W tym make-up.



To nie żarty



**Dominik
Zdort**

Wydawało mi się, że choroba Igora Zalewskiego – koronawirus – była faktem powszechnie znanym. W końcu to modny felietonista, współtwórca kultowej rubryki, kiedyś współautor telewizyjnego programu, postać lubiana, inteligentna, dowcipna.

Celebryta – przynajmniej prawicowy, choć akurat w jego przypadku to przydomek odrobinę niesprawiedliwy, bo mógłby być celebrytą ponadpolitycznym. No ale jest, jak jest. Mój dom murem podzielony, podzielone murem schody – a Igor po prawej stronie tych schodów zasiadł i jakoś tu został. Co oczywiście jest z korzyścią dla prawicy, a lewica niech zazdrości, bo ich ponuracy takiego śmieszka u siebie nie mają.

Wracając do meritum. Otóż okazało się, że nie wszyscy o chorobie Zalewskiego wiedzieli i spisana przez nas (Tygodnik TVP) relacja Igora z jego covidowych przeżyć cieszyła się wielką popularnością, przepisywały ją portale od prawa do lewa, niekiedy odsyłając do oryginalnego tekstu. Wybaczmy tym, którzy nagrzeszyli, łamiąc prawa autorskie, pochwalmy tych, którzy chcieli się poprawić i zadośćuczynić.

Ważniejsze jest teraz, że wyznania Igora pokazały nam wszystkim, że korona to nie tylko liczby w komunikatach ministerialnych, ale ciężkie przejścia konkretnego faceta, którym może być każdy z nas. I kolega Igora, redaktor jego tekstów, i każdy ich czytelnik – choć akurat przez lekturę tak błyskotliwych felietonów raczej trudno się zarazić.

Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że mam podglądy „wolnościowe”. Od lat bronie swobód gospodarczych – ostatnio nie dogmatycznie, ale wciąż konsekwentnie, pod warunkiem że nie zaburzają ich państwowe interwencje. Jednak dziś mam wrażenie, że obrony najbardziej potrzebują wolność słowa i myśli, które usiłuje się zdusić za pomocą politycznej poprawności.

No i tu jest problem. Bo z jednej strony popieram z całego serca swobodę głoszenia rozmaitych niestworzonych teorii na temat nieistniejącej ponoć epidemii. Z drugiej – świat jest zagrożony zarazą: społeczeństwo, naród, kolejne setki czy tysiące Polaków mogą paść ofiarą niefrasobliwości innych. To nie żarty. Mogą umrzeć.

Kładąc na szale tej wagi różne wartości, wybieram trzecią. Stan nadzwyczajny, gdy na jakiś czas zawieszone będą pewne wolności. To potrzebne dla przetrwania narodu. Niekoniecznie zomowcy przy koksownikach. Koniecznie prawda o wirusie i obostrzenia. Dla Polaków. Dla Polski. Więcej we mnie patrioty niż wolnościowca.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



KOSTKA MIKROFONOWA /„UCHO”/„DESKA”

Ostatnio tak wyglądają moje podróże. „Deska”, czyli podkładka, przydaje się po wywiadach do spisywania w punktach poruszanych zagadnień, żeby w relacjach live mieć wszystko uporządkowane. „Ucho” to kontakt ze studiem. Kostka – wiadomo.



ŻELAZKO

Kupiłam je na konkurs Miss Intercontinental do Hiszpanii 10 lat temu i do tej pory działa nienagannie. Ponieważ jestem perfekcjonistką, nawet po przylocie późną nocą prasuję swoje stroje, żeby na rano wszystko było gotowe i nienaganne.



LEKI NA CHOROBY LOKOMOCYJNE

W samochodzie mogę tylko prowadzić lub siedzieć koło kierowcy. Zajmowanie tylnego miejsca zawsze się źle kończyło. Najgorzej znoszę podróże statkiem. Jeżeli chodzi o samolot, to potrafię zasnąć przed startem.



SZPILKI

Chodzę tylko w szpilkach. Są moją słabością. Ponieważ szanuję swoje stopy, wybieram tylko dobre i markowe.



KOSTIUM KĄPIELOWY

Jestem fanką beach holidays, czyli wakacji, podczas których nic nie robię. Ale po pracy też uwielbiam udać się na zasłużony relaks. Sauna i basen rozluźniają mięśnie. Sprawiają, że się regeneruję.



KOSTIUMY

Nie podróżuję w dresie, nie chodzę w szortach. Kultuwuję włoski styl, gdzie kobieta jest zawsze zadbana i dobrze ubrana. Myślę, że dobrze reprezentuję Polki na świecie.



Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

W ciemnym kanale



Nie milkną echa skandalu związanego z niemiecką wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego Katariną Barley i jej słowami o „finansowym głodzeniu Polski i Węgier”, a zamiast przeprosin doczekaliśmy się akcji medialnej na terenie Niemiec w „starym dobrym stylu”. Do szturmuru ruszył wysokonakładowy dziennik „Die Welt”. Piórem Karla Geigera zaapelował: „Każdy obywatel niemiecki powinien być zainteresowany zapewnieniem przestrzegania praworządności w Europie Wschodniej – gdyż bez niezależnej kontroli miliardy unijne trafiają do ciemnych kanałów”. Zaraz potem autor tekstu dodaje: „Jednak transfer funduszy może być kontrolowany w docelowych krajach tylko przez nieprzekupnych posłów, bezstronne sądy i niezależnych dziennikarzy. Rządy w Warszawie, Budapeszcie czy Sofii są w trakcie niszczenia właśnie tych organów kontrolnych”. Rozumiem, że „Die Welt” pod pojęciem „nieprzekupnych posłów” rozumie takie postaci jak: Janusz Lewandowski czy Magdalena Adamowicz, która walczy z hejtem, mając na głowie prokuratorskie zarzuty. Bezstronne sądy to oczywiście członkowie stowarzyszeń takich jak Justitia czy Temida, zwani „kastą”, a niezależni dziennikarze to rzesza funkcjonariuszy Ringier Axel Springer czy koncernu Agora z Czerskiej. Ci już z pewnością dopilnują, żeby unijne pieniądze nie trafiły do „ciemnych kanałów”, tylko do krajów południa Europy, które aż przebierają z tego powodu nogami.

Jak pisze na swoim profilu prof. Ryszard Chazan, choruje (w tym umiera) „w Polsce ponad 400 tys. osób rocznie” z powodu innych

wirusów niż COVID-19. „Zastanawiam się, czy te kilka miesięcy epatowania ludzi niebezpiecznym, śmiertelnym wirusem (de facto o bardzo niskiej śmiertelności) zupełnie odebrało zdolność zdrowego myślenia. Zapomnieliśmy, że ludzie zawsze mieli infekcje, zwłaszcza górnych dróg oddechowych (kilka milionów osób rocznie). Za większość z nich odpowiadają zawsze wirusy (w tym 10 proc. koronawirusy), ale nikt nigdy nie wykonywał z tego powodu testów, nie kierował nikogo na kwarantannę, nie zamykał szkół, przedszkoli. Dzisiaj jedno dziecko w szkole, przedszkolu z dodatnim testem skutkuje kwarantanną kilkuset osób”. Nie jestem wrogiem noszenia maseczek (na świeżym powietrzu?), przestrzegania zasad higieny i trzymania dystansu, ale reszta? Rozumiem, że dziennikarze mają o czym pisać, a rząd ma z koronawirusa niezły parawan do unikania publicznego dyskursu na poważniejsze tematy. Jak się okazuje, władze znanego z eksperymentów społecznych stanu Kalifornia w oficjalnych komunikatach nakazują już zasłanianie twarzy ludziom w przerwie między braniem kolejnych kęsów, gdy wspólnie spożywają posiłek. A to już stan umysłu.

Na celowniku eurokratów znalazły się różne rodzaje broni nieśmiertelności (non-lethal weapon). Dlatego, że można je przerobić na śmiertelność. Są to: AEW, czyli repliki symulujące broń prawdziwą, tzw. broń hukową, air soft gun (ASG) oraz wiatrówki. Nadchodzi czas na dodatkowe regulacje. Brukselskie urzędniki weszły także w dawną broń palną, ale zmodyfikowaną do strzelania ślepkami

czy w inny sposób pozbawionej możliwości wydostania się kuli z lufy. Broń pozbawiona możliwości strzelania wraz z bronią zmodyfikowaną do kalibrów floberbert (4 mm, 6 mm, 9 mm) również znalazły się na cenzurowanym. Przy podążaniu tą drogą łatwo o wpadnięcie w absurd. Wedle regulacji często pada określenie, że jeśli ostrze ma ponad 8 cm, jest bronią, a jeśli mniej – już nie. Przy takim podejściu nie dziwi już, że w 2018 r. angielski sędzia z Luton walczył o zakaz sprzedaży noży kuchennych. Drogą tego sędziego wydają się podążać unijni urzędnicy. Nic tak nie drażni lewactwa jak zezwolenia na posiadanie broni palnej u obywateli i nic tak nie kręci prawdziwego urzędnika jak wydawanie zakazów.

Jak podaje portal Polonia Christiana, na przełomie sierpnia i września 2020 r. odbyły się warsztaty zorganizowane przez stowarzyszenie Kampania przeciw Homofobii dla dziennikarzy Onetu (wydawnictwo Ringier Axel Springer). Szkolenie dotyczyło operowania w publikacjach „właściwym, niedyskryminującym językiem” opisu społeczności LGBT i coś tam. Od teraz możemy brać przykład z przeszkolonego „po linii i na bazie” aktywu dziennikarskiego Onetu i uczyć się od nich, jakich słów używać politpoprawnie w swoich publikacjach. To wielki przełom w dziedzinie zwanej wolnością słowa. Najpierw dać sobie przeprać mózg, potem założyć kaganiec autocenzury i powielać belkotliwą nowomowę środowisk wywodzących się z kręgu osób (broń Boże, nie ideologii) LGBT. Człowiek, jak widać, ciągle musi się uczyć, jak się utrzymać na fali.

Andrzej Rafał Potocki

Cyfrowa transformacja

Pandemia przyspieszyła cyfrową rewolucję. Konieczność ograniczenia kontaktów społecznych wymusiła przenoszenie do internetu zarówno sfery wielu usług, jak i relacji między państwem i obywatelem. W ostatnich miesiącach liczba petentów zwracających się do urzędów przez internet wzrosła dwukrotnie. W najbliższych dniach parlament będzie się zajmować nowymi przepisami dotyczącymi e-korespondencji, która ma usprawnić doręczanie listów poleconych.

Najnowsze analizy wskazują, że w ostatnich miesiącach w związku z obostrzeniami wywołanymi przez COVID-19 liczba osób, które skorzystały z usług internetowych, wzrosła o ponad 3,5 mln. Użytkownicy internetu korzystali przede wszystkim z oferty banków, sklepów i platform rozrywkowych. Do grona internetowych surferów dołączyło aż 40 proc. więcej osób po 65. roku życia. Przed wybuchem pandemii wielu starszych ludzi odczuwało opór przed załatwianiem spraw online. Podobnie wiele mniejszych przedsiębiorstw stroniło od wirtualnych narzędzi usprawniających prowadzenie działalności gospodarczej. Cyfryzacja była postrzegana jako koszt, nie zaś inwestycja. Jedną z najbardziej znanych w Polsce platform zakupowych od kwietnia do czerwca br. zyskała 15 tys. kont firmowych, co stanowi jedynie 5 tys. mniej w porównaniu z całym 2019 r.

Obecnie ogromną popularnością cieszą się wirtualne oferty zakupów żywności. Popyt na swoje towary obserwują nie tylko sklepy internetowe, lecz także pośrednicy. Kiedyś o zakupy można było poprosić kogoś bliskiego, dziś w 15 miastach w Polsce może je za nas zrobić także wykwalifikowany shopper. W czasie lockdownu liczba nowych klientów wspomnianej platformy zwiększała się nawet o 1 tys. proc.

Wielu Polaków zaczęło spędzać swój wolny czas w internecie. W okresie ograniczenia możliwości przemieszczania się zdecydowanie częściej odwiedzano platformy streamingowe. Niemal połowa dawnych bywalców kin i teatrów zrezygnowała z uczęszczania na seanse i spektakle, a ponad jedna trzecia znacznie ograniczyła takie wyjścia. Co piąty z nas przeznaczył więcej pieniędzy na swoją pasję czy dodatkową aktywność.

Kilkanaście procent Polaków korzysta z teleporad medycznych, a ponad jedna trzecia planuje zasięgnięcie porady lekarskiej w ten sposób.

Część uczelni funkcjonuje w trybie zdalnym, podobnie czyni wiele szkół językowych. Popularność zyskują więc wszelkiego rodzaju aplikacje umożliwiające prowadzenie konferencji online. Wielu uczniów, mimo powrotu do tradycyjnych metod nauczania, wskazuje, że dzięki komunikatorom internetowym nawiązanie kontaktu z nauczycielami przebiega teraz sprawniej i jest bardziej bezpośrednie w porównaniu z czasem sprzed lockdownu. Część szkół stara się transmitować lekcje online dla uczniów, którzy nie mogą być obecni w klasach.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Z raportu opracowanego przez Kongres Stanów Zjednoczonych wynika, że internetowi monopolisci – Google, Apple, Facebook czy Amazon (w skrócie GAFA) – posiadają łączną kapitalizację w wysokości 5,3 bln dol., a najnowsze prognozy wskazują, że w 2020 r. przychody wymienionych gigantów technologicznych osiągną 900 mld dol.

Polska jest najbardziej dynamiczną gospodarką Unii Europejskiej i państwem jak dotąd najsprawniej radzącym sobie z kryzysem wywołanym przez COVID-19. Pod względem technologicznym dotychczas do czempionów w Unii nie należeliśmy. Ten stan był uwarunkowany przede wszystkim strukturą rodzimej gospodarki, składającej się w największym stopniu z niewielkich podmiotów działających lokalnie i uznających zwiększenie zaangażowania w rozwiązania IT za zbędny wydatek. Według ekspertów i menedżerów kryzys ekonomiczny spowodowany pandemią można powstrzymać. Szczepionką na koronawirusa w gospodarce ma się stać właśnie przyspieszona cyfrowa transformacja, która dokonuje się na naszych oczach.

REKLAMA



**DOBRE SŁOWO
NA FALI**



**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**



www.radiowarszawa.com.pl

44/0920/F

RZECZY POSPOLITE

Hetmańska rocznica

Dziwnie cicho i bez echa przeszła wielka rocznica śmierci hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Wspaniały rycerz, zwycięzca spod Kluszyńska, zdobywca Moskwy, zginął 7 października 1620 r. pod Cecorą, gdy po właściwie nierozstrzygniętej bitwie z wojskami turecko-tatarskimi jego armia znajdowała się w odwrocie.

Kilka obrazów przychodzi do głowy, gdy się o nim myśli. Pierwszy to wzięty jeszcze ze wspomnień jego prawnika Jana III Sobieskiego – zdarzenie z dzieciństwa, gdy nad kołyską przyszłego wodza usiadł ptak drapieżny, znakując w ten sposób, że w narodzie polskim kolejny Orzeł powstaje. I wróżba o tym, że będzie wielki. Podobnie i Piłsudskiego porównywano do orla, który do wolności wyrwa się z ciemnej piwnicy – jak to poetycko określił Juliusz Kaden-Bandrowski. Kolejny obraz to ów Kluszyń z szarżami husarskimi, wielokrotnie powtarzanymi, raz za razem. Potem Moskwa. I Warszawa oraz carowie Szujscy, których właśnie hetman Żółkiewski prowadził Traktem Królewskim na zamek, by złożyć hołd przed polskim królem. Ale też i po tych wszystkich triumfach owej pięknej po-



**Tomasz
Łysiak**

staci – smutny koniec. Śmierć pod Cecorą. Odcięcie głowy przez pohańców i posłanie jej jako trofeum sułtanowi. Może zresztą to odcinanie głów – wychodząc jeszcze od historii męczeńskiej śmierci księcia Henryka Pobożnego, któremu Tatarzy po odmowie złożenia hołdu i zaparcia się wiary, także głowę odcięli – być jakimś symbolem okrucieństwa, nienawiści skierowanej do chrześcijan, do świata Zachodu. Po dziś islamscy terroryści stosują tę okrutną metodę, mordując chrześcijan na całym świecie, o tej martyrologii zaś rzadko kto przypomina, rzadko kto krzyczy.

Wracając do czasów hetmana – bitwa pod Cecorą to był początek naszej wojny z imperium osmańskim, wojny zwieńczonej sukcesem – zwycięską obroną Chocimia w 1621 r. Czterechsetną rocznicę tego wydarzenia będziemy obchodzili w przyszłym roku i powinniśmy to uczynić na miarę, godnie, z blaskiem. Bośmy wtedy, nie mniej, a może nawet i bardziej znacząco niż pod Wiedniem obronili zachodni chrześcijański świat przed zagrożeniem muzułmańskim. W cecorskim męczeństwie jest więc już wpisany przyszły triumf. Trzeba tylko rok zaczekać.

Współczesna targowica

Historyczne określenie targowicy dotyczy próśby rzekomych obrońców niby zagrożonej wolności w naszym kraju do Rosji o „pomoc”. W efekcie ich porozumienia zawartego w Petersburgu naszą pierwszą w Europie konstytucję szlag trafił, targowiczanie dostali jakieś urzędy, a Polska została pokrótce wymazana z mapy. Skąd to moje nawiązanie do tych zdarzeń? Tak mi się skojarzyło ze sprawą Katariny Barley, gotowej nas zagłodzić, ma się rozumieć, w ramach pomocy w obronie demokracji w naszym kraju. Jasne, wiceszefowa europarlamentu Niemka Barley to nie caryca Katarzyna II (też akurat Niemka, de domo von Anhalt-Zerbst, urodzona w Szczecinie, później żona cara...) – są w naszym eurosójuzie ważniejsze postaci, np. szefowa Komisji Europejskiej, również całkiem przypadkowo Niemka, Ursula von der Leyen. Więc nasi współcześni targowiczanie z PO i nie tylko jeżdżą już nie do Petersburga i nie do Moskwy ani Berlina, lecz do Brukseli.

Jeżdżą, proszą i donoszą, że polski rząd tylko psuje stosunki dobrosąsiedzkie, bo nie chce przywództwa Niemiec w Europie, nawet media w naszym kraju chce im odebrać i lotnisko własne budować zamiaruje, choć mamy to w Berlinie, i Rosji pluje w kaszę, bo przywała w Nord Stream 2, i w Mierzei Wiślanej ryje, choć mamy przesmyk na Bałtyk z Rosji. Na



**Piotr
Cywiński**

dodatek rozlicza sędziów uczciwie dyspozycyjnych wobec wcześniejszej władzy. I w ogóle u nas gorzej jak za komuny i III Rzeszy, bo geje bardziej prześladowani niż Żydzi przed wojną i strefy wolne od LGBT, że nawet dzieciom odbierają przyjemność nauki onanizmu w szkołach. Zgroza!

Więc jeżdżą ci nasi współcześni targowiczanie i o ratunek proszą. Pani od głodzenia powinna dostać medal „za walkę dla Polski”, proponowała europosłanka po mężu Adamowicz z KE. Sprawa Barley wpisuje się w szerszy kontekst o znaczeniu wręcz egzystencjalnym dla naszego kraju. Można by było oczekiwać, że dymisji tej pani zażądają politycy wszystkich maści, wsparci przez opluwany przez Barley, „reżimowy” rząd RP. Nic takiego... Protest grupy europosłów to za mało, a same wyrazy oburzenia wykazują tylko, że na Polsce można jeździć jak na łysej kobyle.

Czy sojusz polsko-amerykański może się podobać Niemcom, nie mówiąc o Rosjanach? Albo polska idea silnego Trójmorza? A zabieranie głosu w sprawach Białorusi, Ukrainy, Gruzji i innych państw posowieckich? Czyż nie trzeba nam pomocy Europy pod niemieckim przywództwem, aby zwrócić nas z tego obłądnego kursu? – skoro rząd sobie pozwala, a współcześni proszą...

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FUSIETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZTOF GRZYBOWSKI, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘDZKA, ANIA ŁABĘDZKA@FRATRIA.PL,
[BARTOŁOMIEJ SZYPIERSKI]
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PIŻA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDLECKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

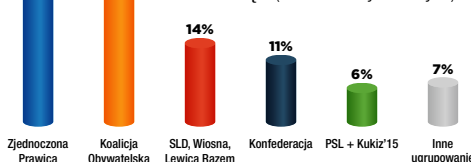


FOT. NA OKŁADCE: GRAND WARSZAWSKI / SHUTTERSTOCK.COM, ASATUR YESAANTS / SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK (5)



pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl

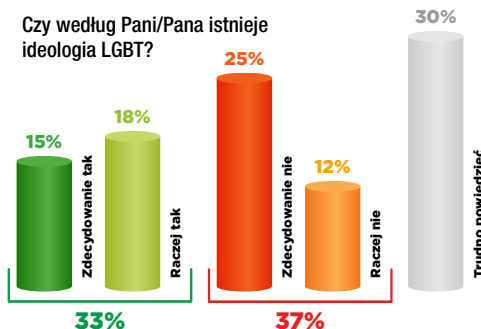
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy według Pani/Pana ambasadorowie innych państw pełniący swoje obowiązki w Polsce powinni zabierać głos na temat wewnętrznych spraw Polski, komentując, krytykując albo pisząc listy otwarte mogące wpływać na decyzje polskich polityków i rządu?

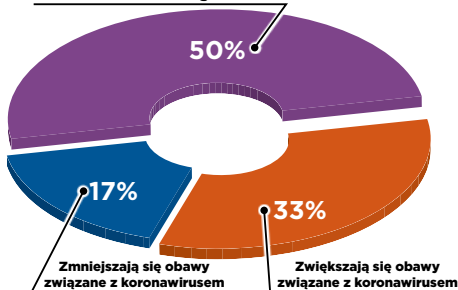


Czy według Pani/Pana istnieje ideologia LGBT?



Jakie są postawy względem epidemii koronawirusa w Pani/Pana najbliższym otoczeniu?

Poziom obaw związanych z koronawirusem nie ulega zmianom



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1076.

Zakres czasowy badania 2-5 października 2020 r.



Od minionej soboty cała Polska znalazła się w tzw. strefie żółtej. Oznacza to obowiązek zakrywania ust i nosa w przestrzeni publicznej. „Nie można ustnie usprawiedliwić braku maseczki. Musi być odpowiedni dokument, który policja będzie weryfikowała” – ostrzegł minister zdrowia Adam Niedzielski

Niebezpieczna bezsilność

Nie ma w Polsce nikogo, kto by postulował zamknięcie na nowo fabryk, komunikacji, szkół. Ale nie ma zarazem żadnych ekonomicznych przeciwwskazań, aby głoszoną przez polityków i lekarzy regułę DDM (dystans, dezynfekcja, maska) ubrać w mocne przepisy i z obywatelskiego kaprysu przekształcić w obywatelski obowiązek



JAN ROKITA

Italia przedłuża stan wyjątkowy do przyszłego roku, a minister zdrowia Roberto Speranza (notabene jeden z kluczowych polityków rządzącej lewicy) ogłasza nakaz używania masek zarówno w przestrzeniach otwartych,

jak i zamkniętych. Stan wyjątkowy wprowadzają Słowacja i Czechy – kraje sąsiedzkie, które wiosenne uderzenie zarazy przeszły zaskakująco łagodnie. Na Słowacji wiąże się to m.in. z zakazem zgromadzeń przekraczających liczbę 50 uczestników i obowiązkiem noszenia masek, także w starszych klasach szkolnych. W Czechach restrykcje liczbowe są ostrzejsze: najwyżej 10 osób w pomieszczeniach, 20 zaś w otwartej przestrzeni, z wyższymi limitami dla kościołów i zawodów sportowych.

„Po trzech miesiącach przejmuję walkę z covidem” – pisze na Facebooku

nowy słowacki premier Igor Matovič, sygnalizując konieczność silnego politycznego przywództwa na czas walki z nawrotem zarazy.

Macron poleca rządowi zamknąć bary, kawiarnie i ograniczyć do minimum poruszanie się ludzi po ulicach Marsylii i na całym obszarze tzw. Wielkiego Paryża.

Rząd Hiszpanii zarządza mały lockdown w Madrycie, co oznacza zakaz opuszczania dzielnicy, w której się zamieszkuje, z wyjątkiem wyjść do pracy i szkoły. Skądinąd ta decyzja socjalistycznego gabinetu spotyka się



z kontrą pravicowej prezydent regionu stołecznego Isabel Ayuso, która oskarża premiera Sáncheza przed trybunałem o bezprawne pozbawianie Hiszpanów wolności.

To tylko kilka spośród świeżych doniesień z jesiennej frontu walki z zarazą. Europejscy przywódcy, pomimo katastrofalnych doświadczeń ze skutkami wiosennego lockdownu, znów boją się koronawirusa bardziej nawet niżli gniewu swoich wyborców.

WIOSENNE STRACHY

Kiedy wiosną Morawiecki z Szumowskim decydowali o polskiej wersji lock-

downu, nie kopiowali żadnej jednolitej unijnej strategii. Przeciwnie, w Europie toczył się wtedy ostry spór, jak taka strategia powinna wyglądać, a decyzje, które zapadły w Warszawie, przechylały szalę na stronę zwolenników twardego lockdownu. Dopiero potem, z powoływaniem się na coraz bardziej wątpliwą wartość „naukowych” argumentów, minister Szumowski zaczął zarządzać rzeczy tak jawnie absurdalne jak sławetne zamknięcie lasów albo ściganie samotnych rowerzystów przez policję. Wtedy zadziałała znana w Polsce choroba kseropolityki; skoro gdzieś w Europie ktoś coś uznał za słuszne, to my musimy tak samo... Jednak choć wszyscy (chyba poza członkami rządu) zdawali sobie sprawę z nonsensowności części zarządzeń, otwartej kontestacji nie było, społeczna subordynacja zaś okazała się lepsza nawet niżli osławiona (a należąca już do przeszłości) „dyscyplina niemiecka”.

Wiosną Polska pokazała swoje ładne, wspólnotowe oblicze, zupełnie sprzeczne ze stereotypem narodowej przekory i warcholstwa. Skąd się to brało? Oczywiście wszyscy byliśmy trochę przestraszeni, nie wiedząc nic o tym, jak dalej taka zaraza może się współcześnie rozwinąć. Ale to tylko ćwierć prawdy. Te pozostałe trzy ćwierci to nasze ówczesne zbiorowe przekonanie, że państwo zadziałało wprawdzie twardo, ale z pobudek moralnych. Czyli po to, aby słabych, starych i schorowanych ochronić przed niechybną śmiercią, jaką zwiastował dla nich COVID-19. Wybaczaliśmy więc państwu nawet jawne absurdy, niepotrzebnie zatrudniające nam codzienność, okazując mu tym samym spory kapitał zaufania. Społeczny podziw i uznanie dla „wiecznie zmęczonego” Szumowskiego stał się tego widocznym symptomem; minister zdrowia przez chwilę wygrywał wszystkie sondaże popularności.

ZMARNOWANY KAPITAŁ ZAUFANIA

Dziś trzeba sobie powiedzieć otwarcie: tamten kapitał zaufania do państwa został zmarnowany. I tylko do pewnego stopnia usprawiedliwieniem może być to, że owo zmarnotrawienie obywatel-

skiego zaufania nie jest li tylko doświadczeniem polskich władz, ale przytrafiło się licznym rządom w Europie i Ameryce. Wkrótce miało się bowiem okazać, że w sprawie zarazy politycy zbyt jawnie tracą zasady i zaczynają kugłować. W Polsce spór o majowe wybory był pod tym względem przełomem, gdyż spektakularnie obnażył to, iż na pozór obiektywne „sanitarne” oceny rzeczywistości służą maskowaniu zwyczajnego partyjnego interesu.

Nazbyt jawnie i nachalnie taką właśnie naturę miały zarówno argumenty opozycji o „śmierci przynoszonej w pocztowym pakiecie wyborczym”, jak i sławetne słowa premiera z wiecu w Tomaszowie o „radości, iż już nie trzeba się bać wirusa, bo jest on w odwrocie”. Co więcej, opinia publiczna z rosnącym zdumieniem obserwowała, jak rząd, z taką samą „naukową” pewnością, z jaką zaprowadzał twardego lockdown, teraz go znosi, choć nawet dla mało rozgarniętego obywatela było jasne, iż okoliczności sanitarne nie tylko nie uległy poprawie, lecz przeciwnie, wyraźnie się pogorszyły.

O ile zatem marzec sugerował odwagę działania i moralny fundament działań władzy, o tyle maj i czerwiec spektakularnie temu zaprzeczały, obnażając jej polityczną arbitralność. Nic więc dziwnego, że wkrótce miał się ujawnić coraz bardziej wpływowy ruch społeczny i uliczne demonstracje, domagające się „odwołania pandemii”. Co prawda władze, część lekarzy i mainstreamowe media są skłonne ów społeczny odruch traktować jako objaw rosnącej społecznej ciemnoty („Nie wiem, naćpali się, jakaś cyberwojna, nie wiem, co to jest” – mówi w Polsce wirusolog prof. Krzysztof Simon). Jednak jeśli na sprawę spojrzeć chłodnym okiem, to wcale nie jest aż tak irracjonalna postawa tych, którzy uznali, że zaraza jest bardziej fenomenem politycznym niżli sanitarnym. Po prostu wyciągnęli logiczne wnioski z arbitralności państwa, które w kwietniu policyjnie ścigało jako przestępców rowerzystów na leśnych duktach, w czerwcu wzywało do „tłumnego” udziału w wyborach i rodzinnych wyjazdów na wakacje, we wrześniu zaś odmawiało zawieszenia lekcji szkolnych nawet tam, gdzie



zaraza zaatakowała jakąś część szkolnego grona pedagogicznego. Widząc to, ludzie musieli dojść do wniosku, że w materii zarazy władza jest kuglarzem. I tak umocniła się podejrzliwość wobec państwa, jego apeli i zarządzeń, powodując coraz bardziej katastrofalne w skutkach ich powszechne lekceważenie, przeradzające się już latem w coś na kształt spontanicznego i masowego nieposłuszeństwa obywatelskiego.

PRZESPANE WAKACJE

W takich warunkach nie jest łatwo odeprzeć główną, jesienno-zimową ofensywę wirusa, której początków właśnie doświadczamy. I to tym bardziej że owa zmiana społecznego nastawienia zbiega się jeszcze z coraz liczniejszymi świadectwami bezsilności czy też nieporadności władzy.

Świetnym przykładem jest niezdolność państwa do zapobieżenia „kryzysowi szczepionkowemu”, który wybuchł na skutek deficytu importowanych do Polski szczepionek przeciw grypie. Kryzys ten uruchomił ponure demony komunistycznej przeszłości: zapisy i kolejki bez nadziei na kupienie towaru, protekcję w aptekach, wściekłość tysięcy (a nie wykluczam, że milionów) ludzi, skazanych na używanie wszelkiego cwaniactwa dla „zdobycia” szczepionki, a i tak w większości bez sukcesu. Teraz okazuje się również, że w szpitalach powoli braknie jedynego leku dopuszczonego do stosowania w najcięższych przypadkach zachorowań, a wiceminister zdrowia ze spokojem tłumaczy, że po prostu „nie da się” go szybko kupić. Co prawda nowy szef tego resortu Adam Niedzielski wiele spraw stawia znów z głowy na nogi, racjonalnie odciążając niewydolny sanepid i szpitale zakaźne, grożące wkrótce zatankiem, a także włączając do walki z zarazą biernych wcześniej lekarzy pierwszego kontaktu.

Jednak niezależnie od tego, jak prawdziwe i poważne byłyby przeszkody w sprowadzeniu szczepionki na gripę czy leku ratującego życie, trudno dzisiaj uniknąć dwóch zdroworozsądkowych wniosków. Raz (jak mówi wielu leka-

rzy, np. Paweł Grzesiowski na łamach „Rzeczpospolitej”), że „Polska przespała wakacje”, zamiast się przygotować do drugiej fali zarazy. I dwa, że to z powodów politycznych, a nie sanitarnych, władza unika bardziej stanowczych kroków powstrzymujących zarazę.

Europejscy przywódcy, pomimo katastrofalnych doświadczeń ze skutkami wiosennego lockdownu, znów boją się koronawirusa bardziej nawet niżli gniewu swoich wyborców

CHRONIĆ GOSPODARKĘ

To jasne, że tak dalece jak to możliwe trzeba ochronić narodową gospodarkę przed dalszą koronawirusową zapaścią. Tym bardziej że z wiosennego lockdownu Polsce udało się wyjść w ciut lepszej kondycji od wielu innych krajów Unii. Jak niepotrzebne zakłęcie brzmi zatem powtarzana do znudzenia przez polityków teza, że „nowego lockdownu nie będzie”. Nie ma w Polsce nikogo, kto by postulował zamknięcie na nowo fabryk, komunikacji, szkół. Ale nie ma zarazem żadnych ekonomicznych przeciwwskazań, aby głoszoną przez polityków i lekarzy regułę DDM (dystans, dezynfekcja, maska) ubrać w mocne przepisy i z obywatelskiego kaprysu przekształcić w obywatelski obowiązek. To w końcu w Szwecji, o której cały czas mowa, jako o kraju najbardziej liberalnie podchodzącym do wirusa, od wiosny aż do dziś obowiązuje prawny zakaz zgromadzeń powyżej 50 osób, czyli coś, co w Polsce zostało w końcu wprowadzone, ale tylko w „czerwonych powiatach”, będących epicentrami zarazy. Tylko to jedno porównanie pokazuje, do jakiego stopnia nieprawdziwy jest potoczny obraz rzeczywistości, w którym my w Polsce stosujemy „an-

tywirusowy zamordyzm”, a Szwecja potrafi być prawdziwie wolnym krajem.

CZAS PREMIERA

Wystarczy chłodno popatrzeć na coraz bardziej drastyczne decyzje podejmowane w tych dniach przez rządy europejskie oraz na ostro rosnącą liczbę zgonów z powodu zarazy w naszym kraju (czyli wskaźnik, którego ważność uznają wszyscy, nawet zawzięci „negacjoniści” epidemii). Dziś już jest pewne, że im później rząd Morawieckiego dojdzie do wniosku, iż trzeba wszystkim kazać nosić maski czy zakazać wesel, imprez rozrywkowych i zgromadzeń, tym wyższa będzie cena ofiar braku takiej decyzji. Ta decyzja powinna być zapadła już co najmniej w połowie września, jeśli rząd postępował wedle logiki prewencji, tak właśnie jak czynił to w marcu.

Niestety marcowe i kwietniowe zaufanie do sanitarnych decyzji władz oraz ówczesna spontaniczna dyscyplina społeczna zostały utracone bezpowrotnie, więc nawet polityczny geniusz nie zdolałby dziś ich przywrócić. Niemniej jednak nie znaczy to wcale, że państwo nie ma już innego wyjścia, jak manifestować coraz bardziej niebezpieczną bezsilność, co czyni od chwili, gdy jesienny nawrót zarazy stał się faktem.

Strach Morawieckiego ma zapewne polityczne podstawy, gdyż w obecnym złym społecznym klimacie restrykcje mogą wywołać bunt albo co najmniej rozszerzające się obywatelskie nieposłuszeństwo, które przekształci je w kompletną fikcję. Żeby tak się nie stało, trzeba, aby rządzący, a zwłaszcza premier (który dysponuje ciągle potrzebnym do tego autorytetem) porzucił choć na chwilę język wszechogarniającej propagandy i ludzką mową opowiedział o złej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, przyznając przy tym oczywiste błędy, jakich sam się dopuścił. Tak, to prawda, że jest to w całkowitej sprzeczności z zaleceniami rządowych spin doktorów od propagandy, wedle których rząd nigdy nie popełnia błędów, a premier odnosi same sukcesy. Tym razem jednak sytuacja jest zbyt poważna, aby ich bez szemrania słuchać.



Druzgocąca pandemia manipulacji

Świat płonie! Pandemia unicestwia ludzkość! Musimy się pogodzić z narastającymi restrykcjami i wszystko podporządkować zatrzymaniu straszliwej, druzgocącej pandemii! Ta narracja dominuje w większości mediów. Poddają się jej rządy i obywatele. Nie widzą, że jest zbudowana na absurdzie



MACIEJ PAWLICKI

Narracja ta opiera się bowiem na radykalnej zamianie znaczenia kluczowego słowa CHOROBA. Bo choroba to – wedle tradycji, logiki, słownika PWN, polskiego prawa i wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia – zaburzenie funkcjonowania organizmu, nieprawidłowe działanie jednego lub wielu organów. Tymczasem dziś na gwałt wmawia się światu, że cho-

roba to stan, gdy organizm funkcjonuje normalnie, ale wykryto w nim wirusa. To definicja absurdalna. Na co dzień spotykamy się z wieloma wirusami i bakteriami, w ogromnej większości przypadków nawet o tym nie wiemy, gdyż nasz system odpornościowy sobie z nimi radzi, unieszkodliwia je. W ten sposób buduje także swą siłę, by być gotowym na kolejne spotkania z wirusami



i znów je pokonywać. A jednak ta nowa, niewypowiedziana wprost i absurdalna definicja jest na siłę wprowadzana. I na tej absurdalnej definicji są budowane decyzje zmieniające świat. Paraliżujące służbę zdrowia i narażające na cierpienie i śmierć miliony. Ale nie z powodu rzekomej pandemii, tylko z powodu unicestwiania normalnych mechanizmów społecznych, normalnych procesów niesienia pomocy, leczenia, wzajemnego wspierania się.

14 TYS. NAUKOWCÓW I LEKARZY

Druzgocąca jest owszem, ale nie pandemia, tylko efekt wprowadzanych restrykcji. Właśnie tak, jako „druzgocące” dla zdrowia publicznego i życia społecznego określa obecną i właśnie narastającą politykę covidowych ograniczeń – w chwili gdy to piszę – 5 tys. wybitnych naukowców i 9 tys. praktykujących lekarzy z całego świata. 4 października tego roku troje naukowców symbolicznie z trzech najlepszych uniwersytetów świata – Harvardu, Oxfordu i Stanfordu – ogłosiło dokument nazwany deklaracją z Great Barrington. Wzywa ona do opamiętania i radykalnej zmiany dotychczasowej strategii walki z chorobą COVID-19, opartej na ograniczeniach, blokadach, izolacjach i kwarantannach stosowanych wobec wszystkich, gdyż skutki tej strategii są druzgocące, dramatycznie gorsze niż rzeczywista skala samej choroby i mogą być dla życia społecznego nieodwracalne.

Autorami deklaracji i petycji są dr Martin Kulldorff (profesor medycyny na Uniwersytecie Harvarda, biostatystyk i epidemiolog), dr Sunetra Gupta (profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego, epidemiolog z doświadczeniem w immunologii i opracowywaniu szczepionek), dr Jay Bhattacharya (profesor Stanford University Medical School, lekarz, epidemiolog, ekspert ds. polityki zdrowia publicznego). W ciągu zaledwie kilku dni deklarację z Great Barrington podpisało kolejne 5 tys. naukowców i 9 tys. praktykujących lekarzy (w tym

kilkuset profesorów). Autorzy deklaracji, a za nimi owe 14 tys. naukowców i lekarzy wołają i ostrzegają: „Przychodzimy z lewa i z prawa, ze wszystkich stron świata, poświęciliśmy całe nasze zawodowe życie chronieniu ludzi. Obecna polityka restrykcji ma druzgocący wpływ na krótko- i długoterminowe zdrowie publiczne oraz całe społeczeństwa. [...] Jesteśmy świadkami radykalnego spadku wykrywalności le-

Deklaracja z Great Barrington wzywa do opamiętania i radykalnej zmiany dotychczasowej strategii walki z chorobą COVID-19, opartej na ograniczeniach, blokadach, izolacjach i kwarantannach stosowanych wobec wszystkich, gdyż skutki obecnej strategii są druzgocące, dramatycznie gorsze niż rzeczywista skala samej choroby i mogą być dla życia społecznego nieodwracalne

czenia chorób serca i układu krążenia, wykrywalności i leczenia nowotworów, pogorszenia leczenia chorób nerwowych i umysłowych [...] wszystko to przyniesie wielki wzrost śmiertelności w najbliższych latach, a pracownicy najemni i młodszy członkowie społeczeństwa poniosą najcięższe konsekwencje. Utrzymywanie obecnych restrykcji spowoduje nieodwracalne szkody i zniszczenia, szczególnie wśród nieuprzywilejowanych warstw społecznych. [...] Na szczęście nasza wiedza o wirusie wzrasta. Wiemy, że [...] dla dzieci stwarza zagrożenie mniejsze niż grypa. Wiemy, że odporność budowana w zbiorowości chroni także grupy ryzyka”.

Sygnatariusze deklaracji z Great Barrington apelują o nową strategię walki z pandemią, nazwaną przez nich „ochroną zogniskowaną, skupioną”. Głównym jej założeniem jest skupienie się na ochronie osób z grup wysokiego ryzyka, wrażliwych, bezbronnych, podczas gdy ludzie zdrowi powinni funkcjonować całkowicie normalnie, podobnie jak wszelkie publiczne instytucje i miejsca spotkań.

TRWA WŁAŚNIE WIELE PANDEMII

Nie wiem, ilu polskich naukowców i lekarzy podpisało już deklarację z Great Barrington, ale sądzę, że jest wśród nich dr Zbigniew Martyka, szef oddziału zakaźnego szpitala w Dąbrowie Tarnowskiej, jeden z tych, którzy nie boją się publicznie przeciwstawić powszechnie narzucanej narracji o straszliwej pandemii.

W wywiadzie dla „Super Expressu” dr Martyka powiedział: „Wielu naukowców i lekarzy twierdzi, że ukierunkowanie podstawowej działalności ochrony zdrowia na koronawirusa, z traktowaniem po macoszemu wszystkich pozostałych chorób, przyniesie więcej skutków negatywnych i więcej śmierci, niż gdyby w ogóle nie zajmowano się wymazami, szukaniem kontaktów, nie zamykano przed chorymi placówek ochrony zdrowia w obawie przed »śmiertelnym« wirusem, którego

śmiertelność jest porównywana do śmiertelności zwykłej grypy... Oczywiście po wyeliminowaniu sztucznie naciąganych rozpoznań »covid« u osób, które były tylko nosicielami wirusa, a zmarły z powodu innych ciężkich chorób. Nadzwyczajne działania doprowadzają do tego, że pacjenci nie mogą się doprosić, by jakiś lekarz ich dokładnie zbadał. Jak to ktoś sarkastycznie zauważył: »Doszło do tego, że lekarz nie chce zbadać pacjenta, bo pacjent może być chory«.

Pomimo tego, że zdecydowana większość osób, według różnych szacunków – nawet ok. 90 proc. zainfekowanych wirusem SARS-CoV-2, ma znikome

objawy lub nie ma ich wcale, dosłownie paraliżuje się palcówki ochrony zdrowia. Jestem mocno zaniepokojony narastającą ilością nie osób, u których znaleziono SARS-CoV-2, ale osób, które nie mogą uzyskać pilnej pomocy medycznej, bo personel ochrony zdrowia obawia się »covid« lub nie wolno przyjmować pacjentów z innymi chorobami poza »covidem«.

Samo wykrycie wirusa nie jest równoznaczne ze stwierdzeniem, że ktoś zachorował. U prawie każdego dorosłego człowieka można stwierdzić obecność wirusa ospy wietrznej (VZV), który aktualnie nie daje objawów klinicznych choroby, choć w każdej chwili w sytuacji obniżenia odporności może się ujawnić pod postacią półpaśca. Ponadto istotą problemu jest to, że WHO zmieniła definicję pandemii. Według tej nowej można nazwać pandemią każdą chorobę infekcyjną, która rozszerza się szybko po świecie. Przy dzisiejszych możliwościach szybkiego przemieszczania się można powiedzieć, że jest pandemia zapalenia płuc, HIV/AIDS, cytomegalii (CMV), mononukleozy zakaźnej (EBV), zakażeń jelitowych itp. Możemy wybierać. Najbardziej chyba rozprzestrzenia się zakażenie CMV i EBV, gdyż praktycznie każdy dorosły ma wysokie wartości przeciwciał IgG, które świadczą o przebytych zainfekowaniach tymi wirusami. W zdecydowanej większości przypadków te zakażenia przebiegają bezobjawowo, ale według nowej definicji WHO, która nie wymaga spełnienia kryterium wysokiej śmiertelności, to też można nazwać pandemią. Moglibyśmy więc także robić przesiewowe badania, zarządzać kwarantannę, obustrzenia – w stosunku do wielu innych chorób...».

PO CO TA PSYCHOZA?

Współautor deklaracji z Great Barrington prof. Kulldorff z Harvardu mówi: „Podstawowym zadaniem publicznej służby zdrowia jest to, że nie wolno nam patrzeć tylko na jedną chorobę, musimy patrzeć szeroko, całościowo, na wszystkie choroby, wszyst-

kie skutki naszych działań i decyzji, to nasz obowiązek”. Dlaczego na świecie tak się nie dzieje? Dlaczego zarządza się izolacje i kwarantanny, by lekarze nie spotykali pacjentów? Dlaczego polskie Ministerstwo Zdrowia „z przykrością informuje” wyłącznie o zmarłych, u których wykryto wirusa SARS-CoV-2? Stanowią jeden, ostatnio kilka procent wszystkich zmarłych każdego dnia Polaków. Dlaczego na współczucie Ministerstwa Zdrowia zasługują tylko ci z – prawdziwą lub domniemaną chorobą COVID?

Jak ktoś sarkastycznie zauważył: „Doszło do tego, że lekarz nie chce zbadać pacjenta, bo pacjent może być chory”

Koronawirusy znane są od 1965 r., jest ich wiele. Dwa razy w roku, wiosną i jesienią, nasilają się, podobnie jak inne wirusy. U ogromnej części populacji, ponad 99 proc., koronawirusy nie powodują choroby. U niewielkiej części powodują zachorowania, zwykle przechodzone łagodnie. U ułamka procenta powodują schorzenia cięższe, wymagające leczenia szpitalnego. U 0,003 proc. populacji powodują śmierć. Dosięga ona zwykle osób chorych na inne poważne schorzenia, osób w wieku 75–95 lat, choć zdarzają się wyjątki, gdy umierają młodszy.

Osób, które w ciągu siedmiu miesięcy zmarły w Polsce na chorobę COVID-19, jest około 300, co stanowi 0,0005 proc. populacji. 300 osób umiera w Polsce na raka każdego dnia. Ile z nich umiera dziś z powodu siedmiomiesięcznego zablokowania, zamrożenia dostępu do diagnostyki i leczenia nowotworów? Ile umrze z tego powodu w kolejnych dniach, miesiącach, latach? A to tylko jedna z dziesiątków chorób nieleczonego skutku „covidowego” zablokowania służby zdrowia.

JAK TO MOŻLIWE?

Jak to możliwe, że chorobę, która uśmierca rzadziej, niż czyni to kilkadziesiąt innych chorób, w tym kilka zakaźnych, rzadziej niż wypadki drogowe i samobójstwa – jak to możliwe, że taką chorobę udało się wykreować na mechanizm, który zatrzymał świat, rujnuje międzyludzkie relacje, szczuje ludzi na siebie, niszczy systemy wartości, życie duchowe oraz przepompowuje już nie setki miliardów, ale biliony z kieszeni pracowników najemnych i właścicieli drobnych biznesów do kieszeni multimiliarderów? Przy potulnej akceptacji, czasem nawet gorliwym współudziale większości tych pierwszych. Jak to możliwe?

Choroba jest stanem radykalnie odmiennym od braku choroby. Manipulacja polega na narzucaniu psychozy strachu przy użyciu nieprawdy o istnieniu choroby także tam, gdzie jej nie ma.

Jak to możliwe, że stan braku choroby, gdy nasz organizm radzi sobie z wirusami, także z wirusem SARS-CoV-2, pokonuje go dzięki swemu systemowi odpornościowemu, a więc stan dobra, zgadzamy się nazywać stanem zła, chorobą? Stwierdzenie obecności wirusa nazywać „zachorowaniem”? Dobro nazywać złem. Po co? By stale utrzymywać powszechną histerię i psychozę? By wywołać potulne podporządkowanie się wszelkim restrykcjom? By ludzie zgodzili się na aplikacje, które będą śledzić każdy ich krok? Tak wystraszyć i udręczyć wszystkich, by tęsknili do szczepionki placebo, bo przecież wirus dawno zmutował? Bo Gates, Pfizer, Soros, Johnson czy Rothschild, właściciele patentu na testy SARS-CoV-2 muszą jeszcze więcej zarobić?

Nie wierzę, by mój rząd, któremu chcę nadal ufać, miał takie cele. Nie wierzę. Jaka więc operacja trwa za kurtyną wykreowanej pandemii? Proszę o otwartą debatę z autorami i sygnatariuszami deklaracji z Great Barrington. Niech eksperci polskiego rządu zasiadają z nimi przy (choćby wirtualnym) stole. Rozwiemy wątpliwości. Bo nigdy się Polakom nie dało i nadal się nie da siłą wmówić, że dobro jest złem, a zło dobrem.



Rząd jak w systemie prezydenckim

Rekonstrukcja to nie jest kwestia przetasowań w rządzie, tylko przedstawienie decyzyjnego centrum państwa na osiągnięcie strategicznych celów



STANISŁAW JANECKI

Będzie mniej ministerstw, ale powstaną urzędy centralne je zastępujące albo odpowiednie biura w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. I będzie wicepremier Jarosław Kaczyński, ale w gruncie rzeczy niewiele się zmieni – tak większość mediów opisuje skutki rekonstrukcji rządu. Tyle że taka rekonstrukcja nie miałaby większego sensu, a ma mieć wręcz strategiczne znaczenie. Zmiany mają doprowadzić nie tylko do skrócenia drogi podejmowania decyzji i wdrażania ich w życie, lecz przede wszystkim do tego, żeby wszystkie decyzje (a przynajmniej zde-

cydowana większość) były spójne ze strategicznymi celami rządu.

A pierwszy cel strategiczny to szybkie pokonanie kryzysu wynikającego z pandemii. Tak, żeby najpóźniej w 2022 r. gospodarka wróciła do tempa rozwoju sprzed pandemii. Wielką rolę w tym powrocie mają odgrywać inwestycje, przede wszystkim publiczne. Realizowane w tempie dwa–trzy razy szybszym niż w „normalnych” czasach. I to nie jest zadanie dla jednego czy kilku resortów, lecz całego aparatu państwa. Drugi cel strategiczny, powiązany z pierwszym, to modernizacja całego państwa. Nie ma lepszej okazji do skoku cywilizacyjnego i pokonania zapóźnień niż kryzys w skali globalnej, który poniekąd znosi przewagi konkurencyjne. Tylko trzeba trafnie wskazać cele takiej wielkiej modernizacji. Lockdown zastosowany na początku pandemii obnażył nie tylko słabe strony dotychczasowej struktury rynku pracy, lecz również pokazał, jak ten rynek może

być zrationalizowany i odciążony od zbędnych kosztów: e-praca, e-urzędy, e-zdrowie, e-bankowość, e-usługi itd. W mniejszym stopniu, ale także, kryzys obnażył strukturę produkcji i eksportu, pokazując, w jakich sektorach gospodarki konieczne są zmiany. Trzecim celem strategicznym ma być znaczący wzrost poziomu życia – mimo kryzysu i kłopotów z utrzymaniem dotychczasowych dochodów. W jakimś sensie można powtórzyć tzw. niemiecki cud gospodarczy (skądinąd przygotowany przez Amerykanów), tylko nie z lat 1948–1954, ale z drugiej połowy lat 50. i początku lat 60. W tym kontekście rekonstrukcja to nie jest kwestia przetasowań w rządzie, tylko przedstawienie decyzyjnego centrum państwa na osiągnięcie strategicznych celów.

RZĄD RZĄDNY

Administrować rząd Mateusza Morawieckiego mógłby spokojnie do wyborów

parlamentarnych w 2023 r. Nawet mimo kryzysu i jego skutków. Tylko nic by z tego nie wynikało. I opozycja zdaje się zupełnie nie rozumieć, że choć celem strategicznym jest odbudowanie wzrostu sprzed pandemii, do tamtego czasu nie ma powrotu. W nowej rzeczywistości nie da się już działać starymi metodami. I to jest główna przyczyna rekonstrukcji rządu, a nie relacje między koalicjantami czy nowy podział stref wpływów. Teraz każde ministerstwo ma mieć agendę podporządkowaną strategicznym celom uzgodnionym, zapisanym i na bieżąco weryfikowanym. I to będzie kontrolowane oraz koordynowane na poziomie premiera i wicepremierów, ze znaczącym udziałem wicepremier Jarosława Kaczyńskiego. Oznacza to przede wszystkim odejście od funkcjonowania ministerstw jako samodzielnych księstw. Oznacza też zdecydowanie efektywniejsze wydawanie środków z budżetów poszczególnych resortów. I oznacza skrócenie drogi podejmowania decyzji oraz weryfikacji ich wdrażania.

W nowej konfiguracji konkretny minister nie będzie w stanie „bojkotować” decyzji premiera czy Rady Ministrów bądź ich opóźniać, co jest zmurą w federacyjnej strukturze rządu (każdego). Nie jest tajemnicą, że kilku ministrów stosowało taktykę potakiwania, ale niewprowadzania decyzji w życie. Pytani o efekty, mówili, że wszystko idzie dobrze, albo się dziwili, że czegoś jeszcze nie zrobiono, choć sami za to odpowiadali. I zapewniali, że zaraz wszystko ruszy z kopyta. W istocie nie robiono nic poza tym, co sam minister uważał za priorytetowe albo ważne dla środowisk czy grup, z którymi się liczył. Albo robiono mało. I takie gierki mogły trwać miesiącami. Ministrowie będą mieli teraz obowiązek relacjonowania Radzie Ministrów stanu spraw, które mieli rozwiązać, gdyż dotychczas nawet połowa zadań była po prostu odkładana lub rozważana, i to bez konsekwencji, co wynikało ze struktury rządu i było problemem praktycznie przez całe ostatnie 30-lecie. W zrekonstruowanym rządzie żadna resortowa inicjatywa nie przejdzie bez pośrednictwa Komitetu Stałego Rady Ministrów i akceptacji Rady Ministrów. I będą projekty realizowane przez kilka resortów jednocześnie, z tym że każdy z nich będzie nadzorował konkretny szef re-

sortu, a inni będą mu w tych projektach podporządkowani.

MNIEJ NOWEGO PRAWA

Rząd i jego sejmowe zaplecze będą tworzyć mniej nowego prawa, tym bardziej że wciąż faktem jest opozycyjna większość w Senacie, co proces tworzenia i zmieniania prawa utrudnia oraz wydłuża. Oznacza to, że rząd będzie zdecydowanie więcej robił na podstawie istniejącego już prawa. Ma to być coś w rodzaju działania na podstawie dekretów (rozporządzeń), niemających jednak mocy ustaw ani niezmiennych treści, bo to byłoby niezgodne z konstytucją. W poszczególnych resortach wielu rzeczy nie robiono, powołując się na brak stosownego ustawodawstwa, podczas gdy dotychczasowe prawo jednak pozwalało działać. Dotychczas prawie jedna trzecia nowych przepisów przyjmowana była dlatego, żeby doprecyzować poprzednie, co tylko zabierało czas, i ta część praktycznie zniknie. Tylko w wypadku niemożności rozwiązania czegoś bez zmian ustawowych będzie nowy projekt, ale liczba takich zmian ma być ograniczona co najmniej o połowę. W dodatku projekty mają być zgłaszane na pół roku i trzy miesiące przed terminem ich procedowania, żeby był czas na sprawdzenie ich konsekwencji, przede wszystkim ekonomicznych i międzynarodowych. Mają zniknąć projekty ustaw wrzucane z resortów w ostatniej chwili i procedowane jako projekty poselskie, żeby było szybciej.

Celem zmian jest doprowadzenie do tego, żeby rząd funkcjonował trochę tak jak w systemie prezydenckim, np. w USA czy w jakimś sensie we Francji, choć w Polsce rząd ma oczywiście inne konstytucyjne usytuowanie. Ma to przyspieszyć decyzje oraz zlikwidować resortową „samowolkę”. Każdy rząd traci wtedy, gdy efekty decyzji są rozmyte albo bardzo odłożone w czasie. Powstaje wtedy wrażenie, że rząd faktycznie nie rządzi, tylko reaguje na aktualne wydarzenia.

Gdy Leszek Miller przestał być premierem, mówił publicznie, że szef rządu znacznie mniej może, niż się wydaje, i że ma więcej ograniczeń niż możliwości. Ale wtedy wyborcy mogą zapytać,

dla czego tego się nie zmienia. Dla czego premier nie może być decyzyjny? Dla czego skutki są tak bardzo odłożone w czasie albo ich wcale nie widać? To ma się zmienić m.in. wskutek rekonstrukcji i generalnej przebudowy filozofii funkcjonowania rządu: są strategiczne cele, są za to odpowiedzialni i jest konkretny horyzont czasowy. Jeśli każde zadanie można opóźnić, a cel zredukować, trudno mówić o tym, że rząd naprawdę rządzi. Szczególnie jest to ważne w gospodarce, a przede wszystkim w inwestycjach. Ważne dla społeczeństwa transfery socjalne są pod tym względem łatwiejsze, potrzebna jest bowiem wola polityczna oraz decyzja o sprawiedliwym wykorzystaniu wzrostu.

RZĄD PREZYDENCKI BEZ PREZYDENTA

Zjednoczona Prawica uznała, że głównych celów rekonstrukcji oraz zmiany filozofii rządzenia nie dałoby się zrealizować bez wsparcia Jarosława Kaczyńskiego i jego udziału w rządzie. Obecność w rządzie lidera całego obozu politycznego skracza uzgadnianie i podejmowanie decyzji, ma też wpływać na skuteczność ich wdrażania. Cała ważna polityka będzie rozgrywana w Radzie Ministrów i kontrolowana z poziomu posiedzeń rządu. Z tego powodu mają zniknąć lub być ograniczone do minimum zastępstwa wiceministrów podczas posiedzeń Rady Ministrów. Żaden szef resortu nie będzie mógł udawać, że o czymś nie wie, przerzucać odpowiedzialności na podwładnych i współpracowników. Żaden nie będzie też mógł być nieprzygotowany w kwestiach pozostających w jego kompetencjach, chyba że nie chce być dłużej szefem resortu. Żeby to wszystko sprawnie funkcjonowało, potrzebna jest oczywiście współpraca z prezydentem, tym bardziej że rząd chciałby działać na sposób gabinetu prezydenckiego, choć nie z głową państwa, lecz premierem na czele. I tu mogą być największe problemy. Choćby dlatego, że w drugiej (i ostatniej) kadencji siłą rzeczy prezydentura jest bardziej asertywna. Ale platformą dobrej współpracy mogą być strategiczne cele rządu, czyli całego państwa. One są też celami prezydenta Andrzeja Dudy.

Edukacja na froncie

Ostra stylistyka jest świadomym zabiegiem, który ma zbudować wizerunek Przemysława Czarńka jako twardego konserwatysty i świadczyć o tym, że nie zamierza iść na żadne kompromisy. Sam zresztą to potwierdza, deklarując, że w walce o edukację będzie „nieugięty”. Pytanie tylko, czy tę walkę można wygrać, a jeśli tak, to jak należy grać?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Nominacja Przemysława Czarńka na ministra edukacji i nauki wywołała gwałtowną reakcję opozycji, zwłaszcza tej o bardziej lewicowym zabarwieniu. I to mimo że Czarnek nie został zaprzyszczony z powodu zakażenia koronawirusem, nie rozpoczął jeszcze urzędowania ani nie podjął żadnej decyzji.

Czarnek jest atakowany a priori, bo w ostatnich miesiącach – głównie dzięki swoim ostrym wypowiedziom – stał się jednym z głównych bojowników na froncie walki kulturowej z lewicą. Twardo sprzeciwia się wszystkim świętościom obozu postępu, a szczególnie promowaniu i uprzywilejowaniu LGBT. Nie ukrywa też swoich konserwatywnych przekonań, lubi odwoływać się do kategorii prawdy obiektywnej i do Boga. To wszystko musi oczywiście działać na radykalną lewicę jak czerwona płachta na byka.

Nominowanie Czarńka na ministra odpowiedzialnego za edukację to z punktu widzenia obyczajowych rady-

kałów casus belli. Dla lewicy edukacja to absolutnie kluczowy sektor, to dzięki niej kształtuje się przecież umysły i wrażliwość młodych ludzi, a – w konsekwencji – przyszłość i kierunek rozwoju całego społeczeństwa. Trudno przy tym nie dostrzec, że od wielu lat to właśnie lewica nadawała ton procesowi edukacyjnemu, budując sobie w ten sposób dominującą pozycję w kręgach inteligencji. Prawicowe rządy mogły temu mniej lub bardziej przeszkadzać, ale nigdy nie były w stanie temu całkiem zapobiec.

Dlatego przejście przez ostro kwestionującego lewicowe świętości Przemysława Czarńka nadzoru nad edukacją to – przy zachowaniu odpowiednich proporcji – trochę tak, jakby katolicy się dowiedzieli, że papieżem został ateista. Lewica widzi w tym niemalże zgaszenie kaganka oświaty i zagrożenie dla swojej pozycji. Czarnek wkracza więc niejako do gniazda os, które zapewne będą go kąsać tak długo, aż się nie cofnie.

NOWY WRÓG

Przedsmak czekającej nas burzy mieliśmy już w zeszłym tygodniu. W wielu szkołach ogłoszono „czarny tydzień”, zachęcając uczniów, aby w geście protestu ubrali się na czarno. Wśród

uczniów, nawet tych ze szkół podstawowych, krążyły cytaty z publicznych wypowiedzi Czarńka, zwłaszcza ten, w którym nowy minister krytykuje późne macierzyństwo, dodając zarazem, że kobieta została powołana przez Pana Boga do rodzenia dzieci. Zostało to zinterpretowane jako obraźliwa mizoginia i odbieranie młodym kobietom prawa do kariery zawodowej.

Na niektórych uczelniach – według twitterowej relacji jednej ze studentek tak było na UMK w Toruniu – wykładowcy wygłaszali podczas inauguracyjnych zajęć tyrady przeciwko nowemu ministrowi. Posypały się również listy protestacyjne kadry akademickiej, których sygnatariusze sprzeciwiali się nominacji Przemysława Czarńka, choć trzeba dodać, że byli też profesorowie, którzy publicznie stanęli w obronie nowego ministra.

Krytycy Czarńka przedstawiają jego nominację jako zagrożenie dla wolności akademickiej. Dlaczego? Ano dlatego, że Czarnek ma – zdaniem części pracowników polskich uczelni i ich kadry naukowej – posługiwać się „mową nienawiści” i wykluczać inaczej myślących. Można to jednak odczytać inaczej, w mniej ezopowym języku, że po prostu Czarnek ma poglądy nieakceptowane w lewicowym mainstreamie, a więc

takie, których nie powinno się dopuszczać w szkołach i na uczelniach.

O jakie poglądy chodzi? Sygnatariusze chętnie służą cytatami. Wszystkie je łączy jedno – ostra krytyka LGBT. W jednej z wypowiedzi nowy minister szuka pokrewieństwa tęczowej ideologii z nazizmem, w innej deklaruje się jako przeciwnik promocji „zbożeń, dewiacji i wynaturzeń”, w jeszcze innej ma twierdzić, że „ci ludzie [LGBT] nie są równi ludziom normalnym”. Wprawdzie w niedawnej rozmowie z tygodnikiem „Sieci” Przemysław Czarnek wyjaśniał, że „jeżeli ekshibicjonista w biały dzień wychodzi z szampanem w rękę i spaceruje z przyrodzeniem na wierzchu, na oczach także dzieci, to nie jest to zachowanie normalne i taki człowiek mianem normalnego cieszyć się nie może”, to jednak wspomniane cytaty zaczęły już żyć własnym życiem. Czarnek nic sobie z tego nie robi, bo – jak dodaje – większość Polaków dobrze zrozumiała, co miał na myśli. Zapewne ma rację, choć zarazem trudno nie powstrzymać się przed refleksją, że jego ostra stylistyka jest świadomym zabiegiem, który ma zbudować wizerunek twardego konserwatysty i świadczyć o tym, że nowy minister nie zamierza iść na żadne kompromisy. Sam zresztą to potwierdza, deklarując, że w walce o edukację będzie „nieugięty”. Pytanie tylko, czy tę walkę można wygrać, a jeśli tak, to jak należy grać? Czy uderzać frontalnie, czy raczej posłużyć się umiejętną strategią i skomplikowanymi manewrami?

MŁODZIEŻ UMIE LICZYĆ

Na razie Przemysław Czarnek woli uderzać frontalnie, choć zarazem zastrzega, że strategia może się zmieniać, bo w polityce liczy się skuteczność. W tym kontekście w mediach pojawiają się różne interpretacje tłumaczące jego nominację. Wśród nich ta, wedle której wysunięcie kandydatury Czarnka ma wzmocnić tożsamościowy wizerunek PiS u konserwatywnego wyborcy. Poseł Lewicy Maciej Gdula zakłada przy tym, że poglądy Przemysława Czarnka są jedynie grą na użytek elektoratu. Co nie

oznacza oczywiście, że Czarnka należy lekceważyć. Bo – niezależnie od intencji – jest on wrogiem i trzeba go zwalczać.

Są wreszcie również inne uzasadnienia. Twierdzi się np., że postawienie wyrazistego polityka na czele resortu edukacji i nauki świadczy o tym, iż kierownictwo PiS bardzo poważnie podeszło do problemu wychowania młodzieży, która coraz mniej chętnie – jak pokazują wyniki ostatnich wyborów – oddaje swoje głosy na partię rządzącą.

Krytycy Czarnka przedstawiają jego nominację jako zagrożenie dla wolności akademickiej. Można to jednak odczytać inaczej, że po prostu Czarnek ma poglądy nieakceptowalne dla lewicy

Prawda jest taka, że obie strony sporu: prawa i lewa, zabiegają o młody elektorat. Przy czym młodzi wybierają zwykle tych, których uważają za antysystemowych, a w tym przypadku żadna z głównych partii: ani PiS, ani PO, na pewno nie jest tak postrzegana. Na tym zresztą korzysta Lewica i – z drugiej strony – Konfederacja. PiS musi więc przyjąć inną strategię.

Dobrym pomysłem byłoby pochylenie się nad kiepskimi perspektywami uczącej się młodzieży. Dziś dyplom szkoły wyższej stał się powszechny i młodzi ludzie są zwyczajnie oszukiwani, gdy mówi się im, że wykształcenie gwarantuje dobrą pracę i zarobki. Otóż takich gwarancji nie ma. Zadaniem państwa powinno być więc albo ograniczenie dostępu do wykształcenia wyższego, aby dostosować liczbę absolwentów do rynku pracy, albo – co jest znacznie lepszym rozwiązaniem – taka stymulacja rynku, aby wchłonął jak najwięcej młodych absolwentów uczelni i pozwolił im, choćby częściowo, zaspokoić aspiracje. Warto przy tym zauważyć, że

perspektywa stabilnej przyszłości to nie tylko pomysł na przyciągnięcie młodego elektoratu, lecz również istotny element tak ważnej dla PiS polityki prorodzinnej.

We wspomnianej już wypowiedzi Przemysława Czarnka krytykującego późne macierzyństwo zabrakło tej perspektywy. Czarnek ma rację, gdy wskazuje, że rodzina jest zagrożona przez ideologię radykalnej lewicy, ale jest też druga strona medalu. Kryzys rodziny ma często podłoże ekonomiczne. Dlatego należy z tym kryzysem walczyć w obu tych wymiarach i nie lekceważyć żadnego z nich.

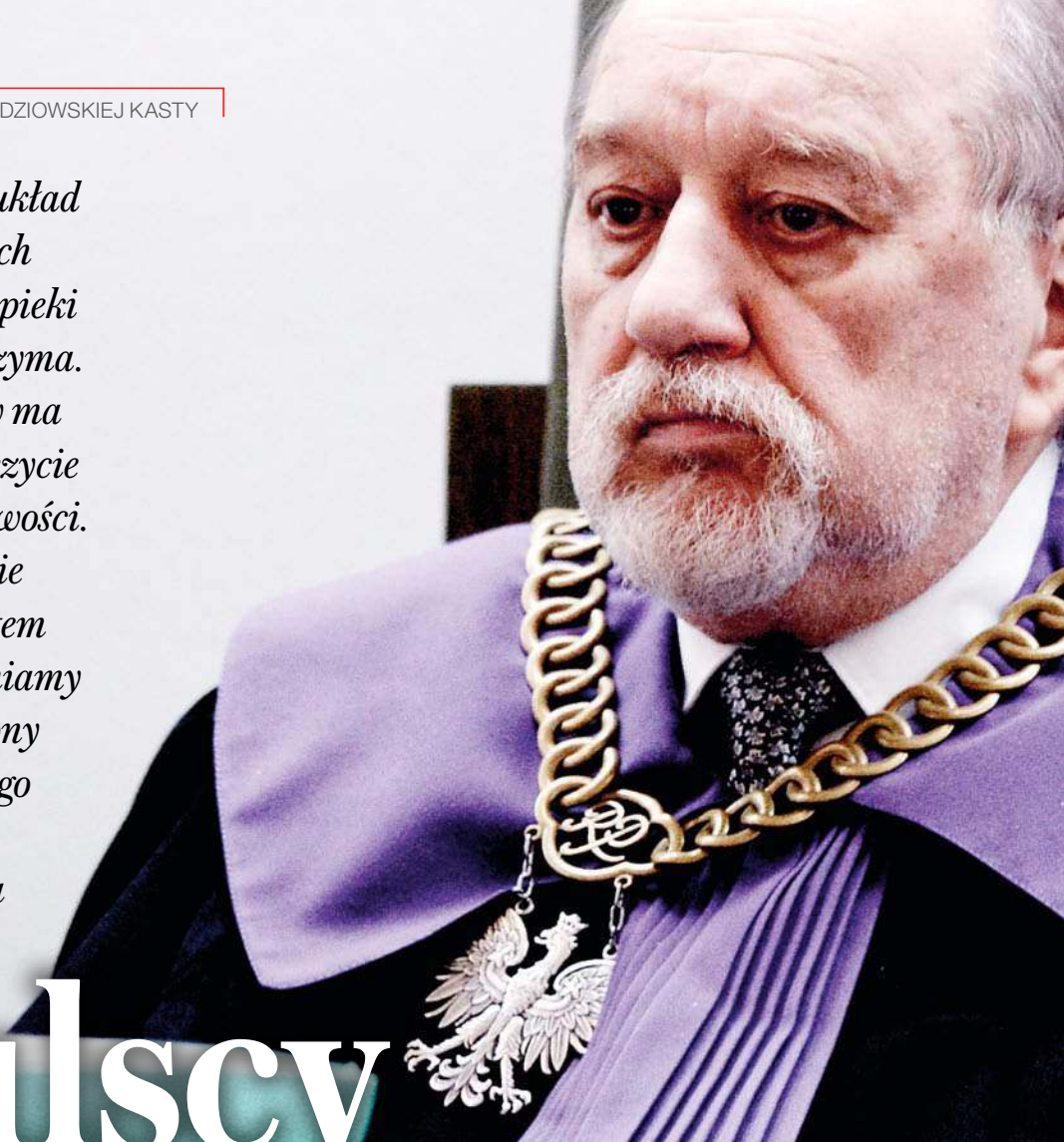
DRUGI WYMIAR

Trochę ekonomicznego podejścia przydałoby się również w przypadku sporu z kadrą nauczycielską i akademicką. Rząd ma tu spore możliwości, choćby w postaci polityki przyznawania grantów. O tym, że polskie, wiecznie niedoinwestowane uczelnie są tak podatne na wpływy lewicy, przesądziły przecież nie tylko intelektualne mody, lecz również brak pieniędzy. Tak się bowiem składa, że naszą naukę finansują często zagraniczne instytucje. Nie jest przy tym żadną tajemnicą, że najłatwiej pozyskać grant na projekty „poprawne ideologiczne”.

W jednym z listów otwartych przeciwko nominacji Przemysława Czarnka wprost pojawia się ten wątek. Pracownicy UJ np. wypominają w swoim liście władzom uczelni „bierność” w sprawie kandydatury Czarnka i ostrzegają, że „może to grozić wykluczeniem uczelni z międzynarodowych mechanizmów finansowania”. Pokazuje to również, jak trudnym zadaniem jest postulowane przez nowego ministra odwojowanie uczelni. Stanowią one bowiem jedno z ogniw międzynarodowego systemu wymiany naukowej, a ta nie zawsze opiera się na czysto merytorycznych kryteriach.

Oczywiście Przemysław Czarnek jako profesor KUL musi o tym wszystkim wiedzieć. Jeśli więc rząd chce zrównoważyć „przechył na lewo” polskiej edukacji, to musi działać podobnie jak druga strona. Na kilku polach. ▀

*Postkomunistyczny układ
chroniący dawnych
funkcjonariuszy bezpieki
nadal świetnie się trzyma.
Swoich adwokatów ma
nawet na samym szczycie
wymiaru sprawiedliwości.
Są nierozzerwalnie
związani z aparatem
terroru PRL. Ujawniamy
szczegóły pracy żony
sędziego Iwulskiego
w Służbie
Bezpieczeństwa*



Iwulscy na służbie



MAREK PYZA

Niepodległa Polska przegrała – tak prezes IPN Jarosław Szarek skomentował wrześniowy werdykt Sądu Najwyższego mający chronić funkcjonariuszy SB przed obniżeniem im niebotycznych emerytur do

poziomu przeciętnych, jakie otrzymuje większość polskich seniorów. Dr Szarek miał rację. Ten haniebnny wyrok jest kolejną plamą na SN, w którym nadal nie udało się przeciąć powiązań z dawnym systemem.

Nie mogło być inaczej, skoro składowi sędziowskiemu przewodniczył Józef Iwulski. Jego żona w 1970 r. na ochotnika zgłosiła się do Służby Bezpieczeństwa. Przepracowała w niej 15 lat. Była gorliwą funkcjonariuszką, która – według sowieckich kryteriów – zasłużyła na sowite uposażenie. I takim jak ona sędzia Iwulski dziś te uposażenia chce zagwarantować.

SN BRONI UBEKÓW

Zdaniem Sądu Najwyższego „pozbawienie uprawnień emerytalnych, często nabytych już w wolnej Polsce na podstawie prawa ustanowionego w demokratycznym państwie, może dotyczyć tych osób, które w trakcie służby na rzecz totalitarnego państwa dopuściły się naruszeń podstawowych praw i wolności człowieka. Tylko takie rozwiązanie jest sprawiedliwe”. Uchwała wskazuje, że nie można obniżać emerytury z powodu samego zatrudnienia np. w SB, bo to odpowiedzialność zbiorowa, bez wskazania



Małżeństwo
Iwulskich
– Józef i Anna.
Zdjęcie żony
sędziego pochodzi
z archiwum IPN

konkretnej winy. Lecz takie rozumowanie jest niczym więcej niż uzurpacją sędziów w obronie ubeków i jest sprzeczne z ustawą przyjętą przez Sejm. SN znów więc udawał ustawodawcę, czego zabrania mu konstytucja. Przypomnijmy, tzw. ustawa dezubekizacyjna wyraźnie stwierdza, że sam fakt pracy w SB daje podstawę do zmniejszenia emerytury w wolnej Polsce. Posłowie słusznie uznali, że wysoce niesprawiedliwe jest, by wolna Polska wypłacała podwyższone świadczenia ludziom, którzy służyli w aparacie bezpieczeństwa PRL. Istnieje oczywiście ścieżka odwoławcza dla osób, które np. były wbezpie zatrudnione wyjątkowo krótko. Teraz sędziowie SN chcą jednak rozciągnąć parasol ochronny nad wszystkimi funkcjonariuszami SB, którym nie da się udowodnić „naruszenia praw i wolności”, bo np. akta w ich sprawach zostały zniszczone.

Gdy Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego ogła-

szała uchwałę w sprawie dezubekizacji, sędzia sprawozdawca Bohdan Bieniek mówił: „Nie możemy działać jak państwo totalitarne, które nie przestrzegało żadnych reguł i żadnych praw jednostki do rzetelnego i sprawiedliwego procesu. Stalibyśmy się wówczas niczym innym, jak tym samym systemem, który krytykujemy”. W tak zgrabny sposób sędziowie próbują zrównywać

ustawę dezubekizacyjną (spóźnioną o wiele lat!) z totalitarnym systemem PRL.

Na słowa Bienieka sędzia Józef Iwulski, który przewodniczył temu składowi, mógł się tylko w duchu uśmiechać. Człowiek, który w stanie wojennym wsadzał do więzienia opozycjonistów, ponad trzy dekady od upadku komunizmu znalazł się w kluczowym miejscu układu obrony ubeków. Żona byłaby z niego dumna. Sama bowiem ubekiem była.

Iwulski występował więc w tej sprawie w co najmniej podwójnej roli, a na pewno w konflikcie interesów (sąd nie przychylił się do wniosku o wyłączenie go z tej sprawy). Sędziowska toga i majestat Sądu Najwyższego kryją však dawnego oficera Ludowego Wojska Polskiego (dochrapał się stopnia kapitana), szkolonego przez Wojskową Służbę Wewnętrzną, czyli wywiad wojskowy podporządkowany bezpośrednio Moskwie. Jego małżonka zaś, zanim została panią Iwulską, z porywu serca zgłosiła się do Służby Bezpieczeństwa, a następnie przepracowała w niej 15 lat.

„BARDZO PRZYJEMNIE W SB”

W sprawie swojej i swoich kolegów nie doczekała dzielnej postawy małżonka w Sądzie Najwyższym, zmarła w 2018 r. Zapoznaliśmy się z jej teczką znajdującą się w archiwach IPN. Zachowane doku-

menty jednoznacznie wskazują, że kobieta była gorliwą funkcjonariuszką SB.

Według kryteriów przedstawionych przez SN z Iwulskim jako przewodniczącym Anna Iwulska nie mogłaby być objęta ustawą dezubekizacyjną, obniżającą jej emeryturę. Nie ma bowiem dowodów (a przynajmniej jeszcze ich nie ujawniono), że przez półtorej dekady „dopuszczała się naruszeń podstawowych praw i wolności człowieka”. Czym jednak mogła się zajmować, pracując w Wydziale Techniki Operacyjnej? Prześledźmy jej karierę w aparacie bezpieczeństwa PRL.

16 września 1970 r. mieszkająca w Końskich Anna Kania [nazwisko panińskie – przyp. red.] pisze do krakowskiej komendy wojewódzkiej: „Uprzejmie proszę o przyjęcie mnie do pracy w Komendzie Wojewódzkiej Służby Bezpieczeństwa w Krakowie. Na decyzję moją co do pracy w tej jednostce wpłynęła świadomość, że w każdym państwie muszą być odpowiednie instytucje, które zajmują się utrzymaniem porządku wewnętrznego i zapewniające bezpieczeństwo obywatelom danego państwa. Będzie mi bardzo przyjemnie, jeżeli będę się mogła czuć jedną z tych, którym wszyscy zawdzięczają to, że mogą spokojnie uczyć się i pracować. Proszę o przychylny stosunek do mojej prośby”.

Aby sprawdzić, czy 24-letnia absolwentka Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego szczerze deklaruje swoje oddanie reżimowemu aparatowi bezpieczeństwa, SB dokładnie ją prześwietla. Przeciwwskazań nie ma. Jeden z trzech braci należy do PZPR, ojciec legitymację partyjną miał przez 13 lat (wykluczony w 1961 r., po zwolnieniu z Koneckich Zakładów Odlewniczych „za próbę kradzieży jednej sztuki drzwiczek kuchennych oraz nadużywanie alkoholu”). Ona sama działała w Związku Młodzieży Socjalistycznej. „Postawa etyczno-moralna nie budziła zastrzeżeń. (...) Do PRL ustosunkowana pozytywnie. (...) Z klerem bliższych stosunków nie utrzymywała”.

W styczniu 1971 r. marzenia Anny Kani się spełniają. Zostaje przyjęta do MO w ramach służby przygotowawczej na stanowisko oficera techniki operacyjnej Sekcji Fotografii Wydziału „T” SB. Jednostka ta zajmowała się wszelkimi

metodami inwigilacji – podsłuchami, filmowaniem, fotografowaniem figurantów. Była rozbudowaną strukturą wykonywującą wszelkie zdobycze ówczesnej techniki do śledzenia, werbowania, kompromitowania, szantażowania działaczy opozycji. Właśnie tam na długie lata zakotwiczyła pani Anna.

W styczniu 1975 r. jej przełożeni dowiadują się, że planuje wyjście za mąż. Narzeczonemu trzeba więc sprawdzić. 4 lutego do wydziału kadr KW MO wpływa dokument z informacjami na temat Józefa Iwulskiego. Okazuje się, że jego matka pracuje wówczas w Komendzie Dzielnicowej MO Psie Pole we Wrocławiu, a ojciec jest rencistą MO. Wszystko się zgadza, resortowa rodzina. Ślub odbywa się cztery dni później.

Anna Iwulska jest już wtedy od roku funkcjonariuszem stałym SB. Musiała być wzorowym pracownikiem, bo choć biegle posługiwała się językiem szwedzkim (z tego tytułu dostawała nawet 120 zł dodatku do pensji), to miesiąc po ślubie wysłano ją na pół roku do Sztokholmu, by doskonaliła umiejętności. Czy był to wydłużony miesiąc miodowy? Tego nie wiemy.

Wiadomo za to, że tuż przed wyjazdem awansowała na stanowisko referenta techniki operacyjnej Sekcji I „B” Wydziału „T”. W kolejnym roku została starszym referentem. Każdy krok w karierze to również lepsze zarobki, kolejne dodatki do pensji itd. I uznanie w resorcie. W czasie stanu wojennego, we wrześniu 1981 r., po 10 latach pracy otrzymała brązową odznakę W Służbie Narodu, przyznawaną za wzorową służbę osobom wyróżniającym się przy wykonywaniu zadań w ochronie spokoju, porządku i bezpieczeństwa publicznego.

ŁĄPÓWKA ZA PASZPORT

W listopadzie 1982 r. Iwulska zostaje mianowana starszym referentem techniki operacyjnej, ale w Wydziale Paszportowym, i umieszczona na wolnym etacie starszego inspektora. W 1983 r. dostaje ostatni awans w strukturach Milicji Obywatelskiej – na starszego sierżanta sztabowego. Przypomnijmy, że Wydział Paszportów nie zajmował się tylko wy-

dawaniem dokumentów. Częściej wręcz przeciwnie – odmawianiem ich wydania. Ale nie tylko. Prowadził też własną agenturę i działania operacyjne wobec cudzoziemców, np. studentów. W aktach Iwulskiej znajdujemy opinię służbową sporządzoną w lipcu 1985 r. Wynika z niej, że Iwulska pełni obowiązki kierownika punktu paszportowego w Krakowie-Podgórzu, „z nałożonych obowiązków wywiązuje się bardzo dobrze”, „zna problematykę Wydziału i zasady pracy”.

Człowiek, którego żona półtorej dekady wiernie służyła SB w wydziale zajmującym się inwigilacją, nie ma prawa decydować o utrzymywaniu przywilejów funkcjonariuszy służb PRL

Jej „postawa ideowa” nie budzi zastrzeżeń, bierze aktywny udział w pracach OOP (oddziałowej organizacji partyjnej PZPR) i zdaniem przełożonych „w pełni zasługuje na awans”. W dokumentach nie znajdujemy jednak informacji o nim.

Jest za to rozkaz karny z lipca 1986 r. o służbowym zdegradowaniu Iwulskiej i przeniesieniu „do służby w innych ogniach służbowych”. Podobna kara spotkała jej koleżankę z pracy. Za co? Doprowadziły do wydania zawieszono paszportu w zamian za łapówkę.

Wobec powyższego jeszcze w lipcu st. sierż. sztab. wniosła o zwolnienie jej ze służby i przeniesienie na emeryturę. W czasie rozmowy w Wydziale Kadr WUSW miała powiedzieć, że „wymierzona kara dyscyplinarna, wyznaczenie na niższe stanowisko służbowe jest dla niej krzywdząca i niewspółmierna do popełnionego przewinienia”. Dodała też, że „zawsze była uczciwa przez okres swej 16-letniej służby w resorcie spraw wewnętrznych i za taką się uważa dalej, a ambicja nie pozwala jej na dalszą pracę przy takiej karze dyscyplinarnej”.

Jak się okazuje, duży wpływ na tę decyzję miał małżonek, wówczas sędzia Sądu Wojewódzkiego w Krakowie. „Świadczy o tym m.in. jego wypowiedź do A. Iwulskiej, że nie chce spotykać się ze stwierdzeniami »że jest mężem tej, która przyjmowała korzyści materialne w Wydziale Paszportów«”. To dość osobliwe tłumaczenie, bo przecież z takimi stwierdzeniami mógł się spotykać niezależnie od tego, czy żona pozostałaby w SB, czy nie. Ale faktem jest, że dalszą karierę w strukturach państwa PRL robił już tylko Józef Iwulski. Anna zajęła się dwójką kilkuletnich wówczas dzieci.

HAŃBA

Podsumujmy, Józef Iwulski nie był funkcjonariuszem aparatu represji w PRL. On był „tylko” oficerem LWP (awans na porucznika otrzymał w stanie wojennym, skończył jako kapitan). W komunistycznym kontrwywiadzie wojskowym był „tylko” na kilkumiesięcznym szkoleniu (przełożeni chwalili go m.in. za „trafne stosowanie w praktyce” wiedzy nabytej na studiach i w ośrodku szkolenia WSW).

Przez ostatnie 30 lat nigdy nigdzie się tym nie chwalił, tę kartę jego biografii upublicznił w 2018 r. prof. Sławomir Cenckiewicz. Jako sędzia w stanie wojennym Iwulski orzekał „tylko” w kilku sprawach, w których skazywano opozycjonistów (również na więzienie). A jego żona służyła w SB „tylko” 15 lat z okładem, otrzymując kolejne awanse i podwyżki.

Dla sędziowskiej kasty III RP Iwulski jest wzorem. Dla postkomunistycznej lewicy największą nadzieją w kampanii obrony ubeków. Człowiek, który za kolportaż 200 ulotek wzywających w stanie wojennym do strajku wsadził działacza niepodległościowej opozycji do więzienia, nie powinien być sędzią. Człowiek, którego współmałżonek półtorej dekady wiernie służył SB w wydziale zajmującym się inwigilacją, nie ma prawa decydować o utrzymywaniu przywilejów funkcjonariuszy służb PRL.

To, co dzieje się w Sądzie Najwyższym 31 lat po odzyskaniu niepodległości, jest hańbą dla wolnej Polski. Ta hańba ma twarz kapitana Józefa Iwulskiego. 

Haniebne słowa

Myślę, że pani prezydent jest przekonana, że politycznie wykorzystuje swoje pięć minut. Czasami robi to w sposób skandaliczny, wzbudzając bardzo negatywne emocje, opierając się często na manipulacjach i insynuacjach wobec polskiego rządu, chcąc stać się gdańską ikoną totalnej opozycji

Z *Kacprem Płażyńskim*, posłem na Sejm RP, byłym przewodniczącym klubu radnych PiS w Radzie Miasta Gdańska, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Od 18 miesięcy prezydent Aleksandra Dulcie-wicz pełni swoją funkcję. Jakie były oczekiwania mieszkańców, kiedy na nią głosowali, czego się spodziewali po tej prezydenturze?

Kacper Płażyński: Nie było specjalnych oczekiwań, to była kampania zbudowana na zrozumiałych emocjach po śmierci Pawła Adamowicza. Aleksandra Dulcie-wicz karierę polityczną zaczynała jako jego asystentka, później u jego boku była wiceprezydentem i dla mieszkańców Gdańska, pogrążonych w żalobie i smutku po śmierci Adamowicza, była tym kandydatem, który miał im zastąpić tragicznie zmarłego prezydenta.

Ale jeżeli przekazuje się urząd komuś, kto ma być niejako sukcesorem prezydenta Adamowicza, to liczy się na kontynuację jego programu.

Pani Dulcie-wicz nie wykonała nawet niewielkiej części programu wyborczego Adamowicza z kampanii, w której obaj ubiegaliśmy się o urząd prezydenta Gdańska. Z jednej strony wzięła na siebie ciężar odpowiedzialności za obietnice Adamowicza, ale z drugiej, jak do tej pory, im nie sprostала.

Jakie to były obietnice?

Szedł do wyborów z programem, który miał sprawić, aby ludziom w dzielnicach zaczęło się żyć lepiej. To były obietnice dotyczące oświetlenia ulic czy przygotowania Gdańska do ulewnych deszczy, tak aby w końcu w mieście nie pojawiały się bardzo poważne podtopienia, z którymi mamy regularnie do

czynienia. Nie obiecywał znaczących inwestycji. Czy ten program by zrealizował? Ze swoich doświadczeń wspomnę kwestię wsparcia mieszkańców lokali komunalnych, których w Gdańsku mamy kilkadziesiąt tysięcy. Od lat nie widzę żadnej poprawy, wręcz przeciwnie, nasz publiczny majątek, jakim są gdańskie nieruchomości, niszczeje, rodziny tam mieszkające w dalszym ciągu żyją w fatalnych warunkach, a często są to rodziny z osobami niepełnosprawnymi.

W jednym z ostatnich wywiadów prezydent Dulcie-wicz zapytana o to, jaką ocenę by sobie wystawiła za okres prezydentury, powiedziała, że czwórke. A pan, jaki stopień by wystawił?

Myślę, że pani prezydent jest przekonana, że politycznie wykorzystuje swoje pięć minut. Czasami robi to w sposób skandaliczny, wzbudzając bardzo negatywne emocje, opierając się często na manipulacjach i insynuacjach wobec polskiego rządu, chcąc stać się gdańską ikoną totalnej opozycji. Za cyniczną grę polityczną, mającą na celu wypromowanie własnej osoby, piątka. Jeżeli skupimy się na mieście i – to wiem od urzędników – rosnącej stercie papierów na jej biurku, niechęci do podpisywania decyzji, zrzucania wszystkiego na swoich zastępców i braku wyraźnej aktywności w zarządzaniu miastem, to oceniam ją mizernie. Nie chcę powiedzieć, że nie przesłabły do następnej klasy, ale myślę, że z wielu przedmiotów musiałaby zdawać poprawkę.

Wspomniał pan o problemach Gdańska, przede wszystkim starej substancji komunalnej, która nie jest remontowana ani modernizowana. Co jeszcze doskwiera mieszkańcom?

W dalszym ciągu nie jest rozwiązana kwestia podtopień, co wynika z przyjętej błędnej polityki zagospodarowania przestrzennego miasta, które według określenia Jarosława Wałęsy jest „republiką deweloperów”. Gdańsk jest pięknie położony, między morzem a zalesionymi wzgórzami morenowymi, na których notorycznie wycina się drzewa i betonuje teren. W wyniku tego działania spadające z tych morenowych wzgórz potoki zamieniają się w rwące rzeki i trafiają do dolnych, historycznych dzielnic miasta, które czasami przypominają Wenecję. W tej sprawie prezydent Dulcie-wicz do dzisiaj nic nie zrobiła. W dalszym ciągu betonuje się górny taras miasta. To jest też kwestia Szadółek, czyli ogromnego wysypiska śmieci. Dwa tygodnie temu wysłałem list do prezydent



JAKUBOWSKIEJ

z pytaniem, kiedy w końcu w Gdańsku przestanie śmierdzieć. Paweł Adamowicz zapowiadał, że w 2014 r. problem zostanie rozwiązany, ale od tego czasu sytuacja staje się coraz gorsza, pomimo iż pół roku temu oddano do użytku kompostownię. Kosztowała 50 mln zł, a dzisiaj okazuje się, że nie ma już tam miejsca, by składować odpady biodegradowalne, przez co ta walka z nieprzyjemnymi zapachami nie jest skuteczna. Jak można było zaprojektować i wybudować za 50 mln coś, co po półtora roku okazuje się niewystarczające?

Nie było pomysłu, żeby zamiast tego wybudować spalarnię śmieci?

Był i będzie realizowany dzięki rządowi. Dopiero co została podpisana umowa pożyczki na 300 mln zł, na bardzo dobrych warunkach, z Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska. Ale to kwestia kilku lat, zanim inwestycja o tej skali zostanie zrealizowana.

W Gdańsku przed wojną żyło ponad 80 proc. ludności niemieckiej, ale są w mieście trzy miejsca, które są bliskie sercom Polaków, zapisały się w naszej historii. Westerplatte, teren Poczty Polskiej i Gedania. Dzięki „republice deweloperów” Klub Sportowy „Gedania”, powstały 98 lat temu ośrodek nie tylko sportu, lecz i polskiego patriotyzmu, może przestać istnieć.

Zdecydowanie dłużej miasto Gdańsk w swojej tysiącletniej historii było królewskim miastem polskim, które koronę w herbie dostało dzięki Kazimierzowi IV Jagiellończykowi.

Ale współcześnie odwołania czyni się nie do tysiącletniej historii, tylko tej najnowszej, XX-wiecznej, do Wolnego Miasta Gdańska.

Do lat, w których następowała germanizacja miasta, a kto się z tym nie chciał pogodzić, lądował często na marginesie społecznym. Cale szczęście było kilka instytucji, w których Polacy mieszkający w Wolnym Mieście Gdańsku (WMG) mieli możliwość pracować, takie jak choćby Urząd Celný czy Polska Kolej Państwowa. Polacy, mimo że nie mieli takich możliwości finansowych jak Niemcy, potrafili stworzyć instytucje, takie jak chociażby Gimnazjum Polskie, które cieszyło się ogromnym szacunkiem i prestiżem, uznawane za jedną z najlepszych szkół w Gdańsku. I takie przedsięwzięcia przeprowadzano, mimo szykan i dyskryminacji czy wręcz brutalnych ataków fizycznych, z którymi

od 1923 r. Polacy musieli się mierzyć. Stworzono klub, w którym uprawiano różne dyscypliny sportowe, ale był on też miejscem kultywowania pamięci o ważnych dla Polski historycznych wydarzeniach, manifestowania swojej narodowości, przeżywania rocznic patriotycznych czy też świąt kościelnych katolickiej mniejszości. Ten klub zostawił po sobie spuściznę materialną po Polakach w WMG, co bardzo ważne, bo nie zostało jej wiele. Ocalał stadion i niezaburzony układ urbanistyczny w zabytkowej dzielnicy Wrzeszcz Dolny. I doszło do tego, z czym mieliśmy do czynienia w latach 90., czyli dzikiego uwłaszczenia się nomenklatury komunistycznej na majątku narodowym. Za 1 proc. wartości cały teren został przekazany panu Stankiewiczowi, byłemu działaczowi PZPR, na mocy decyzji Pawła Adamowicza, który jako prezydent miasta na prawach powiatu decydował o zawieraniu tego typu umów z prywatnymi podmiotami. Klub działał jeszcze przez kilka lat, w końcu doprowadzono go do ruiny i sprzedano cały teren deweloperom, wraz z ziemią i stadionem.

A to nie było wpisane do rejestru zabytków?

Dopiero niedawno dzięki społecznikom i mieszkańcom pobliskich terenów udało się zgłosić wniosek, teren trafił do rejestru i ochrona znacząco się zwiększyła, ale jak to w gdańskim sosie bywa, uprawomocniła się decyzja o pozwoleniu na budowę, wydana dla firmy Robyg, która może oznaczać kres tego historycznego miejsca. Decyzja została wydana dzień po tym, jak złożyła rezygnację pomorska konserwator zabytków Agnieszka Kowalska, przez urzędniczkę, która miała pełnomocnictwo do udzielania uzgodnień konserwatorskich niezbędnych w takich przypadkach do tego, aby inwestor mógł otrzymać pozwolenie na budowę.

Ale to była pierwsza instancja, jest jeszcze odwołanie, do Generalnego Konserwatora Zabytków

Dowiedzieliśmy się o tym fakcie dopiero po uprawomocnieniu się decyzji, poprosiliśmy minister Magdaleny Gawin, generalnego konser-



watora zabytków, aby wniosła tę sprawę do Generalnej Komisji Konserwatorskiej. Komisja jednoznacznie wskazała, że ten teren jest niezwykle wartościowy z punktu widzenia materialnych, jak i niematerialnych walorów, co daje minister Gawin możliwość uchylenia tego uzgodnienia konserwatorskiego, a tym samym unieważnienia całego pozwolenia na budowę. Nie mam wątpliwości, że Robyg odwoła się do sądu administracyjnego, ale też mam nadzieję, że sąd stwierdzi nieważność pozwolenia na budowę.

Zdarzały się takie, ujmijmy to tak, przypadki, że jeśli na terenie zabytkowym przeszkadzały w inwestowaniu jakieś obiekty, to albo pozwalano, żeby popadły w całkowitą ruinę, albo jeśli ktoś był niecierpliwy, nagle wybuchały pożary, które całkowicie niszczyły zabytek

I właśnie na terenie Gedanii w Wielką Sobotę tego roku wybuchł pożar, nieznani sprawcy dokonali podpalenia, miesiąc temu śledztwo zostało umorzone, bo nie udało się ich ustalić. Duża część zabytkowych budynków spłonęła, nie wiemy, czy uda się je odtworzyć. I jeszcze taka ciekawostka, mam nadzieję, że pozwoli ona wyrobić czytelnikom opinię na temat tego, co się w Gdańsku dzieje. Urzędniczka, która umożliwiła uzyskanie pozwolenia na budowę inwestorowi na terenie Gedanii, kilka miesięcy później została zwolniona przez obecnego konserwatora zabytków i pracuje na rzecz zakonu dominikanów w Gdańsku. A jeszcze dwa lata temu przeorem klasztoru dominikanów w Gdańsku był ojciec Okoński, prywatnie syn prezesa firmy Robyg, która w tej chwili dysponuje terenem Gedanii.

Wróćmy do prezydent Dulkiejewicz. Takim najbardziej zapalnym punktem w jej drodze do kariery politycznej był spór z rządem o Westerplatte. Teren był w zarządzie miasta, zaniedbany. Dopiero po odzyskaniu go przez państwo dokonano tam ekshumacji – pięciu obrońców Westerplatte zostało zidentyfikowanych. Dlaczego tak ambicjonalną sprawą stało się to, kto zarządza Westerplatte?

Ekshumowanych zostało dziewięciu żołnierzy, ale dopiero pięciu zostało na podstawie badań DNA zidentyfikowanych. Prace ekshumacyjne i archeologiczne trwają i nie jest wykluczone, że więcej żołnierzy zostanie odnalezionych. Warto wspomnieć, że w momencie, w którym Muzeum II Wojny Światowej zaczęło prowadzić prace, magistrat pani Dulkiejewicz ostro się temu sprzeciwiał, twierdząc, że tam już wszystko zostało przebadane i że to jest jakaś hucpa polityczna w wykonaniu muzeum. Fakty obnażyły nie tylko niemoc, lecz i hipokryzję rządzących miastem polityków, bo to jest coś bez precedensu, że dopiero po 80 latach od wojny odkrywamy ciała tych, którzy pierwsi za wolną Polskę ginęli w starciu z niemieckim agresorem. Westerplatte jest własnością całego narodu, szczególnym w naszej martyrologii i normalnym odruchem włodarzy miasta powinno być zadowolenie, że państwo polskie obchodom rocznicy wybuchu II wojny światowej chce przywrócić odpowiednią rangę.

Mówiłam o sporze ambicjonalnym, ale tam chyba było drugie dno – kto organizuje obchody, nadaje im ton i kontekst historyczny. Przeglądając materiały sprzed roku, kiedy

to miasto Gdańsk było organizatorem tych uroczystości, odnosiłam wrażenie, że to nie polska polityka historyczna nadawała im ton, tylko niemiecko-europejska.

I cały czas to trwa. Prezydent Dulkiejewicz, podobnie jak wcześniej Paweł Adamowicz, wpisuje się w ten nurt, w którym zresztą też głęboko osadzony był Donald Tusk. MIIWS i wystawa w nim prezentowana do czasu zmiany dyirekcji nie miała na celu przedstawić jednoznacznie, kto był odpowiedzialny za wybuch II wojny światowej, ale raczej pokazać tragizm samej wojny. Oczywiście jedno nie wyklucza drugiego, ale jeśli tylko jedno się uwzględni, to po prostu zakłamuje się historię. I ta narracja trwa, nie będę już przypominał wiceprezydenta Grzelaka z jego frazą o złym słowie Polaka, ale porównywanie przez Aleksandrę Dulkiejewicz Polskę do III Rzeszy w niemieckim radiu publicznym to jest rzecz niezrozumiała. Słowa tak haniebne, że trudno zachować spokój, komentując taki wybryk, który nie wiem, czym był podyktowany i co miał na celu, ale na pewno nie miał nic wspólnego z polską racją stanu czy reprezentowaniem mieszkańców Gdańska.

„Wybryk” to łagodne słowo, według pani prezydent ofiary z Firogi i Klukowa zostały zamordowane przez nazistów, a rozstrzelani pracownicy Poczty Polskiej bronili urzędu i są ofiarami mordu sądowego mocarstwa idącego bezwzględnie po władzę. Kto kogo zamordował, kto szedł po władzę i czego naprawę bronili Polacy w budynku Poczty Polskiej – nie wiadomo. „Zło kielkowało, a nienawiść narasta stopniowo” – kwituje obronę Poczty Polskiej prezydent Dulkiejewicz.

Nie wiem, czy pani Dulkiejewicz sprawia jakąś niezdrową satysfakcję ciągle prowokowanie w tym zakresie, może tak bardzo się chce przypochlebić swoim niemieckim kolegom, z których wielu chciałoby odrzucić prawdziwe postrzeganie historii. Być może pani prezydent nie zdaje sobie z tego sprawy, że w tle są naprawdę bardzo duże pieniądze. Skupiamy się w Polsce na debacie o odpowiedzialności Niemiec za II wojnę światową, na kwestii reparacji wojennych i oczywiście to są potężne kwoty i ogromne argumenty po stronie polskiej, ale są też takie aspekty odpowiedzialności za II wojnę światową, o których się u nas nie mówi. Jestem wiceprzewodniczącym polskiej delegacji w Konferencji Państw Morza Bałtyckiego i nie dalej jak półtora miesiąca temu brałem udział w corocznym spotkaniu, na którym jednym z tematów była kwestia oczyszczenia Bałtyku z pozostałości po II wojnie światowej, pojemników z niebezpiecznymi gazami czy amunicji, które niewątpliwie mogą być niebezpieczne dla środowiska. Wspólnota europejska powoli przymierza się do tego, aby Bałtyk posprzątać. Jednak jeżeli słyszę z ust przedstawicieli Bundestagu, że trudno dzisiaj mówić o odpowiedzialności za to Niemiec, w związku z tym wszystkie państwa basenu Morza Bałtyckiego powinny partycypować w oczyszczaniu Bałtyku, to jednak człowiek zdaje sobie sprawę, że to większa gra, niż nam się wydaje, bo to są dziesiątki miliardów dolarów, a może i więcej. Niemcy prowadzą swoją politykę, mającą na celu relatywizację winy za II wojnę światową i podział kosztów, które musieliby ponieść, gdybyśmy wszyscy pamiętali, kto za to odpowiada. ▀

Dziennikarz czy szantażysta?

Kulisy próby wymuszenia wielomilionowego haraczku na prezesie Mlekovity

Gdy 28 września Centralne Biuro Śledcze Policji zatrzymało Pawła M. oraz kilka innych osób związanych ze sprawą szantażu na prezesie Mlekovity, większość dziennikarzy i komentatorów przyjęła ten fakt bez większego zdziwienia. Paweł M. był już karany za podobne przestępstwa. Dlatego, jak przekonuje prokuratura, to, że uczestniczył on w grupie przestępczej, która chciała wyłudzić pieniądze za „milczenie” w sprawie rzekomych nieprawidłowości związanych z potentatem mleczarskim, nieszczególnie zdziwiło branżę medialną.



WOJCIECH BIEDROŃ

CZŁOWIEK Z WIEŚCI24.PL

Jednym z najważniejszych bohaterów tej bulwersującej sprawy jest właśnie Paweł M., związany z portalem Więści24.pl, a wcześniej z „Gazetą Warszawską”. Paweł M. nazywany jest w branży medialnej „człowiekiem Pińskiego” – byłego szefa Agencji Informacji TVP i byłego redaktora naczelnego „Gazety Finansowej”. Obaj współtworzą portal Więści24.pl, na którym nieustannie atakują obecny rząd oraz służby specjalne.

Zdaniem śledczych operacja Pawła M. i innych osób polegała na nacisku i szantażu, którymi mieli próbować wyłudzić 4 mln zł od prezesa Mlekovity. „Groźby sprowadzały się do złożenia bezpodstawnego zawiadomienia o przestępstwie fałszowania produktów mleczarskich, a następnie medialnego nagłośnienia sprawy. Skutkiem powyższych działań miała być utrata zaufania do firmy i jej produktów, tak na rynku polskim, jak i za granicą, a w konsekwencji jej wielkie straty finansowe” – informowała Prokuratura Okręgowa w Poznaniu.

Jak przekonują prokuratorzy, prezes Mlekovity był szantażowany w Lesznie oraz w Wysokim Mazowieckiem w okresie od lipca do września 2019 r. Paweł M. miał grozić prezesowi złożeniem zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa polegającego na fałszowaniu produktów mleczarskich w należącym do spółdzielni zakładzie. „Z dokonanych ustaleń wynika, że dziennikarz oraz pracownik kancelarii prawnej Marcin O. usiłowali doprowadzić tę spółdzielnię mleczarską do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w kwocie 4 mln zł” – przekazała poznańska prokuratura okręgowa.

NIEPRAWIDŁOWOŚCI W MLEKOVICIE?

Sprawa szantażu na prezesie Mlekovity rozpoczyna się w połowie ubiegłego roku. Do kancelarii Marcina O., który zdaniem śledczych był mózgiem całej operacji, trafia pra-

cownik spółdzielni mleczarskiej. Miał mieć dowody na to, iż w Mlekovicie przerabia się daty ważności. Jest rozżalony na szefostwo zakładu. Twierdzi, że był poniżany. Marcin O. kontaktuje się z Pawłem M. Dziennikarz przekonuje, że rozpoczął śledztwo w sprawie nieprawidłowości w Mlekovicie. Z ustaleń prokuratury wynika, że „śledztwo dziennikarskie” i pomoc

prawna Marcina O. dla pracownika Mlekovity zamieniły się w proceder, który miał służyć wyłudzeniu haraczku od firmy mleczarskiej. Prokuratura wszczęła nawet śledztwo dotyczące rzekomego przerabiania dat ważności. Nie ustalono jednak, by do takiego procederu dochodziło. „Usiłowali wprowadzić w błąd prezesa spółdzielni co do faktu posiadania informacji świadczących o dokonywaniu fałszowania daty przydatności do spożycia produkowanych przez nią produktów mleczarskich. Grozili mu, że w razie nieuiszczenia żądanej kwoty złożą zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa z art. 306 kk, a także że opublikują materiały rzekomo dowodzące fałszerstwa i szeroko nagłośnią sprawę w mediach” – informuje Prokuratura Okręgowa w Poznaniu.

ZABEZPIECZONA KORESPONDENCJA

Szantażowany prezes zabezpieczył rozmowy z grupą, w której działali mecenas Marcin O., dziennikarz Paweł M. oraz m.in. jedna z pracownic firmy mleczarskiej. Dotarliśmy do jednej z rozmów między Marcinem O. a rzekomo poszkodowanym pracownikiem firmy. Poprzedziła ona spotkanie Marcina O. z prezesem Mlekovity.

P.S. (pracownik firmy): Marcin, musisz być jutro pewny siebie, jak jeszcze nigdy nie byłeś... Powiedz mu jutro, że jeżeli się nie dogadacie, to twój klient za te trzy lata upokorzeń ze strony przełożonych jest gotów was zniszczyć medialnie i wizerunkowo, bez skrupułów, więc zanim odpowiedzą, niech się dwa razy zastanowią [...].

Marcin O. (prawnik): Jutro jadę do Wrocławia na spotkanie z M. [Paweł M., dziennikarz].

W innym zeznaniu jednego ze świadków pojawiła się kwota 4 mln zł:

„W tym momencie O. [Marcin O.] na ekranie swojego telefonu nakreślił jakieś znaki, a następnie podszedł do mnie i skierował wyświetlacz w moją stronę, tak że bym tylko ją odczytała, co jest tam napisane. Tam widniała kwota 4 mln zł [...]. Następnie zapytał mnie, czy zrozumiałam, o co mu chodzi. [...] Ja zapytałam, czy „to” zamknie temat. Na co O. odpowiedział, że „tak”.

PAWEŁ M. W AKCJI

Marcinowi O. potrzebny był w całym procederze medialny sojusznik. Zdaniem śledczych chodziło o wzmocnienie „przekazu” do prezesa Mlekovity. Paweł M. był idealnym wyborem. M. miał już na koncie wyrok za wyłudzenie pieniędzy od Marcina P., szefa Amber Gold. W 2014 r. został zatrzymany i usłyszał zarzuty „płatnej protekcji, próby wyłudzenia pieniędzy od właściciela Amber Gold, fałszowania dokumentów, podawania się za funkcjonariusza publicznego oraz wykonywania zabiegów mających na celu oskarżenie innej osoby o popełnienie przestępstwa”. Paweł M. był też autorem słynnej prowokacji z sędzią Ryszardem Milewskim, byłym prezesem Sądu Okręgowego w Gdańsku. W 2012 r. podał się za asystenta ówczesnego szefa kancelarii premiera i miał namawiać Milewskiego do spotkania z Donaldem Tuskiem w KPRM. Prezes sądu dał się nabrać na akcję Pawła M. Dla Marcina O. taka przeszłość Pawła M. była świetną rekomendacją, by go zaprosić do współpracy.

Paweł M. przystąpił do działania. Szeroko informował prezesa Mlekovity o swoich ustaleniach w sprawie rzekomej afery z datami przydatności do spożycia produktów spółdzielni. Ta presja na szefa firmy miała na celu lepszą pozycję negocjacyjną Marcina O. Samego dziennikarza miały obciążać rozmowy z Marcinem O. Dziennikarz kontaktował się z mecenasem aż 3236 razy. Dodatkowo obciążyć miały go zeznania jednego ze świadków, który stwierdził, że Paweł M. w trakcie „negocjacji” miał go zapytać wprost, „czy chcemy, aby ten artykuł się w ogóle ukazał?”. Świadek potwierdził, że to pytanie uznał za próbę szantażu. Inna podejrzana w tej sprawie zeznała z kolei, że zdawała sobie sprawę, iż działania Marcina O. oraz Pawła M. były wymierzone w Mlekovity.

DRAMATYCZNE ZATRZYMANIE

Gdy policjanci chcieli zatrzymać dziennikarza, ten zamknął drzwi na klucz i nie chciał ich wpuścić. Z zeznań wynika, że w trakcie, gdy policjanci czekali na ślusarza, Paweł M. miał wykonywać wiele połączeń telefonicznych z osobami, które mogą mieć wiedzę na temat całego proceduru. Prokuratura domagała się zastosowania wobec niego tymczasowego aresztu, ale sąd nie wydał na to zgody. M. nie przyznał się też do winy i przekonywał, że jego jedynym celem było śledztwo dziennikarskie w sprawie nieprawidłowości w Mlekovicie. Śledczy nie wierzą w te tłumaczenia i przygotowują akt oskarżenia. Poprosiliśmy Pawła M. o komentarz. Zaprzeczył, że uczestniczył w grupie przestępczej, która szantażowała prezesa firmy mleczarskiej. „Nigdy nie byłem członkiem żadnej grupy przestępczej. Nie uczestniczyłem nigdy w żadnym procederze i nikogo nigdy nie szantażowałem. Oczywiście,

że nie stosowałem [gróźb bezprawnych wobec prezesa Mlekovity – przyp. red.]. Przygotowywany przez pana artykuł jest pisany pod z góry założoną tezę, iż jestem przestępcą. W rzeczywistości zostałem pomówiony przez osobę składającą wyjaśnienia” – napisał Paweł M. w odpowiedzi na nasze pytania.

PREZES MLEKOVITY

Z materiału zebranego przez śledczych wynika, że grę z podejrzanymi zakończył sam prezes Mlekovity, który nie chciał płacić ogromnych pieniędzy za milczenie Marcina O., Pawła M. oraz innych osób. „Szantażowany prezes odmówił zapłaty i sam zawiadomił organy ścigania o popełnieniu przestępstwa. Jak ustalono w toku innego śledztwa, w jego zakładzie

nie przerabiano dat przydatności do spożycia produktów mleczarskich. Wobec stwierdzenia, że zarzuty formułowane przez szantażystów są nieprawdziwe, postępowanie w tym zakresie zakończono decyzją o umorzeniu” – informuje poznańska prokuratura.

Ostatecznie Marcin O. usłyszał zarzut założenia zorganizowanej grupy przestępczej i kierowania nią, zaś Paweł M. i Zuzanna C. – pracownica spółdzielni – zarzut udziału w tej grupie. Ponadto obaj mężczyźni usłyszeli zarzuty usiłowania oszustwa w stosunku do mienia znacznej wartości i zmuszania do określonego zachowania się. Zuzanna C. jest podejrzana natomiast o pomocnictwo w popełnieniu oszustwa poprzez dostarczanie materiałów rzekomo świadczących o fałszowaniu dat przydatności do spożycia. Mężczyznom grozi kara do 15 lat pozbawienia wolności.

INNI DZIENNIKARZE?

Z naszych informacji wynika, że w skład grupy mogli wchodzić także inni dziennikarze. W śledztwie badany jest np. wątek reportera pracującego niegdyś dla jednego z największych polskich brukowców.



Postcovidowy człowiek będzie lepszy



W mojej najnowszej książce stawiam tezę, że można spojrzeć na epidemię także jako na szansę na lepsze ustawienie priorytetów ludzkości, zerwanie z kultem skrajnego indywidualizmu, pogłębienie duchowości

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **Jackiem Pałkiewiczem**, podróżnikiem, odkrywcą źródeł Amazonki, autorem książek, w tym właśnie ukazującej się na rynku pt. „Pałkiewicz.com”*

Podróże w czasach epidemii znowu stały się towarem luksusowym, zarezerwowanym dla nielicznych?

Jacek Pałkiewicz: Dla młodszego pokolenia to rzeczywiście moment szokujący, oni nie pamiętają nie tylko trudności z uzyskaniem paszportu, wizy, lecz nawet granic w Europie, na których każdego bardzo dokładnie kontrolowano. Wydawało się, że świat będzie coraz bardziej w zasięgu ręki, coraz bardziej będzie się kurczył, także dzięki taniejacym połączeniom lotniczym, możliwości rezerwacji noclegu przez internet na całym świecie, łatwe transfery finansowe. Epidemia zatrzymała i odwróciła ten trend.

Uważa pan epidemię za poważną sprawę? Media i niektórzy eksperci nie straszą nas za bardzo?

Absolutnie nie, koronawirus wymyka się spod kontroli, robi się gorzej, niż się

spodziewaliśmy. Codzienne statystyki nie pozostawiają złudzeń. Nieodpowiedzialność społeczeństwa bagatelizującego obowiązkowe rygory jest porażająca i środowisko medyczne nie szczędzi słów krytyki pod adresem działań rządowych.

Koszty społeczne i gospodarcze zamrożenia są jednak ogromne.

Nie ma tu sporu – za wszystko w życiu się płaci. Dziś płacimy w mojej ocenie przede wszystkim za to, że w momencie, gdy epidemia się pojawiła, świat nie zareagował solidarnie, nie przestrzegano wszystkich koniecznych ograniczeń. Wskutek tego nie udało się epidemii zdusić. Szkoda.

Gdzieś się udało?

Moi synowie mieszkają w Szanghaju. Przez dwa miesiące panował bardzo ostry reżim, przestrzegany i solidnie eg-

zekwowany, a trzeciego miesiąca życie zaczęło wracać do normy. Opowiadają mi, że Szanghaj żyje dziś tak samo jak wcześniej. W Europie być może taki scenariusz był niemożliwy, ale w efekcie dla ludzi w moim wieku każde opuszczenie domu to rzucenie wyzwania przypadkowi i przeznaczeniu, istna gra w rosyjską ruletkę. Straszna zabawa w chowanego, gdzie wygrywa ten, który nie da się złapać. Ale jedyną nagrodą jest dla niego konieczność kontynuowania tej diabolicznej, nierównej gry. Diabelski, desperacki maraton.

Nasze życie zmieni się na trwałe?

Tak. Ślady będą głębokie i długotrwałe. Koronawirus przypomni, że są zagrożenia, wobec których wszyscy jesteśmy tak samo bezbronni i bezradni. Uzmysłowił społeczeństwu, że nie jesteśmy w stanie wszystkiego kontrolować. Zmienił nawyki, zmienił relacje

między ludźmi, w rodzinach. Nawet zapachy – mniej perfum w powietrzu, w windach, więcej charakterystycznego zapachu spirytusu, środków dezynfekujących. Skończyły się spotkania przyjaciół, kolacje, wizyty, którymi mój dom był zawsze wypełniony. Zamknięte drzwi, ograniczenie wyjść. Odczuwamy to bardzo boleśnie.

Jak epidemia zmieniła Włochy? Pana żona jest Włoszką, przez kilka miesięcy w roku mieszka pan w Italii.

Dominuje ulga, że udało się wyjść z bardzo trudnej sytuacji. To było ciężkie doświadczenie, ale paradoksalnie trochę Włochów zjednoczyło, pokazało, że muszą na sobie nawzajem polegać, że ważna jest sąsiedzka przyjaźń. Nie ma oczywiście gwarancji, że to potrwa dłużej.

Co może przerwać ten, jak pan to nazywa, diabelski maraton uciekania przed wirusem?

Nadzieję jest wypróbowana szczepionka, która skutecznie uodporni całą populację. Ale nie mamy pewności, czy za chwilę nie pojawi się coś podobnego. Ulgi można szukać także w pracy nad sobą. W mojej najnowszej książce „Palkiewicz.com” stawiam tezę, że można spojrzeć na tę epidemię również jako na przymusowe wyhamowanie, czas na refleksję, bardzo konieczny dla naszej tak hiperrozwiniętej, globalnej cywilizacji. Może to szansa na lepsze ustawienie priorytetów ludzkości, zerwanie z kultem skrajnego indywidualizmu, wyrzeczenie się uprzedzeń i nienawiści, wreszcie naprawę relacji człowieka ze środowiskiem naturalnym. A także ograniczenie konsumpcyjnego fanatyzmu, pogłębienie duchowości. Obalenie murów, które pracowicie wznosimy przez całe dekady. Uważam, że postcovidowy człowiek będzie lepszy, mniej opętany konsumpcjonizmem, bardziej przyjazny wobec natury.

Dotyczy to wszystko także Polaków?

Oczywiście. Jak już wspomniałem, dzielę czas między Włochy a Polskę. Zawsze, kiedy wracam do Warszawy, z zażenowaniem obserwuję „wojnę polsko-polską” i ten odczłowieczający

podział my–oni. Ze smutkiem słyszę, że syn z ojcem i sąsiad z sąsiadem nie chcą rozmawiać, bo dzieli ich polityka. To niesie naprawdę poważne ryzyko, mamy w Europie wiele przykładów, czym się może skończyć niezatrzymana nienawiść.

Dziś to wszystko nakręcanie jest także przez anonimowość internetu, nigdy obarczanie błotem nie było tak łatwe i tak tanie.

Niestety, w pełni się muszę zgodzić. To jest ta zła, porażająca strona internetu, który stał się także przestrzenią używaną do różnych gier. Ale to nie zmienia naszego zadania: mur dzie-

Dzielę czas między Włochy a Polskę. Zawsze, kiedy wracam do Warszawy, z zażenowaniem obserwuję „wojnę polsko-polską” i ten odczłowieczający podział my–oni

lący Polaków na pół, bolesne rozdarcie zwaśnionego i targanego złymi emocjami społeczeństwa nakazując szukanie porozumienia. Dlatego w mojej książce staram się zaproponować język, który o sprawach trudnych pozwala mówić w sposób nie dzielący, ale umożliwiający porozumienie. To naprawdę jest możliwe, a ja jestem tego żywym dowodem: mam przyjaciół na prawicy i lewicy, w jednym i drugim obozie. Mogę pójść na kawę czy lunch zarówno z Aleksandrem Kwaśniewskim, jak i Ryszardem Terleckim, z Borysem Budką i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, z kard. Kazimierzem Nyczem czy Zibi Bońkiem albo z panami czy z Jurkiem Domańskim z tygodnika „Przegląd”. Zaświadczam, że wszędzie są ludzie porządni i mniej solidni, mądrzy i głupi. Wymaga to trochę wysiłku, ale jest możliwe. Rozwijam te wątki w mojej książce. Przy okazji angażuję

się w patriotyczny projekt „Palkiewicz łączy Polaków”, podyktowany szczerą troską o mój kraj. Odpowiedzialność za tę sytuację ponoszą nie tylko politycy obu stron, lecz i społeczeństwo. Polska potrzebuje pokoju. Ludziom dobrej woli potrzebna jest rozważa i dialog, opanowanie i rozsądek, konstruktywne rozmowy na podstawie zasad równej odpowiedzialności. Byłoby niewybaczalnym błędem tego nie zrobić. Na dziś nie widzę bardziej aktualnego zadania. Wierzę w powodzenie, bo w trosce o autentyczne dobro wspólne możemy dużo wygrać.

Dlaczego tak prosty jest jej tytuł:

„Palkiewicz.com”?

To nawiązanie do mojej strony internetowej, na której czytelnik znajdzie pogłębienie pewnych rozważań. Ale i opisy moich licznych przygód. Bo w książce, w wywiadach i nawet wśród przyjaciół opowiadam połowę tego, co mi się przydarzyło.

Dlaczego połowę?

Bo kiedyś na jednym ze spotkań z czytelnikami we Włoszech usłyszałem, jak jedna pani do drugiej pani mówi, komentując moje opowieści: „Ależ ten człowiek ma fantazję!”. A mówiłem czystą prawdę. Zrobiło mi się tak przykro, że od tamtej pory trzymam się tej zasady. A tych, którzy chcą poznać całą prawdę, zapraszam na stronę internetową, gdzie są podane konkrety oddalające wątpliwości niedowiarków. I stąd taki tytuł książki.

Okladka bardzo oszczędna graficznie.

Liczę, że ten zabieg, tak odbiegający od pstrokaczyny innych okładek, przyciągnie oko, wyróżni. Ale jest jeszcze jeden powód: tym razem przygód opisuję tylko kilka, główny nacisk kładę na refleksje o współczesnym świecie, na przemyślenia o tym, jak słabnie, wali się współczesna Europa. Bardzo to przeżywam, bo czuję się dumnym Polakiem, także Włochem, ale i Europejczykiem. Wiem, jak to ważne, bo zanim jeszcze powstała Unia Europejska, już podróżowałem po całym świecie i w wielu miejscach na pytanie, skąd jestem, odpowiadałem właśnie

tak: jestem Europejczykiem. To był czas, gdy ten kontynent był potęgą. To niestety odchodzi w przeszłość, islam zjada naszą kulturę, wymywa nasze korzenie, chrześcijaństwo traci wpływy.

Pesymistyczna diagnoza.

Tak, ale takie są fakty. Kiedyś Europa była centrum świata, latarnią cywilizacji, a chrześcijaństwo trzymało cały kontynent, spajało go. Dziś nasza część świata zapomniała o swoich tradycjach, wartościach i korzeniach. Świadomość tożsamości jej mieszkańców się zatracza. Przypomnę, że Unia Europejska miała być chrześcijańska, takie były intencje jej Ojców Założycieli. Ale chcę podkreślić, że te słowa wynikają właśnie z troski o Europę: niezależnie od rozczarowania pogrążonym w chaosie i tkwiącym na rozdrożu Starym Kontynentem, z jego ultranowoczesną tożsamością, rozlewającym się islamem, degradacją narodowych norm, marginalizowaną rolą religii i zanikiem tradycji, a więc obrazu bardzo odległego od mojej wizji Europy, nadal się czuję lojalnym i dumnym Europejczykiem. A także Polakiem. Paradoksalnie, być może COVID-19, który odwrócił do góry nogami nasze codzienne nawyki, pozwoli na refleksję. Zły los przynosi nadzwyczajną okazję do skorzystania z awaryjnej sytuacji i odbudowę narodowej i europejskiej wspólnoty.

A czy Zachód widzi, że Polska w ostatnich dekadach tak poszła do przodu, tak się wzbogaciła?

Nie widzi. Wciąż pokutują stereotypy. Polska, Polak – te słowa wciąż wywołują poczucie wyższości. Ten mur, który dzielił Europę przez pół wieku, żelazna kurtyna, wciąż funkcjonuje w wielu umysłach. My – normalny świat, oni z bloku komunistycznego, zniewoleni, biedni. Nie umiemy się promować, nasze sukcesy przechodzą bez echa, ba, nawet ewidentnych zwycięstw nie potrafimy przekuć na lepszy wizerunek. Nic dziwnego, że Europa Zachodnia nie skrywa dystansu, poczucia wyższości i przewagi cywilizacyjnej czy przynajmniej protekcyjności względem dawnego obozu

socjalistycznego. Tak było nie tylko kiedyś, dziś jest podobnie i, co muszę podkreślić, taka mieszanina supremacji i pobłażliwości, zwykle zarezerwowana dla imigrantów z Trzeciego Świata, wciąż gnieździ się w głowach zachodnich prominentów działających w strukturach UE.

Jan Paweł II nie zmienił postrzegania Polaków?

To nie był tylko papież, to był także Lech Wałęsa, dla Zachodu wówczas symbol Solidarności. To były dwie postaci, które spojrzenie na Polskę zmieniły przede wszystkim w tym wymiarze, że zaczęto wiedzieć, gdzie jesteśmy na mapie, że stolicą jest Warszawa, że jest Gdańsk. Postrzeganie kraju nie zmieniło to zbyt. Pewnie to nasza wina. Nie wykorzystywaliśmy tych – nieladnie mówiąc – kart, które mieliśmy. I nadal tego w mojej ocenie nie robimy, nie walczymy odpowiednio o zmianę wizerunku Polski. Cóż z tego, że nasz kraj jest nowoczesny, innowacyjny, ma potencjał i rozwijającą się gospodarkę. Nie zbudowaliśmy swojej wyrazistej marki, bo wolimy świętować nasze historyczne klęski, a nie wspaniałe zwycięstwa czy osiągnięcia, które uczyniłyby nasz kraj wyjątkowym w globalnej rywalizacji o wpływy. Ta martyrologia jest obecna na każdym kroku.

Na szczęście miliony turystów odwiedzających Polskę mają coraz lepsze

wrażenia. Ale to dobra okazja, żeby zapytać, czy dzisiaj możliwe jest podróżowanie nie w ramach przemysłu turystycznego, który zwozi gości do luksusowych ośrodków, często odseparowanych od normalnego życia.

To prawda, że tak to często wygląda. W Ameryce Południowej znam przykłady wiosek rzekomo indiańskich, zasiedlanych na chwilę przez ludzi żyjących już normalnie, w zachodnim stylu. Jak przychodzi sygnał, chowają radia, przebierają się z dzinsów w tradycyjne stroje, ale i one często są już z Chin. Mnie to razi, bo ja wiem, jak wyglądają prawdziwi Indianie, i zawsze szukałem prawdy o ludziach, a nie przedstawień. Takie sztuczne paciorki dziś w turystyce dominują. Bardziej podobają mi się młodzi ludzie z plecakami, którzy jeżdżą po danym kraju. Ale oni też bardzo często ograniczają się do tras opisanych w przewodnikach.

Śnił się panu jakieś podróże?

Daleki jestem od wspomnień sentymentalnych. Czasem raczej ze strachem myślę o ekstremalnych przygodach, które przeżyłem. Dzisiaj już sił by nie starczyło, zdrowie by nie pozwoliło. Jeśli coś mnie szczególnie jeszcze pociąga, to południowo-wschodnia Azja, jak to kiedyś mówiono – Indochiny, oraz Ameryka Południowa. Te kraje zrobiły na mnie ogromne wrażenie, ich geografia, zabytki, historia, ale przede wszystkim ludzie. Często biedni, po przejściach, jak po terrorze Czerwonych Khmerów w Kambodży, ale zawsze uśmiechnięci, pełni pasji życia. Na początku denerwowało mnie w Peru, że jak się z kimś umawiałem na trzecią, to przychodził o piątą albo wręcz następnego dnia. Ale z czasem nawykłem.

Wielkich odkryć już nie będzie? Chłopięce marzenia już nie do spełnienia?

Takich odkryć jak w epoce wiktoriańskiej już nie będzie, ale nawet najbardziej opisany kraj ma swoje tajemnice. Jak się dobrze poszpera, jak się człowiek zanurzy, jak nie będzie się spieszył, to znajdzie swoje odkrycia. To zawsze młodym mówię: jeśli będziecie mieli odwagę, cierpliwość i pracowitość, jeśli odejdziecie od utartych szlaków, to przygoda was nie ominie.



SIECI

DODATEK SPORTOWY

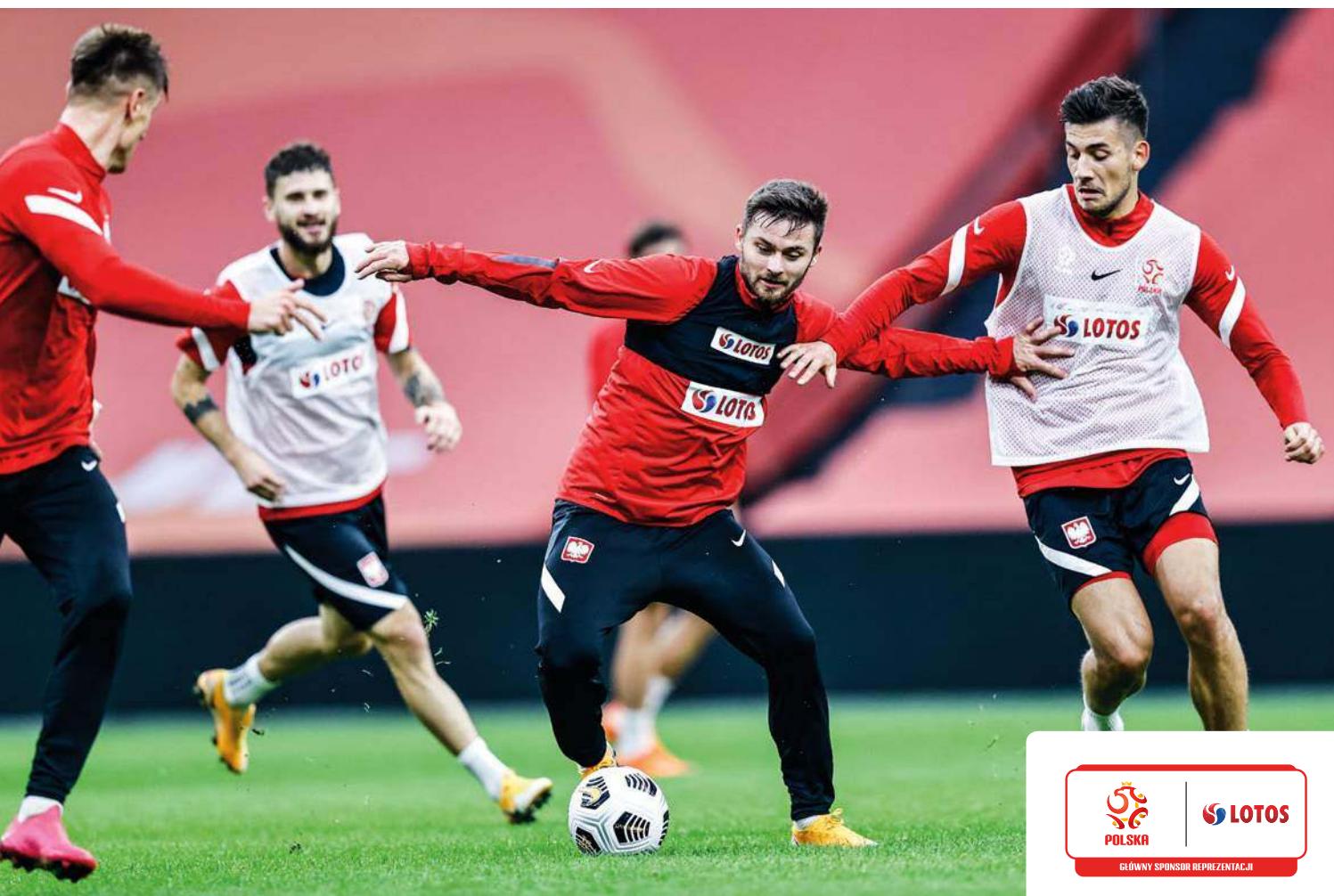


GRAMY DO JEDNEJ BRAMKI



PARTNER DODATKU
eprasa.pl 9df45d73cd





Z nadzieją w przyszłość

Piłka nożna to w Polsce sport numer jeden. Patrząc na losy naszej reprezentacji na przestrzeni dekad, bycie kibicem futbolu to żywot niełatwy. Ale są momenty, kiedy kibicowski los przynosi emocje i szczęście nieporównywalne z żadnymi innymi uczuciami. Czy stoimy w przededniu kolejnej pięknej karty w historii Biało-Czerwonych, których głównym sponsorem przynajmniej do końca 2022 r. jest Grupa LOTOS?

Triumfy kadry prowadzonej przez Kazimierza Górskiego czy Antoniego Piechniczka to chwile, które każdy polski kibic ma wyryte w sercu. Nie ukrywajmy, że złoty czas polskiej kadry trwał stosunkowo krótko, bo w zasadzie możemy go ograniczyć do lat 70. i początku lat 80. poprzedniego wieku. Polacy żyją nadzieją, że owa prosperity kiedyś się powtórzy. Zastanówmy się, czy reprezentacja prowadzona przez Jerzego Brzęczka ma potencjał, aby nawiązać do naj-

piękniejszych chwil polskiej piłki. Jak mówi Paweł Jan Majewski, prezes zarządu Grupy LOTOS: – Wspieramy polskich zawodników, by zwiększać poczucie dumy narodowej i ułatwiać im osiąganie sukcesów na światowych turniejach. Trzymamy kciuki za naszych piłkarzy i chcemy wspólnie ze wszystkimi Polakami cieszyć się z ich zwycięstw. Trwające zgrupowanie kadry związane jest z Ligą Narodów UEFA, ale nie ukrywajmy, że prawdziwe emocje przyjdą w czerwcu przyszłego roku podczas opóźnionego Euro.

Zespół Brzęczka, który objął stanowisko selekcjonera dwa lata temu po nieudanych mistrzostwach świata w Rosji, nadal wydaje się w fazie budowy. Od dziesięcioleci pokutuje przekonanie, że Polacy nie potrafią grać piłką i jedyną ich bronią są kontry, ale patrząc na nazwiska przywdziewające trykot z orłem, należy cenić się wyżej. Niedawno kapitan reprezentacji i najlepszy polski piłkarz w historii, Robert Lewandowski, otrzymał nagrodę Piłkarza Roku UEFA. Napastnik z Warszawy ma za sobą genialny sezon: w barwach Bayernu Monachium strzelił 55 bramek w 47 spotkaniach, będąc tym samym najważniejszym trybem w maszynie, która sięgnęła po pięć trofeów. Pozycja Lewandowskiego w kadrze jest niepodważalna – zespół Brzęczka gra przeważnie jednym napastnikiem, a rywale do miejsca w składzie są najwyżej w świecie słabsi od gracza Bawarczyków. Krzysztof Piątek po nieudanej przygodzie w AC Milan walczy o miejsce w składzie Herthy Berlin, ale na razie wychodzi mu to średnio. W jeszcze gorszej sytuacji jest Arkadiusz Milik. Niegdyś hołubiony przez kibiców Napoli, dziś jest ich wrogiem numer jeden. Zamieszanie związane z jego chęcią odejścia do najbardziej nienawidzonego na południu Włoch Juventus Turyn miało swoje konsekwencje, łącznie z odsunięciem od składu. Teraz Milik najbliższe pół roku spędzi na trybunach. Kto wie, czy już niebawem selekcjoner nie będzie chciał wypróbować na szpicy grających w reprezentacji młodzieżowej i mocnych europejskich drużynach Patryka Klimali czy Bartosza Białka.

Przez ostatnie lata, gdy Kamil Grosicki i Jakub Błaszczykowski byli w najwyższej formie, o reprezentacyjne skrzydła nie trzeba się było obawiać. Teraz „TurboGrosik” jest głębokim rezerwowym w West Bromwich Albion, a Kuba gra w dołującej Wiśle Kraków. Na szczęście na horyzoncie stosunkowo szybko pojawili się następcy. Kamil Jóźwiak za 4 mln euro przeszedł z Lecha Poznań do grającego w Championship Derby County, a 6 mln kosztował przed rokiem transfer Sebastiana Szymańskiego z Legii Warszawa do Dynamo Moskwa. Obaj zawodnicy udanie rozpoczęli sezon. O miejsce w hiszpańskim Eibarze walczy Damian Kądzior, który wraz z Grosickim stanowi dobre zabezpieczenie polskich skrzydeł. A w odwodzie zawsze pozostaje chociażby kopiący w USA Przemysław Frankowski, wychowanek programu Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM, czy młody i piekielnie zdolny wychowanek Lecha Jakub Kamiński. W środku pola niepodważalne miejsce ma podpora Napoli, Piotr Zieliński, którego ubezpiecza Grzegorz Krychowiak z Lokomotiwu Moskwa. Miejsce obok wspomnianej dwójki mogą zająć olśniewający w swoich pierwszych meczach w angielskiej ekstraklasie Mateusz Klich z Leeds United czy Karol Linetty, który zamienił Sampdorię na Torino. O swoje na trwającym zgrupowaniu muszą powalczyć grający w Kazachstanie Jacek Góralski oraz Jakub Moder, bohater największego „polskiego” transferu minionego okienka i zarazem największej transakcji w historii Ekstraklasy, którego angielskie Brighton kupiło za 10,5 mln euro. Brzęczek będzie miał jeszcze większy wybór, gdy do zdrowia po zerwaniu



więzadeł wróci kolega Jóźwiaka z Derby – Krystian Bielik, a wielką formę na włoskich boiskach zaprezentuje dwóch młodych Ślązaków – Szymon Żurkowski i Patryk Dzięczek.

Pozycja bramkarza to klasycznie ból głowy spowodowany wielką formą polskich golkiperów. Niepodważalnym numerem jeden jest oczywiście Wojciech Szczęsny, następca Gialluigiego Buffona w bramce Juventus Turyn, jeden z najlepszych bramkarzy na świecie. Zresztą Polacy broniący bramki są we Włoszech bardzo doceniani: od deski do deski grają Bartłomiej Drągowski w Fiorentinie i Łukasz Skorupski w Bolonii. Do tego dochodzi Łukasz Fabiański, wciąż podstawowy bramkarz West Ham United. Na miejsce starszych kolegów już czekają młode wilki wypatrzone przez futbolowych gigantów: Kamil Grabara (Liverpool), Radosław Majecki (Monaco) czy Marcin Bułka (PSG). Podstawową parę stoperów tworzą mający swoje klubowe problemy Kamil Glik, który jednak w reprezentacji nie zawodzi nigdy, oraz podpora Southampton Jan Bednarek. Na zgrupowanie Brzęczek zaprosił także 20-letniego Sebastiana Walukiewicza rozpychającego się w Serie A w barwach Cagliari, świeżo upieczonego zawodnika holenderskiego Heerenveen Pawła Bochniewicza oraz weterana Legii Warszawa Artura Jędrzejczyka. Na uznanie w oczach selekcjonera muszą zapracować grający ogony w swoich klubach Paweł Dawidowicz i Marcin Kamiński. Względny spokój panuje na bokach obrony. O miejsce na lewej stronie walczą weteran Lokomotiwu Maciej Rybus i młody gniewny z Legii Michał Karbownik, który został wykupiony przez Brighton za 5,5 mln euro. W ramach uzupełnienia pod ręką jest też zawodnik Crotone Arkadiusz Reca, a w perspektywie powołanie musi otrzymać świetny Tymoteusz Puchacz z Lecha. O rolę następcy Łukasza Piszczka na prawej stronie walczą Bartosz Berezzyński z Sampdorii i Tomasz Kędziora z Dynama Kijów, a niebawem miejsce w Augsburgu musi wywalczyć Robert Gumny, kolejny wychowanek poznańskiej akademii.

Z takim składem Jerzy Brzęczek może czegoś dokonać. Być może wejście w buty Kazimierza Górskiego, na co tak liczy selekcjoner w swojej niedawno wydanej biografii, jest zadaniem nieco karkołomnym, ale przecież każdy kibic polskiej reprezentacji, sponsorowanej przez Grupę LOTOS, ucieszyłby się z takiego obrotu spraw. ●



Kobieca strona piłki

Piłka nożna w wykonaniu pań zyskuje na popularności. Oczywiście w Polsce nie ma jeszcze takiego statusu jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie jest bardziej utożsamiana właśnie z kobietami niż mężczyznami, ale z pewnością sytuacja jest nieporównywalna z tą panującą jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu. W wielkim stopniu przyczynia się do tego działalność sponsora głównego polskiej reprezentacji kobiet, Grupy LOTOS

Polska reprezentacja kobieca istnieje od czterech dekad, ale nigdy dotychczas paniom nie udało się zakwalifikować na mistrzostwa świata czy Europy. Za to reprezentacja młodzieżowa U-17 przed siedmioma laty sięgnęła po mistrzostwo kontynentu. To właśnie wtedy objawił się talent Eweliny Kamczyk czy bramkostrzelnej Ewy Pajor, która jest kobiecym odpowiednikiem Roberta Lewandowskiego. W 2013 r. została uznana za najlepszą młodzieżową piłkarkę w Europie, a obecnie gra w jednym z najbardziej utytułowanych klubów na starym kontynencie VfL Wolfsburg. Jej klub seryjnie zdobywa mistrzostwo Niemiec, a sama Polka przed rokiem była najlepszym strzelcem Bundesligi. Polka gra za zachodnią granicą od pięciu lat i przez ten czas udało jej się trzykrotnie dotrzeć do finału Ligi Mistrzyń. Za każdym razem Wolfsburg przegrywał z absolutnym europejskim dominatorem, jakim jest Olympique Lyon. Nową koleżanką Pajor z klubu jest druga z najbardziej rozpoznawalnych polskich piłkarek, bramkarka Katarzyna Kiedrzynek, która sławę zyskała jako zawodniczka Paris Saint-Germain. Ewa Pajor z powodu kontuzji kolana nie mogła pomóc koleżankom we wrześniowym dwumeczu z Czeszkami, bardzo ważnym z perspektywy walki o awans na Euro 2021. Podopiecz-

ne Miłosza Stępińskiego zremisowały i przegrały z południowymi sąsiadkami, mocno komplikując sobie sytuację w grupie. Szansa na poprawę już niebawem – pod koniec października reprezentacja Polek sponsorowana przez LOTOS zagra z grupowymi outsiderkami z Mołdawii i Azerbejdżanu.

Nie samym futbolem reprezentacyjnym kibic żyje, a w Polsce może piłkarki obserwować w Ekstralidze, której poziom można porównać do poziomu rozgrywek w wykonaniu panów. Polskie kluby na arenie europejskiej nie mają wiele do powiedzenia, ale w kraju jest kilka zespołów będących potentatami. Od kilku lat taką rolę odgrywa Górnik Łęczna, wcześniej równych sobie nie miał Medyk Konin, a w bardziej odległej historii znakomite wyniki osiągały zespoły z Raciborza, Wrocławia i Sosnowca. W bieżącym sezonie po raz pierwszy do walki o mistrzostwo Polski po historycznym awansie włączyły się zawodniczki Akademii Piłkarskiej LOTOS Gdańsk, klubu będącego centralnym punktem programu Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM. Może grające w szeregach gdańskiego zespołu piekielnie zdolne Julia Włodarczyk czy Julia Formela mają szansę na to, aby osiągnąć sukces na miarę Ewy Pajor? Warto śledzić poczynania polskich piłkarek i przekonać się, że futbol w ich wydaniu może być po prostu piękny. ●

Od małego na całego



LOTOS
Piłkarska
Przyszłość
z LOTOSEM

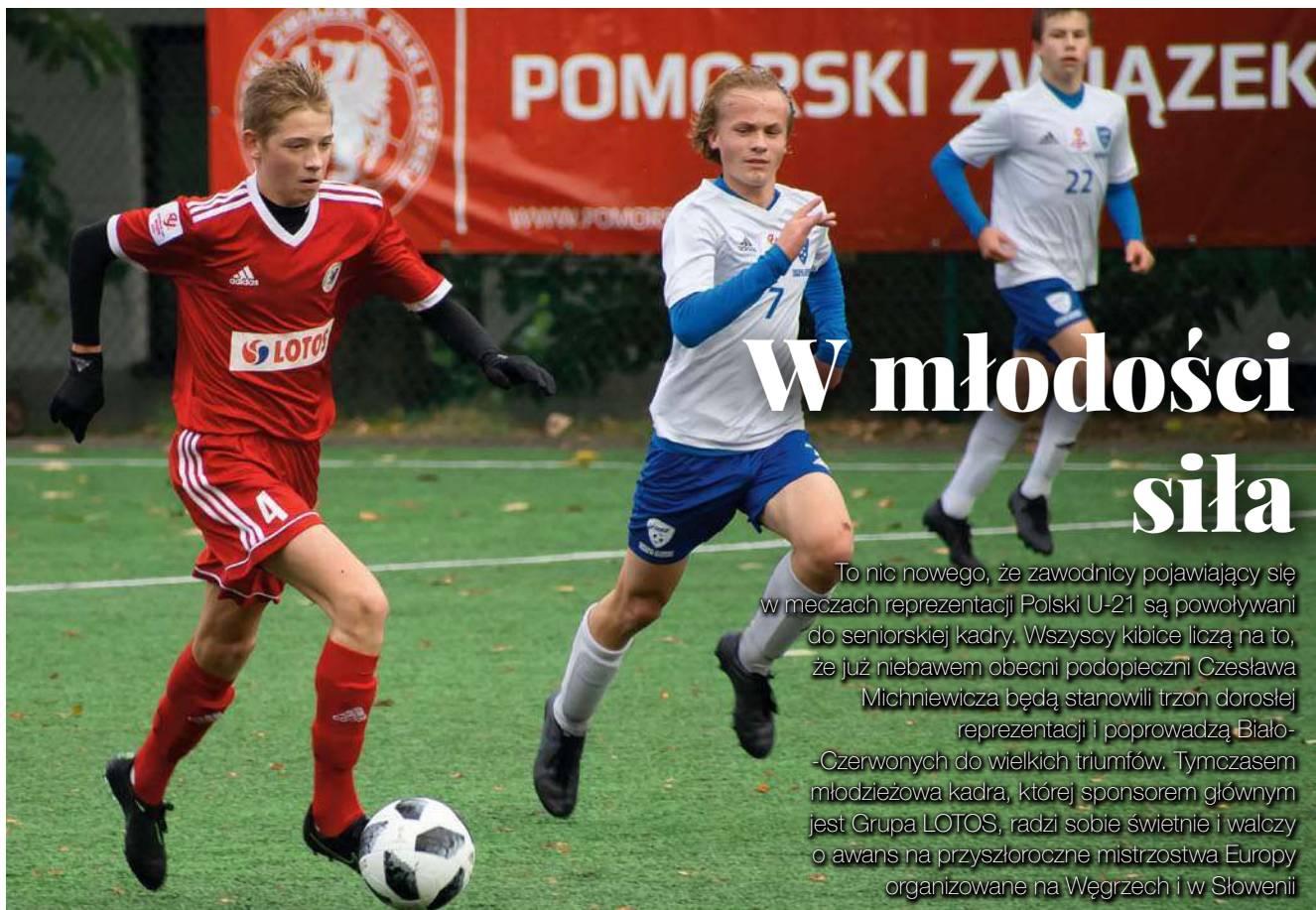


Nikogo nie trzeba przekonywać, jak ważne dla polskiej piłki nożnej jest profesjonalne szkolenie jej młodych adeptów. Jeśli chcemy się cieszyć z następców Roberta Lewandowskiego, Wojciecha Szczęsnego, Piotra Zielińskiego czy Arkadiusza Milika, trzeba inwestować w rozwój młodzieży. Jednym z przykładów dobrej praktyki w tym zakresie jest projekt Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM

Czas, gdy po lekcjach dzieciaki rzucały plecaki w kąt i spędzały popołudnie, grając w piłkę przy trzepaku, minęły bezpowrotnie. Wirtualny świat oferuje tyle atrakcji, że aby przyciągnąć młodych ludzi do aktywności fizycznej, trzeba im zapewnić odpowiednie warunki. Z pewnością takimi może się pochwalić sieć 15 ośrodków w ramach programu pod patronatem PZPN, w których piłkę nożną trenuje ponad 3,5 tys. chłopców i dziewczyn z całej Polski. W piłkarskich szkółkach mają okazję nie tylko podnieść swoje boiskowe umiejętności i zadbać o rozwój fizyczny, lecz także otrzymać stypendium i profesjonalny sprzęt sportowy. To szczególnie ważne w przypadku dzieciaków z mniejszych miejscowości, dla których droga do sportowej kariery jest bardziej wyboista niż dla ich rówieśników z dużych miast. LOTOS wypracował w swoich ośrodkach ujednolicony program szkoleniowy, co jest kluczowe przy wychowywaniu piłkarskich talentów (przykładem jest chociażby wielka piłkarska generacja Belgów, gdzie uniwersalne metody szkoleniowe w całym kraju wprowadzono już przed laty). Co ważne, organizatorzy cały czas mają w głowie starą prawdę, że sportowa rywalizacja wśród dzieci powinna być przede wszystkim zabawą. Dlatego tak wielkim powodzeniem cieszy się organizowany co roku turniej LO-

TOS Junior Cup, w którym wszystkie ośrodki mają szansę zweryfikować swoje umiejętności, a zwycięzcy wnoszą w górę puchar będący ukoronowaniem ich wysiłku na przestrzeni całego sezonu. Najlepsi wychowankowie z całej Polski trafiają ostatecznie do klubu UKS LOTOS Gdańsk, a stamtąd tylko krok, oczywiście naznaczony ciężką systematyczną pracą na treningach, do wielkiej kariery.

O słuszności kierunku, w jakim podąża projekt Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM, świadczą osiągnięcia jego wychowanków. – Na przestrzeni lat udało się odkryć wiele sportowych talentów, dzięki czemu wychowankowie dostali powołania chociażby do młodzieżowych reprezentacji Polski – mówi Łukasz Franiak, szef Biura Sponsoringu, Wydarzeń i CSR Grupy LOTOS. Najlepszym przykładem dla dzieci jest Przemysław Frankowski. 25-latek z Gdańska dzięki trafieniu w ubiegłorocznym meczu z Macedonią Północną stał się pierwszym wychowankiem projektu Piłkarska Przyszłość, który strzelił bramkę w seniorskiej reprezentacji Polski. W jego ślady z pewnością pójść kolejni, jak chociażby silny punkt reprezentacji U-21, prawy obrońca Karol Fila. Piłka nożna to dla dzieci przede wszystkim znakomita zabawa i zdrowa aktywność, ale też szansa na zbudowanie swojej piłkarskiej przyszłości. Żeby ją lepiej poznać, warto zajrzeć na stronę facebook.com/PPZL2012.



W młodości siła

To nie nowego, że zawodnicy pojawiający się w meczach reprezentacji Polski U-21 są powoływani do seniorskiej kadry. Wszyscy kibice liczą na to, że już niebawem obecni podopieczni Czesława Michniewicza będą stanowili trzon dorosłej reprezentacji i poprowadzą Biało-Czerwonych do wielkich triumfów. Tymczasem młodzieżowa kadra, której sponsorem głównym jest Grupa LOTOS, radzi sobie świetnie i walczy o awans na przyszłoroczne mistrzostwa Europy organizowane na Węgrzech i w Słowenii

Ktoż nie chciałby zobaczyć Polaków w wielkim finale rozgrywanym na MOL Arenie w Székesfehérvárze? Ale żeby Biało-Czerwoni mogli wyjść 6 czerwca 2021 r. na boisko przy akompaniamencie dopingującego tysiąca kibiców, najpierw muszą przejść eliminacje. Nie ma co ukrywać, że Polakom idzie na razie znakomicie. Są w czubie tabeli eliminacyjnej Grupy 5 wspólnie z Rosją, w pokonanym polu zostawiając Bułgarię czy Serbię. Co najważniejsze, młodzież z białym orłem na piersi w rundzie rewanżowej (pierwszy mecz zakończył się remisem) pokonała swoich rówieśników z Rosji, co stawia Polaków w uprzywilejowanej pozycji względem najgroźniejszego rywala. Jeśli 13 października na Stadionie Miejskim w Gdyni wyższość gospodarzy będą musieli uznać Bułgarzy, awans na Euro U-21 będzie pewny. Oczywiście pod warunkiem dobrego występu młodzieżowej kadry w Serbii cztery dni wcześniej. Październikowe mecze to sprawdzian nie tylko dla piłkarzy, lecz także dla Czesława Michniewicza, który obecnie łączy rolę selekcjonera reprezentacji U-21 z obowiązkami trenera Legii Warszawa.

Na kogo liczą polscy kibice w starciach z Serbią i Bułgarią? Najlepszymi strzelcami reprezentacji sponsorowanej przez LOTOS są na razie Patryk Klimala i Mateusz Bogusz. 22-letni Klimala walczy o skład w Celticu Glasgow, mając

w tym sezonie już dwie strzelone bramki. Trafił tam przed rokiem z Jagiellonią Białystok za 4 mln euro. Z kolei na debiut w Premier League wciąż oczekuje 19-letni Bogusz, którego już półtora roku temu w chorzowskim Ruchu wypatrzyło Leeds United. Ma się od kogo uczyć, bo przecież z najlepszej możliwej strony w angielskim zespole pokazuje się Mateusz Klich. Bogusz nie tylko strzela, lecz również masowo dogrywa kolegom – w trwających eliminacjach zaliczył już pięć asyst! Pewnymi punktami kadry są boczni obrońcy. Kapitan Robert Gumny przed miesiącem opuścił poznańskiego Lecha i rozpoczyna swoją przygodę w FC Augsburg, z kolei Karol Fila, wychowanek programu Piłkarska Przyszłość z LOTOSEM, jest żelaznym elementem pierwszej „jedenastki” Lechii Gdańsk. Pewniakiem na bramce jest wypożyczony z Liverpoolu do duńskiego Aarhus Kamil Grabara, z kolei o spokój w środku pola dba Patryk Diczek z drugoligowej włoskiej Salernitany. Selekcjoner ma do wyboru jeszcze wielu zdolnych i głodnych sukcesu zawodników, jak bramkarz Radosław Majecki z AS Monaco, skrzydłowy Jakub Kamiński z Lecha Poznań czy napastnik Bartosz Białkowski, najświeższy nabytek VfL Wolfsburg, który trafił tam za 5 mln euro, stając się tym samym bohaterem największego polskiego transferu minionego okienka. Jest w kim wybierać, a z taką młodzieżą można z optymizmem patrzeć w przyszłość także dorosłej reprezentacji.



Przed komputerem też trzeba dbać o swoje bezpieczeństwo

Fake, czyli kłamstwo – plaga naszych czasów

Bezpieczeństwo to słowo w wyjątkowym roku 2020, naznaczonym walką z zagrożeniem pandemicznym, nabrało szczególnego znaczenia. Obecnie, myśląc o zapewnieniu sobie i swoim bliskim bezpieczeństwa, skupiamy się na sposobach uniknięcia zakażenia koronawirusem. Walka z nim przeorganizowała nasze życie, sprawiając, że wiele dotychczasowych aktywności zmuszeni byliśmy przenieść z rzeczywistości do świata wirtualnego. I chociaż w takim cyfrowym świecie nasze zdrowie jest bezpieczne, to czyha na nas wiele innych zagrożeń, których istnienia warto być świadomym

Do problemu rangi globalnej urasta w ostatnich miesiącach dezinformacja. Toczy się wiele wojen informacyjnych, a świat wirtualny, czyli internet, już dawno stał się najbardziej wdzięcznym narzędziem do prowadzenia wszelkich operacji mających na celu wywołanie społecznych napięć czy nawet krwawych zamieszek. Akcje dezinformacyjne, których celem jest najczęściej destabilizacja istniejącego ładu, mogą być inicjowane i prowadzone przez różne podmioty – silnych lobbystów, służby specjalne, a nawet poszczególne państwa. Jest to możliwe głównie dzięki łatwości, z jaką można ukryć przed większością odbiorców źródło takich operacji. Autorzy tzw. wirali – czyli treści rozchodzących się błyskawicznie po całym świecie przy użyciu mediów społecznościowych – rzadko kiedy są łatwi do namierzenia czy zdemaskowania. Toczy się potężna lawina dezinformacji, ale trudno jednoznacznie wskazać, kto poruszył pierwszy kamyczek.

JAK SIĘ CHRONIĆ?

Walka z tym zjawiskiem, które samo w sobie jest bardzo groźne, o czym mogliśmy się ostatnio przekonać na ulicach amerykańskich miast czy też obserwując atak wizerunkowy na Polskę, jest bardzo trudna. Przypomina to trochę próbę wymuszenia na tradycyjnych mediach, takich jak prasa, sprostowania nieprawdziwych treści, co w przypadku naszego kraju i fatalnego tempa pracy aparatu sądowego dzieje się zazwyczaj po kilku latach, kiedy o sprawie pamiętają jedynie zainteresowane strony, a dobrego imienia kłamliwie pomówionej ofierze nie sposób już przywrócić. W przypadku tzw. fake newsów, publikowanych dziś masowo w internecie, sprawa jest o tyle trudna, że często nie sposób znaleźć autora, od którego można by żądać przeprosin czy też sprostowania. Jeżeli nawet uda się go znaleźć, to powielone w milionach przez innych użytkowników kłamstwo i tak sieje spustoszenie w umysłach rzeszy internautów, którzy przyjmują je za prawdę.

Czy istnieje więc jakiś skuteczny sposób ochrony przed falą kłamstw, nazywaną z angielska fake newsami, jaka zalewa dziś internet? Wydaje się, że skuteczny sposób jest tylko jeden – edukacja. Wszyscy powinniśmy się dziś uczyć, jak odróżniać prawdę od fałszu, jak zdemaskować próbę zmanipulowania sposobu, w jaki odbieramy rzeczywistość,



Fot. Shutterstock

od rzetelnego podawania faktów. Powinniśmy uczyć tego zwłaszcza młodsze pokolenia, dla których świat cyfrowych wiadomości, wirtualnych treści i wiralowych sensacji jest oczywistością bez punktu odniesienia w postaci tradycyjnych mediów, gdzie o ukrycie manipulacji czy kłamstwa było i jest jednak trudniej.

E-BEZPIECZEŃSTWO

Na fake newsach nie kończą się niestety zagrożenia związane z funkcjonowaniem w wirtualnej rzeczywistości. Możliwości, jakie daje internet, na szczęście nie są wykorzystywane jedynie przez oszustów, ale także do ograniczenia naszej aktywności w kontaktach bezpośrednich z innymi ludźmi w dobie pandemii. Polska w ostatnich miesiącach przechodzi przyspieszoną rewolucję cyfrową. Administracja państwowa wciąż poszerza katalog spraw, które możemy załatwiać zdalnie bez konieczności wizyty w danym urzędzie czy siedzibie jednostki administrującej konkretnym regionem. Zapewne wielu z nas zastanawia się, czy korzystanie z tzw. e-państwa jest w pełni bezpieczne. Czy wpisując w rubryki nasze najwrażliwsze dane, takie jak nr dowodu osobistego, PESEL czy adres zamieszkania, nie ryzykujemy przejęcia ich przez osoby nieuprawnione? By zyskać pewność i spokój ducha, warto odświeżyć sobie katalog bezpiecznych zachowań w trakcie korzystania z dobrodziejstw internetu i e-państwa. Pamiętajmy wciąż aktualne słowa wielkiego kanclerza koronnego Jana Zamoyskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, odnieśmy je do wyzwań nowego, cyfrowego, wirtualnego świata. ●



Fot. Shutterstock

Dezinformacja może zniszczyć nasz świat

Wydarzenia z ostatnich miesięcy w Stanach Zjednoczonych, kiedy ten wciąż najpotężniejszy kraj świata stanął niemal na krawędzi wojny domowej, dobitnie pokazały, jak niebezpiecznym potencjałem dysponuje dziś człowiek, który nosi przy sobie sprzęt do robienia zdjęć czy nagrywania filmów, a więc każdy właściciel smartfona, czyli prawie każdy z nas. Niepoddane żadnej rzeczowej weryfikacji, prześlągnięte emocjami nagrania wrzucone szybko do sieci i roznoszące się po niej z zawrotną prędkością są w stanie wywołać krwawe zamieszki kosztujące życie i zdrowie wielu niewinnych ludzi, pozbawiające majątku i środków do życia tysiące innych oraz generujące straty liczone w milionach dolarów

25

maja w Minneapolis w stanie Minnesota podczas zatrzymania przez policję zmarł czarnoskóry 46-latek George Floyd. Policja interweniowała w związku z podejrzeniem użycia przez Floyda fałszywego banknotu 20-dolarowego. Mężczyzna był już wcześniej znany organom porządkowym, nie miał czystej kartoteki. Zatrzymania dokonano w sposób wyjątkowo brutalny, a Floyd leżał skuty na ziemi przez kilka minut i był przytrzymywany przez policjanta Dereka Chauvina kolanem. Floyd skarżył się, że nie może swobodnie oddychać w tej sytuacji, a po kilku minutach doszło do tragedii – mężczyzna zmarł. Chauvinowi postawiono zarzut morderstwa i teraz oczekuje on w areszcie na proces. W czasie sekcji zwłok wyszło na jaw, że w dzień zatrzymania Floyd zażywał wyjątkowo silny specyfik o nazwie fenta-

nyl, którego przedawkowanie może prowadzić do... uduszenia. Czy ta substancja mogła się przyczynić do śmierci mężczyzny, poddanemu dodatkowemu silnemu stresowi podczas zatrzymania? W USA niewiele osób stawia sobie takie pytania, bo główną rolę w wydarzeniach po śmierci mężczyzny odegrały filmy nagrywane smartfonami przez świadków zatrzymania. Widzimy na nich przyduszanego przez Chauvina Floyda. Dla dzisiejszych odbiorców treści rozsiewanych w mediach społecznościowych tego typu obrazy, stanowiące przecież ledwie wycinek jakiejś większej całości, wystarczają, by wyrobić sobie określony pogląd i potępić jednego lub pochwalić drugiego człowieka. Niepotrzebne już jest śledztwo, drobiazgowo dochodzenie, umożliwienie przedstawienia swoich racji, próba usprawiedliwienia. Rozpędzone jak lawina media społecznościowe wydają wyrok w kilka sekund.

ZABIĆ GO!

Idealnie mechanizm ten zobrazowano w kampanii medialnej stworzonej na zlecenie administracji prezydenta Donalda Trumpa. Zima, mała uliczka zabudowana domami na przedmieściu jakiejś amerykańskiej aglomeracji. Z samochodu prowadzonego przez czarnoskórego kierowcę Ubera wysiada kobieta i wchodzi do swojego domu, gdzie zaczyna szykować kolację. W tym czasie mężczyzna, który ją odwiózł, próbuje zawrócić, ale grzęźnie w śnieżnej zaspie. Obudzony dźwiękami buksujących kół sąsiad kobiety wygląda przez okno i postanawia pomóc nieszczęsnemu kierowcy. Zakłada kurtkę i czapkę MAGA (czerwoną bejsbolówkę z napisem Make America Great Again), czyli znak rozpoznawczy zwolenników Trumpa. Podchodzi do kierowcy i tłumaczy mu, że pomoże wypchnąć auto z zasy, sugeruje, żeby później kierowca nie zatrzymywał się już na nieodśnieżonej i śliskiej ulicy, tylko nabrawszy rozpędu, odjechał. Odgłosy wypychania auta budzą wreszcie ciekawość kobiety, która wcześniej dotarła autem Ubera do domu. Wychodzi ona przed dom z telefonem w dłoni akurat wówczas, gdy uwolnione z zasy auto nabiera rozpędu, a jej sąsiad wciąż biegnie za samochodem. Kobieta zaczyna nagrywać scenę telefonem. Na uwiecznionych przez nią kadrach widać, jak biały mężczyzna w czerwonej czapce biegnie za autem Ubera i krzyczy: „Just go!” („Po prostu jedź!”). Kobieta wraca do domu i wrzuca do sieci swój filmik z komentarzem: „Mój rasistowski sąsiad właśnie przegonił mojego kolorowego kierowcę Ubera z naszej ulicy. To chore!”. Filmik następnie jest szybko przekazywany dalej przez znajomych z mediów społecznościowych, licznik odsłon bije, obraz staje się wiralem. Pojawiają się pierwsze pogroźki pod adresem sąsiada kobiety, nawoływania do ukarać go i wreszcie zabicia.

BIEDNY TATA KONTRA ZŁA POLICJA

W Polsce również bardzo często mamy próby wywołania niepokojów społecznych czy przynajmniej powszechnego oburzenia przy użyciu krótkich filmików internetowych. Jedną z ostatnich głośnych tego typu spraw była interwencja policji w Jeleniej Górze. Policjanci w dość zdecydowany sposób wyprowadzili mężczyznę z autobusu, co zostało uwiecznione na nagraniu przez jego dzieci. Mieliśmy więc obraz brutalnych policjantów i płaczące przerażone dzieci. Gdy filmik z tej interwencji znalazł się w serwisie YouTube, internauci natychmiast zapalali oburzeniem, a o sprawie zaczęły się rozpisywać największe portale internetowe. Tylko zdecydowana i szybka reakcja policji, która postanowiła upublicznić dłuższe nagranie z całego zdarzenia, zapobiegła kolejnej fali społecznego wzmożenia w oparciu o jawną manipulację. Policjantom udało się udowodnić dzięki kamerze monitoringu zainstalowanej w autobusie, że interwencja siłowa była nieodzownym zwieńczeniem dużo dłuższej akcji, polegającej przede wszystkim na próbie załagodzenia sporu w sposób pozabawiony konieczności użycia przemocy.

Inny fake news, który miał doprowadzić do niepokojów społecznych w Polsce, był związany z rzekomą pacyfikacją

demonstrantów pod Sejmem w grudniu 2016 r. W czasie wydarzeń związanych z blokowaniem mównicy sejmowej przez opozycję i zbieraniem się jej zwolenników na ulicy Wiejskiej w Warszawie rozpoczęto w sposób świadomy kolportowanie wieści o rzekomej brutalnej interwencji policyjnej. Plotka ta była rozsiewana, mimo iż wydarzenie sprzed budynku Sejmu było na żywo relacjonowane przez telewizje informacyjne. Do dziś w zasobach takich serwisów jak Twitter można znaleźć powielane nawet przez znanych publicystów kłamliwe informacje o policyjnym ataku na demonstrantów w grudniu 2016 r.

OFIARA „REŻIMU”

Tej samej nocy doszło do jeszcze jednej próby oszustwa, która skończyła się jednak dość groteskowo. Mowa oczywiście o słynnej akcji Wojciecha Diduszki, męża obecnej warszawskiej radnej i działaczki lewicowej Agaty Diduszko-Zyglewskiej, kiedy to w kłębach dymu z rac świetlnych położył się na jezdni pod Sejmem, co mogło sugerować, że został jedną z ofiar „brutalnego reżimu” obecnej władzy. Pech Diduszki polegał na tym, że akurat moment, gdy układa się na asfalcie został nagrany przez innych świadków tamtych pamiętnych wydarzeń i cała próba wywołania oburzenia za rzekome spowodowanie omdlenia Diduszki nie wypaliła. Gdy sprawa ujrzała światło dzienne, mężczyźni pozostało jedynie tłumaczenie, że wcale nie zamierzał udawać ofiary, a jedynie zablokować jezdnię, tak by nie mogły nią przejechać żadne auta z Sejmu. Tłumaczenie to znów nie wytrzymało konfrontacji z rzeczywistością, gdyż na filmiku udostępnionym przez świadków wyraźnie widać, jak do leżącego Diduszki podchodzą inne osoby i sprawdzają z troską, jak mężczyzna się czuje, a może czy w ogóle żyje. Ten wcale nie reaguje w tej sytuacji, co dziwi, bo gdyby zależało mu jedynie na blokadzie jezdni, to pewnie natychmiast uspokoiłby tych, którzy ruszyli mu z pomocą.

NIC JUŻ SIĘ NIE LICZY

Powyższe przykłady stanowią jedynie mały ułamek ogólnej liczby manipulacji, jakie praktycznie codziennie są dokonywane przy użyciu środków oferowanych dziś przez internet, a zwłaszcza media społecznościowe. Bez wątpienia najgorsze żniwo fake newsy zebrały dotąd w USA. O ile tragicznej śmierci George'a Floyda nie sposób przecież zaprzeczyć, to spirala nienawiści i przemocy, jaką rozpętało to wydarzenie, była czymś przerażającym. W napędzającym się poprzez kolejne protesty społeczne ruchu Black Lives Matter nie zważano już na nic. Niszczono mienie i biznesy zarówno ludzi białych, jak i czarnoskórych, dewastowano pomniki takich osób jak chociażby polsko-amerykański bohater Tadeusz Kościuszko, który był wielkim przeciwnikiem niewolnictwa. Dla karmionego kłamstwami i półprawdami agresywnego tłumu nie liczyło się już jednak nic poza czystą agresją. To obraz świata, w którym rzetelną edukację zastępują tzw. filmiki, czyli nagrywane smartfonami wycinki rzeczywistości.



Najbardziej szkodliwy antypolski fake



Strefy, których nie ma

Podstawowe rozeznanie w mechanizmach funkcjonowania mediów społecznościowych, odrobina marketingowego talentu i wywołujący emocje, potwierdzający stereotypy temat to składniki, by przyrządzić fake newsa mogącego posłużyć nie tylko do polaryzacji debaty publicznej, lecz i „twardych” administracyjnych działań. Przekonuje się o tym Polska przedstawiana na świecie jako kraj, w którym działają „strefy wolne od LGBT”

E mocjonalny wektor jest tu bardzo wyraźny. „Strefy wolne od LGBT” to miejsce, gdzie nie mogą żyć osoby homoseksualne ani transseksualiści. To coś, za pomocą czego wyklucza się pewną grupę ludzi, odbiera im się należne innym prawa – jak Żydom w czasie niemieckiej okupacji Europy. Polskie strefy są więc tym samym, czym były tramwaje, sklepy czy dzielnice „Nur für Deutsche”.

OBURZENIE I FUNDUSZE

Reakcja cywilizowanego świata musi być w takiej sytuacji jednoznaczna i ostra. Najpierw mieliśmy więc falę potępienia przetaczającą się przez media, potem wypowiedzi mniej i bardziej istotnych polityków, a w końcu formalne działania instytucji.

Unijna komisarz ds. równości Helena Dalli poinformowała o odrzuceniu kilku wniosków o środki na projekty w ramach programu Partnerstwo Miast. „Wartości i prawa podstawowe UE muszą być szanowane przez państwa członkowskie i władze państwowe. Z tego powodu sześć wniosków o partnerstwo miast dotyczących polskich władz, które przyjęły uchwały o »strefach wolnych od LGBTI« lub »prawach rodzin«, zostało odrzuconych” – napisała na Twitterze komisarz.

Dalej było tylko gorzej. O możliwości wycofania wsparcia z funduszy norweskich dla obszarów, które „postanowiły ogłosić się strefami wolnymi od LGBT”, poinformowało tamtejsze MSZ. Do sprawy stref nawiązała

w swoim orędziu o stanie Unii szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Motywem mowy była „unia równości”, w której „wszyscy mogą być tym, kim naprawdę są” – inaczej niż w Polsce, gdzie przecież funkcjonują „strefy wolne od LGBT”.

– Wszyscy powinni żyć bez obawy przed oskarżeniami lub dyskryminacją, bo bycie sobą to nie jest ideologia. To jest tożsamość i nikt nie może nikomu tego zabrać. Chcę postawić sprawę jasno: strefy wolne od LGBT to strefy wolne od wartości humanistycznych. Nie ma dla nich miejsca w naszej Unii Europejskiej – powiedziała von der Leyen.

Do wypowiedzi przewodniczącej Komisji Europejskiej odniósł się – na Twitterze, czyli tam, gdzie historia o „strefach wolnych od LGBT” się narodziła i urosła do nieprawdopodobnych rozmiarów – Joe Biden, kandydat Partii Demokratycznej na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

„Postawię sprawę jasno: prawa osób LGBTQ+ są prawami człowieka, i »strefy wolne od LGBT« nie mogą mieć miejsca w Unii Europejskiej ani nigdzie indziej na świecie” – napisał polityk, który wkrótce może zostać najpotężniejszym człowiekiem na Ziemi.

PORZĄDEK PRAWNY

A jak jest naprawdę? W Polsce nie funkcjonują żadne „strefy wolne od LGBT”. Nie ma wydzielonych administracyjnie, np. decyzją władz samorządowych czy państwowych, obszarów, gdzie jakiegokolwiek grupie przysługiwałyby inne prawa niż ogółowi społeczeństwa. Nie ma

gmin, powiatów czy miast, gdzie geje i lesbijki nie mogli by mieszkać czy pracować na identycznych warunkach co pozostałe grupy. Na całym terytorium Rzeczypospolitej Polskiej obowiązuje porządek prawny wynikający z zapisów konstytucji, zabraniającej dyskryminowania bądź wprowadzania szczególnych uprawnień dla osób ze względu na płeć, urodzenie, rasę, narodowość, wykształcenie, zawód i wyznanie.

Niektóre organy samorządu terytorialnego przyjęły natomiast uchwały pośrednio bądź bezpośrednio odnoszące się do problematyki ideologicznego wymiaru ruchu LGBT. Przede wszystkim były to uchwały przyjmujące postanowienia Samorządowej karty praw rodzin. Podkreśla ona wspomagającą wobec rodziny rolę instytucji oświatowych w wychowaniu dziecka, wskazuje na konieczność uwzględnienia kontekstu praw rodziny przy tworzeniu prawa, szczególnie zaś instrumentów polityki społecznej prowadzonej przez samorząd, a także monitorowania tych praw przez organy samorządowe. Karta praw rodzin to również wskazanie na wagę promocji praw rodziny w sektorze prywatnym, co samorząd może realizować choćby przez system certyfikacji przedsiębiorców, którzy przyjęli rozwiązania sprzyjające rodzinie.

Drugim rodzajem aktów prawnych podejmowanych przez samorządy są deklaracje w taki czy inny sposób sprzeciwiające się ideologii LGBT, czego przykładem może być deklaracja Rady Gminy Lipinki o nazwie „Gmina Lipinki wolna od ideologii LGBT”. Skonstruowana jest ona jako odpowiedź na „wywołaną przez niektórych polityków wojnę ideologiczną” i zapowiedź „konsekwentnej obrony” lokalnej wspólnoty samorządowej. Uchwała zawiera wiele deklaracji, np.: „Nie zgodzimy się na sprzeczne z prawem instalowanie funkcjonariuszy politycznej poprawności w szkołach (tzw. latarników). Będziemy strzegli prawa do wychowania dzieci zgodnego z przekonaniami rodziców!” czy „Nie pozwolimy wywierać administracyjnej presji na rzecz stosowania poprawności politycznej (słusznie zwanej niekiedy po prostu homopropagandą) w wybranych zawodach. Będziemy chronili m.in. nauczycieli i przedsiębiorców przed narzucaniem im nieprofesjonalnych kryteriów działania np. w pracy wychowawczej, przy doborze pracowników czy kontrahentów”.

„Deklaracja” – to słowo klucz do zrozumienia manipulacji wokół „stref wolnych od LGBT”. Zarówno Samorządowa karta praw rodzin, jak i inne uchwały przyjmowane przez samorządy są formą deklaracji niepociągających za sobą faktycznych skutków prawnych. Dość klarownie rozstrzygnął to sąd w Krakowie, rozpatrujący skargę rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara na opisaną wyżej uchwałę gminy Lipinki. Sędziowie stwierdzili, że uchwała „ma charakter deklaracji ideowej niestanowiącej podstawy nałożenia jakichkolwiek obowiązków”, więc – z samej natury – nie może prowadzić do dyskryminacji jakiejkolwiek grupy osób.

Także samorządy, które przyjęły kartę praw rodzin, stanowczo odcinały się od interpretacji wskazującej, ja-

koby ich uchwały były wymierzone w homoseksualistów. Przykład? Władze miasta Rypin, które „Gazeta Wyborcza” umieściła na mapie „stu samorządów wolnych od LGBT”, wydały oświadczenie, wyrażając oburzenie publikacją i podkreślając, że „pojawiające się w opinii społecznej liczne komentarze, jakoby uchwała Rady Miasta Rypin w sprawie przyjęcia Samorządowej karty praw rodzin, dyskryminowała środowiska LGBT, są prowokujące i nieprawdziwe”.

„HAPPENING” AKTYWISTY

Dlaczego więc zarówno w Polsce, jak i poza nią trwa dyskusja nad „strefami wolnymi od LGBT”, rozumianymi jako pozbawianie praw gejów i innych osób nieheteronormatywnych? Po pierwsze dlatego, że jest to skuteczne narzędzie w politycznej grze, jaka niewątpliwie toczy się wokół i w związku z naszym krajem. Po drugie, hasło o „strefach” potwierdza mocno zakorzeniony w liberalnych elitach Zachodu stereotyp o „homofobicznej Polsce”. Po trzecie, akcja aktywisty LGBT, która uformowała przekaz dotyczący „stref”, była odpowiednio, z punktu widzenia jej celu, a więc dezinformacji, skonstruowana.

Przypomnijmy – w mediach społecznościowych publikowano zdjęcia znaków drogowych z nazwami miast, które przyjęły Samorządową kartę praw rodzin lub innego rodzaju prorodzinne deklaracje ideowe, zestawione z tabliczkami (w języku polskim, angielskim i rosyjskim) informującymi o „strefie wolnej od LGBT”. Zestawienie to na pierwszy rzut oka wygląda jak realne oznaczenie. Autor „happeningu”, przynajmniej w początkowej jego fazie, nie informował zbyt szeroko, że to on sam wiesza tabliczki, a władze gmin nie mają z tym nic wspólnego. Powodowani interesem lub emocjami użytkownicy mediów społecznościowych masowo powielali zdjęcia. Zachodnie media zestawiały te ilustracje z tekstami o uchwałach polskich samorządów, czołowe polskie media prywatne komentowały – jak najbardziej poważnie – zagraniczną dyskusję o „strefach”. Wszelkie próby prostowania nieprawdziwej konstatacji, jakoby „strefy” istniały i miały na celu dyskryminację homoseksualistów, były skazane na niepowodzenie.

W ostatnich tygodniach media informowały o procesach, jakie wytaczają lub mają zamiar wytoczyć samorządy uwikłane w fake newsa o „strefach wolnych od LGBT”. Mało kto jednak o tym mówi, mało kto komentuje – w tym przypadku prawda wcale nie jest ciekawa... ●

„Charakter deklaracji ideowej”

W lipcu 2020 r. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie oddalił skargę Rzecznika Praw Obywatelskich na uchwałę gminy Lipinki dotyczącą ideologii LGBT. W uzasadnieniu postanowienia sędzia Hanna Knysiak-Sudyka wskazała, że „stanowisko Rady Gminy zaprezentowane w uchwale ma charakter deklaracji ideowej niestanowiącej podstawy nałożenia jakichkolwiek obowiązków czy przyznania bądź stwierdzenia uprawnień”.



Jak odróżnić fake newsa od prawdziwej informacji

Walka o prawdę jest bardzo trudna

W internecie znajdziemy dziś niemal wszystko, stąd jest tam także mnóstwo poradników serwujących zasady, których przestrzeganie ma uchronić nas od stania się ofiarą manipulacji. Niestety autorzy tych poradników, którzy uczciwie traktują opisywany temat, przyznają jednocześnie, że tak naprawdę nie ma żadnego pewnego sposobu na odróżnienie, co jest, a co nie jest fałszywą informacją

Wielu naukowców już od kilku lat stara się zbadać i opisać negatywne zjawiska, jakie towarzyszą rozwojowi internetu, a zwłaszcza rosnącej popularności mediów społecznościowych. Wnioski z tych badań nie napawają optymizmem. Po pierwsze, cały czas udoskonalane są narzędzia – czyli specjalne algorytmy – które służą do tworzenia fałszywej rzeczywistości, a po drugie, przeciętny użytkownik internetu jest coraz bardziej przyzwyczajony do szybkiego przetwarzania, wręcz konsumowania informacji bez ich głębszej analizy. Tymczasem przeciwdziałanie manipulacji, zatem zdemaskowanie jej i sprawienie, by nie odnio-

sła zamierzonego celu, jest skuteczne tylko wówczas, gdy odbiorca zaangażuje swój czas i umiejętności w posługiwaniu się zasobami sieci do rzetelnej weryfikacji. Jest to jednak proces trudny, zwłaszcza w świecie, w którym w trakcie np. kilkudziesięciominutowej przejażdżki autobusem do pracy jesteśmy przyzwyczajeni do przerzucenia na ekranie swojego smartfona nawet kilkuset informacji.

TRWA WOJNA INFORMACYJNA

Już trzy lata temu portal wPolityce.pl opisał raport „Computational propaganda in Poland: False Amplifiers and the Digital Public Sphere” autorstwa Robert Gorwy, absolwenta Oxford Internet Institute, stanowiącego część Uniwersytetu w Oksfordzie. Wnioski badacza były bardzo smutne – internet w Polsce jest polem walki o przekonania odbiorców, i to walki, w której stosowane są najbardziej brudne chwytły. Jak mogliśmy przeczytać: „Ciekawym i niepokojącym zjawiskiem – zdaniem Gorwy – są interakcje trollingu i internetowych algorytmów. Nienawistne wpisy, które zostały usunięte przez moderatorów, są jednak zauważane przez indeksujące algorytmy i pozostawiają w internecie ślad. Jeśli wiele wpisów sugeruje, że np. „Kowalski jest gejem”, to mimo usunięcia samych wpisów nt. Kowalskiego Google wciąż wyświetla to nazwisko w określonym kontekście”.

Gorwa dotarł też do politycznego konsultanta i marketera pracującego dla dużej firmy zajmującej się wykorzystaniem fałszywych tożsamości na polskich platformach społecznościowych. W ciągu ostatnich 10 lat firma (jak umownie nazywa ją autor raportu) stworzyła ponad 40 tys. unikatowych tożsamości – każdą z wieloma kontami na różnych platformach społecznościowych i portalach, unikatowym adresem IP, a nawet tożsamością. Zdjęcia profilowe wyszukiwane w internecie i modyfikuje, aby nie rozpoznawały ich poszukujące pierwowzoru wyszukiwarki. Tak uzyskane setki tysięcy fałszywych kont wykorzystywane są do celów politycznych i komercyjnych.

Podobne doświadczenia skłoniły już trzy lata temu autora raportu do smutnej konkluzji, że wkraczamy w złoty wiek propagandy, dezinformacji i manipulacji medialnej. Czy po trzech latach już w nim jesteśmy? ●

Rób, co możesz, by nie dać się fake'om

1. Korzystaj z internetu świadomie! Staraj się choć chwilę zastanowić nad tym, co właśnie przeczytałeś.
2. Sprawdź, czy rzekomo sensacyjne wieści, jakie zawarte są w chwytliwym tytule, rzeczywiście mają odzwierciedlenie w tekście.
3. Tekst oczernia lub wyśmiewa jakąś gwiazdę estrady, polityka, sportowca czy inną osobę publiczną? Sprawdź, czy autor zadał sobie trud dotarcia do tej osoby i wysłuchania jej racji. Sprawdź, czy pomawiany lub obrażany już w jakiś sposób nie zareagował na ten tekst, np. domagając się przeprosin lub sprostowania.
4. Oglądasz filmik, na którym jakaś osoba zachowuje się w sposób dziwny lub nerwowy. Zastanów się, czy obraz ten nie przedstawia jedynie wycinka jakiejś sytuacji, która trwała dłużej, i być może osoba na filmie miała dobry powód na usprawiedliwienie swojego zachowania.
5. Najłatwiej obnażyć niekompetencję lub złą wolę autora wówczas, gdy zabiera się on do opisywania spraw, które świetnie znamy, bo jesteśmy np. fachowcami w danej dziedzinie czy byliśmy naocznymi świadkami zdarzeń. Dla dobra wspólnego nie wahajmy się wówczas dementować jako naocznymi świadkami błędnych czy rozmyślnie fałszywych informacji. Będzie to nasz mały wkład w trudnej walce o przyzwoitość w internecie.

Bezpieczny w sieci

Coraz chętniej i coraz częściej korzystamy z dobrodziejstw cyfryzacji. Internetowa bankowość, zakupy przez internet, możliwość dzielenia się zdjęciami i plikami ze znajomymi znajdującymi się w innej miejscowości albo nawet na drugiej półkuli świata. Korzystanie z internetu daje mnóstwo możliwości, ale niesie też z sobą sporo zagrożeń. Jeżeli nie będziemy wystarczająco ostrożni, łatwo możemy się stać ofiarami przestępstw. Czego powinniśmy się wystrzegać?

PO PIERWSZE, UNIKAJ NIEZNANYCH ZAŁĄCZNIKÓW I LINKÓW W WIADOMOŚCIACH MAILOWYCH

Dostałeś na pocztę wiadomość od nieznanego ci odbiorcy z dołączonym linkiem lub załącznikiem? Nigdy nie klikaj w hiperłącze ani nie otwieraj pliku. Nawet jeżeli masz najnowszy program antywirusowy, to pamiętaj, że nie każdą niebezpieczną treść jest on w stanie wykryć i zablokować. Wystarczy jedno kliknięcie, aby potencjalny przestępca mógł przejąć kontrolę nad twoim systemem. Brzmi niewiarygodnie, ale niestety to prawda. Dzięki takim trojańskim plikom osoba z drugiego końca świata może mieć dostęp do twoich danych i wykorzystywać twój komputer do ataku na inne urządzenia. Możesz w ten sposób narazić się na utratę prywatności, oszczędności i problemy z prawem.

PO DRUGIE, STRZEŻ SIĘ PORNOGRAFII I ŚCIGAŃ PIRACKICH PLIKÓW

Pornografia to jedno z największych zagrożeń cybernetycznego świata. Może być niebezpieczna zarówno dla psychiki czy zdrowia szczególnie najmłodszych użytkowników internetu, jak i dla naszych danych czy oszczędności. Na wielu stronach z treściami dla dorosłych możemy się

spotkać z niebezpiecznymi przekierowaniami, które prowadzą do stron zaśmiecających nam pamięć systemu i wprowadzają do niego szkodliwe pliki. Złośliwe oprogramowanie może uzyskać dostęp do naszych haseł, kodów, loginów czy kart kredytowych.

PO TRZECIE, PAMIĘTAJ O KLÓDCE

Bankowość elektroniczna to jeden z najlepszych wynalazków ostatnich lat. Dzięki temu możemy przeprowadzić zakupy, zapłacić rachunek czy przelać pieniądze bliskim. Mamy też szybki i bezpośredni dostęp do naszego konta. Niestety wiedzą o tym również przestępcy, którzy liczą, że uda im się ten dostęp zdobyć i pozbawić nas oszczędności. Dlatego korzystając z elektronicznej bankowości, musimy przestrzegać kilku reguł. Po pierwsze, zawsze odwiedzaj stronę banku, korzystając z zaufanego komputera lub telefonu. Nigdy nie rób tego w kafejkach internetowych. Urządzenie, z którego korzystasz, powinno mieć zaktualizowany program antywirusowy. Po drugie, kiedy wchodzisz na stronę banku, sprawdź dokładnie jej adres i upewnij się, że nie zostałeś przekierowany na jej bliźniaczo podobną kopię. UWAGA!!! Adresy stron banków zawsze zaczynają się od „https:” a w okienku przeglądarki internetowej i dolnej części ekranu powinien się pojawić symbol zamkniętej kłódki.

Kiedy już jesteś w panelu logowania, nie zapisuj hasła do bankowości

elektronicznej w przeglądarce. To wygodne, ale takie hasło może łatwo paść łupem nawet początkującego cyberprzestępcy. Po zalogowaniu się na stronie swojego banku nie odchodź od urządzenia, z którego korzystasz. Po zakończeniu transakcji zawsze wyloguj się ze swojego konta bankowego.

Pamiętaj! Bank nigdy nie poprosi cię esemesem lub mailem o podanie swojego hasła czy danych do logowania. Jeżeli dostaniesz maila z prośbą o wejście na stronę i zweryfikowanie swoich danych, nigdy nie klikaj w przesłany link. Zaloguj się do banku za pomocą zakładki, którą powinieneś utworzyć sobie w „ulubionych”, lub poprzez wpisanie adresu banku w przeglądarce. Jeżeli bank ma dla ciebie wiadomość, z pewnością znajdziesz ją w skrzynce po zalogowaniu się na stronę banku w tradycyjny sposób.

PO CZWARTE, NIE PRZESADZAJ

Mówi się, że ostrożności nigdy nie za wiele, ale czasem i ona może być przyczyną problemów. Nigdy nie zapisuj swoich danych do logowania nawet w poufnych zaszyfrowanych katalogach. Posiadanie takich „zbiorów” w jednym miejscu nie jest szczególnie bezpieczne. Nie używaj też więcej niż jednego programu antywirusowego jednocześnie. Tego typu programy atakują siebie nawzajem i takie ich stosowanie może przynieść więcej szkody niż pożytku. ●



Bezpieczne e-państwo



W związku z epidemią koronawirusa Polska przeszła przyspieszoną transformację cyfrową. Duża część aktywności, których dotychczas nie wyobrażaliśmy sobie prowadzić zdalnie, przeniosła się do internetu. Jak po tym skoku cywilizacyjnym dziś załatwiamy np. nasze sprawy urzędowe?

W Polsce od kilku lat prowadzona jest skuteczna transformacja cyfrowa. Znaczną część spraw urzędowych już od dawna możemy realizować za pośrednictwem internetu czy telefonu. Niespodziewana epidemia COVID-19 i spowodowany przez nią lockdown wymusiły przyspieszenie transformacji, stąd w przestrzeni publicznej pojawiło się nawet pojęcie rewolucji cyfrowej. Trzeba jednak zaznaczyć, że tak naprawdę nie ma mowy o rewolucji, bo zmiany te były planowane i wprowadzane od dawna, a ich pełne wdrożenie przebiegało sprawnie i – co chyba najważniejsze – bezpiecznie.

Od początku epidemii premier, przedstawiciele różnych ministerstw oraz urzędów, zarówno centralnych, jak i lokalnych, zgodnie przyznają, że na poziomie administracyjnym z lockdownem poradziliśmy sobie sprawnie. Nie byłoby to możliwe, gdyby wcześniej nie przygotowano i nie przetestowano rozwiązań, które od marca zaczęły być stosowane na szerszą skalę. Można śmiało powiedzieć, że dzisiaj dysponujemy bardzo dobrze funkcjonującym „wirtualnym urzędem”, który w terminologii doczekał się już miana e-państwa.

Bezspornie fundamentem, na którym zbudowano e-państwo, jest profil zaufany (PZ). Początkowo był to rodzaj elektronicznego podpisu, którym mogliśmy potwierdzić naszą tożsamość przed urzędem. Dziś zakres rzeczy, które możemy dzięki niemu zrobić, jest dużo szerszy. Dzięki niemu możemy załatwić przez internet niemal każdą sprawę urzędową. A Polacy chętnie to wykorzystują.

Przypomnijmy, że jeszcze w 2016 r. z rozwiązania tego korzystało zaledwie 500 tys. Polaków. Było to spowodowane między innymi tym, że założenie profilu wymagało pójścia do urzędu i wypełnienia wniosku. Od października 2016 r. wystarczy mieć konto w banku i korzystać z bankowości elektronicznej. To udogodnienie sprawiło, że już w 2018 r. profil zaufany miało założone 1,8 mln osób, liczba ta wzrosła do 3,8 mln

w 2019 r., a na chwilę obecną jeszcze się podwoiła. Dziś z PZ korzysta ponad 7 mln Polaków!

CO DAJE NAM PROFIL ZAUFANY?

Jak czytamy na stronie Ministerstwa Cyfryzacji, „profil zaufany jest narzędziem umożliwiającym obywatelom uwierzytelnianie się przy załatwianiu spraw urzędowych. To pewnego rodzaju bezpłatny podpis elektroniczny, którym można potwierdzić wnioski wysyłane do urzędów czy też korespondencję urzędową”.

Jakie sprawy pozwoli nam załatwić PZ? Dzięki niemu można skorzystać z elektronicznej platformy podawczej ePUAP, która umożliwia składanie wniosków urzędowych, i w ten sposób np. złożyć wniosek o wydanie dowodu osobistego lub poinformować o jego utracie. Kierowcy sprawdzają przez ePUAP swoje punkty karne, a rodzice mogą np. złożyć wniosek o świadczenie 500+. Profil zaufany pozwala też połączyć się z portalem podatkowym i złożyć PIT. Dzięki profilowi możemy też zarejestrować działalność gospodarczą, wysłać pismo do wielu podmiotów publicznych lub też sprawdzić, czy nasz pracodawca odprowadza nasze składki na ZUS.

Dostęp do platformy ZUS daje nam także możliwość wypełnienia wniosku o bon turystyczny. Dzięki profilowi zaufanemu mamy też możliwość skorzystania z Portalu Pacjenta, na którym możemy np. wybrać lub zmienić lekarza pierwszego kontaktu, sprawdzić zaplanowane badania i wizyty lekarskie, a także zobaczyć wystawione recepty.

Co najważniejsze, dzięki protokołom, z których korzystamy do logowania się na naszym profilu zaufanym, jest on całkowicie bezpieczny. To także ogromna wygoda, oszczędność czasu i możliwość załatwienia wielu spraw bez wychodzenia z domu, stania w kolejkach i wydawania pieniędzy na dojazd. Coś, co jeszcze niedawno było tylko życzeniem, dzisiaj jest na wyciągnięcie ręki.



STOWARZYSZENIE
AKADEMIA
SPORTU
Artura Siódmiaka

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Werbalne wykolejenie

Gdy niemieccy politycy mówią o wysyłaniu czołgów do Warszawy, o finansowym zagłodzeniu Węgier, stawianiu obu krajów pod nadzorem, narzuca się pytanie, czy nie pozostawili w szatni rozumu

Katariny Barley



Deutscher Bundestag

Jak to dobrze, że Polska jest członkiem Unii Europejskiej. Po likwidacji Służby Bezpieczeństwa sumienni obywatele Rzeczypospolitej nie mają gdzie składać donosów. Europa jest jak znalazł. Zawsze jest się gdzie poskarżyć na nieodpowiednie stosunki, fałszywe poglądy i błędy rodaków. A Unia poucza, grozi i strofuje ustami swoich przedstawicieli. Z jakiegoś powodu są to często przedstawiciele niemieccy. W końcu to Niemcy najsilniej lobbowali za naszym wejściem do NATO i UE, a to zobowiązuje. Z wychowania niesforne dziecko nie należy rezygnować w połowie drogi.

Kryzys euro, masowa migracja, pandemia COVID-19, otrucie przez Kreml rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego czy protesty na Białorusi to nic w porównaniu z zagrożeniami wynikającymi z reformy systemu sprawiedliwości w Polsce, rzekomego deptania praw osób LGBT (choćby w postaci Margot) czy kolejki wąskotorowej, którą premier Węgier Viktor Orbán miał sobie zbudować za fundusze unijne gdzieś na głębokiej prowincji. Z tym należy się zmierzyć, by pokazać, że Unia nie jest taka bezradna, na jaką wygląda.

„ZMUSIĆ, WYWIERAĆ PRESJĘ, OBJĄĆ NADZOREM”

Skutecznym lekarstwem na te wszystkie choroby ma być powiązanie wypłaty funduszy unijnych z przestrzeganiem zasad praworządności. Bliżej niesprecyzowanych, bo wtedy straciłyby cha-

REKLAMA



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

rakter palki służącej do okładania tylko dwóch państw. Spór o praworządność toczy się już co najmniej od 2014 r. i pierwotnie dotyczył Węgier (o które PE w rezolucji martwił się już dwa lata wcześniej), po dojściu do władzy PiS w 2015 r. do Budapesztu dołączyła Warszawa. Od początku towarzyszyła mu ostra retoryka, oscylująca między pouczaniem a groźbami. Krytykujący Polskę i Węgry europejscy politycy nie kryli przy tym, że chcą „zmusić” Orbána i Kaczyńskiego

do ustępstw. Nagle się okazało, że zwycięstwo w wyborach nie daje im prawa do przeprowadzania zmian w państwie (oczywiście nieliberalnych), bo wtedy „dryfują” w kierunku autokracji, „chorej demokracji” i podobnych okropieństw. Kto jeszcze pamięta komisarza UE ds. gospodarki cyfrowej i społeczeństwa, niejakiego Günthera Oettingera? W styczniu 2016 r., po reformie medialnej PiS, ten polityk niemieckiej CDU zażądał, aby Unia „objęła Polskę nadzorem”. Inaczej Warszawa, „zlikwiduje wolność słowa”. Wolność słowa w Polsce ma się wciąż dobrze, zdecydowanie lepiej niż na Węgrzech, gdzie system medialny został rzeczywiście „domknięty”. Ale kto by sobie takimi drobiazgami głowę zaprzętał? Wypowiedź Oettingera nie powinna zresztą nikogo dziwić. Jak się dowiadujemy choćby z artykułu Marii Sikory, ekspert Centrum Postępu (Das Progressive Zentrum) w Berlinie, „zwycięstwo PiS w 2015 r. było dla Berlina wielkim szokiem”. „Z niemieckiej perspektywy ostatnie wydarzenia w Polsce nie tylko wydają się dziwne, lecz muszą też rozczarowywać. W końcu Niemcy zawsze starały się utorować drogę swoim wschodnim sąsiadom do UE” – czytamy. A oni tak się odwdzięczają.

Kolejnym miłośnikiem surowych metod wychowawczych okazał się długoletni przewodniczący Parlamentu Europejskiego, polityk SPD, niedoszły kanclerz, poseł do Bundestagu i niebawem szef Fundacji Friedricha Eberta Martin Schulz, zwany przez (nieprzyjanych mu) polskich europosłów czule „Martinkiem”. Schulz wślawił się wieloma wypowiedziami, które nawet jego niemiecki kolega, europoseł z ramienia liberalnej FDP, Alexander Graf Lambsdorff nazwał „werbalnym amokiem”. W 2015 r. polityk SPD żądał w wywiadzie z telewizją ARD, aby „siłą umocnić ducha wspólnotowego w Polsce”, zwycięstwo PiS w wyborach nazwał „puczem”, rok później w polskiej demokracji rozpoznawał „styl Putina”, a w 2017 r. apelował o to, by Unia „podtrzymała presję na Polskę”, a wobec wszystkich populistów stosowała „twarde środki”. Reformę sprawiedliwości w Polsce nazwał „niebezpieczną”, a przy okazji „czarnych protestów” pozołwał z wieszakiem w rękę i kartką z napisem: „Solidarność z polskimi kobietami”. Były przewodniczący PE to oczywiście polityk lewicowy z krwi i kości, jego antypolska krucjata przeciwko narodowo-konserwatywno-nacjonalistyczno-katolickiemu (niepotrzebne skreślić) rządowi nad Wisłą ma więc głównie podłoże ideologiczne. Bardzo podobnie Schulz wypowiadał się niejednokrotnie na temat prezydenta USA Donalda Trumpa.

Inaczej europoseł CDU Elmar Brok – „europejski poseł roku 2003” – któremu trudno zarzucić lewicowość i który w 2017 r. w wywiadzie z „Frankfurter Allgemeine Zeitung” stwierdził, że „dziś Polska nie zostałaby przyjęta do UE”, wyrzucić jej wprawdzie nie można, ale odebranie Warszawie w ramach procedury z art. 7 TUE prawa do głosu w Radzie UE „byłoby dość zbliżone

Najlepszy miesięcznik liturgiczny!

Nagroda dla prenumeratorów!

Każdy, kto do końca bieżącego roku kalendarzowego, tj. 31 grudnia 2020 r., opłaci prenumeratę „Oremus” na rok i prześle do 31 stycznia 2021 r. kopię potwierdzenia wpłaty,

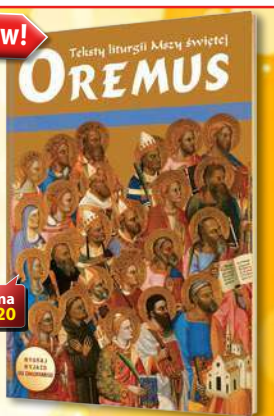
weźmie udział w losowaniu:

- jednego z dwóch dwuosobowych

zaproszeń do Zakopanego

Przypominamy, że prenumerata jest **zwolniona z kosztów przesyłki**, a opłacając ją na rok (12 numerów), płać Państwo tylko za 11 numerów „Oremus” – numer 12. jest **GRATIS!**

Organizatorem tygodniowego pobytu jest
OŚRODEK WYPOCZYNKOWO-TURYSTYCZNY
pw. Miłosierdzia Bożego na Cyrhli w Zakopanem
www.zakopane-cyrhla.pl



cena 7,20

sprawdź na
www.wydawnictwo.pl

Kopie potwierdzenia wpłaty prosimy przelać na adres:

Wydawnictwo PROMIC, ul. Św. Bonifacego 9/1, 02-914 Warszawa, tel. 22 642 50 82 w. 131, e-mail: zamowienia@wydawnictwo.pl

do wykluczenia jej z europejskiej wspólnoty”, czyli najlepsze, co można osiągnąć. „Czołgami w końcu Unia nie może tam wjechać” – dodał. Europosłów PiS natomiast Brok porównał po burzliwej debacie w PE do „starych, komunistycznych władców”.

O JEDNO ZDANIE ZA DALEKO

Tu dochodzimy do Ursuli von der Leyen, przewodniczącej Komisji Europejskiej, a dawniej szefowej niemieckiego MON. W 2017 r. stwierdziła, niezbyt dyplomatycznie, na antenie telewizji ZDF: „Mam dzieci, które studiowały w Polsce, akurat kiedy nastał nowy rząd. Ten zdrowy, demokratyczny ruch oporu młodego pokolenia również tam w Polsce musi być wspierany”. Słowa te padły trochę mimochodem i nie spotkały się z żadnym zainteresowaniem w Niemczech. Inaczej w Polsce, gdzie uznano, że minister posunęła się „o jedno zdanie za daleko”. A skoro już mowa o politykach niemieckiego rządu, to zanim europosłanka SPD Katarina Barley wslawiła się na całą Polskę słowami o zagłodzeniu finansowym Węgier oraz unijnych pieniądzach, które Orbán i Kaczyński mają sobie wsadzać do kieszeni, nie mniej udany występ miał jej partyjny kolega, sekretarz stanu w MSZ Michael Roth.

24 września węgierskie MSZ wezwało na dywanik niemieckiego ambasadora Johannes Haindla. Powodem był wywiad, którego Roth udzielił portalowi t-online.de i w którym mówił o „grasującym antysemityzmie” na Węgrzech. Ta teza była oparta na raporcie PE o Węgrzech, sporządzonym z okazji uruchomienia procedury art. 7 wobec tego kraju, gdzie była mowa o „powracającym problemie antysemityzmu”. Ponieważ to samo można powiedzieć o Niemczech, i to w dużo większym stopniu, Budapeszt był oburzony. Wywiad, który dotyczył także Polski, nosił zresztą znamienity tytuł: „Tak zamierzamy się zabrać za Polskę i Węgry”. Zdaniem Rotha Unia już zbyt długo cacka się z niesfornymi partnerami na wschodzie, czas przejść do konkretów.

Wtedy na scenę wkroczyła Barley i w duchu Martina Schulza zaczęła się domagać odebrania Polsce i Węgrom funduszy unijnych. W dyskursie Barley oba kraje jawią się jako skorumpowane „reżimy”, które żyją z pieniędzy niemieckich podatników. Rzesze Hansów i Ulrichów odbierają sobie ostatni gorący kartofel od ust, by Polakom żyło się lepiej. A ci w zamian nie okazują żadnej wdzięczności, tylko wykorzystują te pieniądze do tego, by gnębić sędziów i niezależne media. Tak – zauważyła Barley – być nie może. Co z tego, że Polska także wpłaca miliardy do budżetu UE, że polityka spójności to nie prosty system redystrybucji pieniędzy z bogatszych do biedniejszych krajów, tylko działanie w kierunku konwergencji, co także oznacza integrację państw Europy Środkowo-Wschodniej ze wspólnym rynkiem? Czyż się kończy brak konwergencji, widzimy na przykładzie Włoch czy Grecji – podziałami, konfliktami, dezintegracją. Ponadto pieniądze Hansów i Ulrichów w ramach tego samego mechanizmu

płyną także do słabszych regionów Niemiec, przede wszystkim na wschodzie. A duża część funduszy unijnych wraca znad Wisły do Niemiec w postaci zysków niemieckich koncernów.

EUROPEJSKIE WARTOŚCI LIBERALNEJ DEMOKRACJI

Europosłanka SPD stwarza wrażenie, jakoby Niemcy, Francja etc. robiły nam łaskę. Zrobiły nam łaskę, zapraszając do UE, a teraz mogą tę łaskę odebrać. Ostatnie wypowiedzi Barley o Polsce nie były pierwszymi w tym stylu. W styczniu bieżącego roku udzieliła wywiadu monachijskiemu dziennikowi „Süddeutsche Zeitung”. Krytykowała w nim reformę sprawiedliwości i domagała się od Brukseli „twardszego kursu wobec Polski”. W kwietniu był kolejny taki wywiad dla Redaktionsnetzwerk Deutschland. Wiceszefowa europarlamentu wezwała w nim Komisję Europejską do podjęcia kroków prawnych przeciwko państwom członkowskim Unii, „takim jak Polska i Węgry, które pod pretekstem zwalczania pandemii ograniczają demokrację i rządy prawa”. „Tam, gdzie rządy państw unijnych kontynuują prowadzone już przed kryzysem swoje autorytarne zapędy, Komisja Europejska powinna je pozwać do

Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości za naruszenie traktatów UE” – powiedziała. „Dla przyszłości UE jest decydujące, by walka z pandemią była zgodna z europejskimi wartościami liberalnej demokracji” – dodała. Niedługo potem w radosnej pogawędce z dwiema innymi europosłankami socjalistów wysunęła tezę, że szefowa KE Ursula von der Leyen, skoro została wybrana na to stanowisko także głosami Polski i Węgier, musi teraz „pokazać, że jest od nich niezależna” i twardo postępować z PiS i Fideszem. Według niej PiS ma poparcie społeczeństwa, bo je sobie kupiło dzięki funduszom unijnym. Dlatego należy powiązać owe fundusze z praworządnością, by Polska je straciła, a ponadto regularnie zohydzać polski rząd, Kaczyńskiego i Orbána.

To przykre, że taką retoryką posługuje się Niemka, biorąc pod uwagę wspólną, bolesną historię. Gdy niemieccy politycy mówią o wysyłaniu czołgów do Warszawy, o zagłodzeniu Węgier, stawianiu pod nadzorem, narzuca się pytanie, czy nie pozostawili w szatni rozumu.

Ale nie ludźmy się. Podobną werbalną agresję wobec Polski stosują także europejscy politycy innej narodowości. Dobrym przykładem jest tu belgijski europoseł Guy Verhofstadt czy szef MSZ Luksemburga Jean Asselborn, który groził Warszawie wykluczeniem z Unii, jeśli nie „zastosuje się do orzeczeń TSUE”. W czołganiu Warszawy i Budapesztu przodują politycy lewicy. W tym słowotoku giną nie tylko nianse, lecz także podstawowe fakty. Nie powinniśmy być jednak zaskoczeni, debata o praworządności toczy się od lat, m.in. w niemieckim Bundestagu i została ona wpisana do priorytetów niemieckiego przewodnictwa UE, które rozpoczęło się 1 lipca. Głos Katariny Barley to głos liberalno-lewicowej większości w Europie i będzie dalej wybrzmiewał. ➤

„Czas na Smoleńsk”

W ubiegłotygodniowym numerze „Sieci” ukazał się artykuł Marka Pyzy i Marcina Wikła „Czas na Smoleńsk”. Chciałbym wyjaśnić i skorygować pewne kwestie i nieporozumienia zawarte w tekście. Ograniczę się do tematów związanych z moim udziałem w śledztwie smoleńskim, poruszonych w artykule



GLENN ARTHUR JORGENSEN

Polska i świat potrzebują właściwego dokończenia badania i udokumentowania go w odpowiednim raporcie końcowym. Pomimo trudności organizacyjnych komisja ma olbrzymi dorobek i osiągnięcia badawcze. Dowody i materiał badawczy pozwalają na sformułowanie niepodważalnych wniosków w wielu obszarach badań. Wyzwaniem było i jest uniknięcie wyśmiewania wyników, gdy są one publicznie przedstawiane w połączeniu z przypuszczeniami czy też fałszywymi lub niesprawdzonymi hipotezami.

1. Marek Pyza i Marcin Wikło fałszywie twierdzą, że niedawno przedstawiłem prace, które wspierają niską trajektorię lotu, i to jest powodem „konfliktu z przewodniczącym”. Moja obszerna praca nad trajektorią wyraźnie pokazuje, że samolot przeleciał nad tzw. brzozą Bodina zgodnie z dowodami przedstawionymi w raporcie technicznym z 2018 r., w mojej prezentacji podczas Konferencji Smoleńskiej oraz zgodnie z późniejszymi ustaleniami i pozyskanymi dowodami.

2. Nie będę komentować moich listów do przewodniczącego podkomisji, ponieważ są one przeznaczone wyłącznie do użytku wewnętrznego. Jednak dzięki ponad 35-letniemu doświadczeniu

w zarządzaniu projektami badawczymi mogę stwierdzić, jak ważne jest dla podkomisji utrzymywanie dobrych relacji ze wszystkimi ważnymi partnerami. W tym przypadku są to inni eksperci zewnętrzni, w tym eksperci międzynarodowi, prokuratorzy i amerykański instytut NIAR. Jako zawodowy badacz wypadków szkolony w Cranfield University będę również podkreślał wagę, jeśli chodzi o zachowanie wiarygodności, aby nie upubliczniać w mediach wstępnych, niepotwierdzonych wyników, które łatwo prowadzą do takich sprzeczności, jak podkreślono w artykule. Ten medialny pośpiech tym trudniej zrozumieć, kiedy towarzyszy on wielomiesięcznym lub wręcz wieloletnim opóźnieniom od strony organizacyjnej realizacji niezbędnych prac badawczych.

3. W załączniku do umowy pomiędzy państwem polskim a amerykańskim instytutem NIAR Antoni Macierewicz obiecał i zobowiązał się na piśmie oddelegować 12 żołnierzy/pomocników w celu terminowego dostarczenia wymaganych danych do instytutu. Ta obietnica nigdy nie została dotrzymana i aby po raz drugi nie stracić amerykańskiego instytutu jako partnera i terminowo, systematycznie wypełniać zobowiązanie strony polskiej zgodnie z umową z Amerykanami, podjąłem inicjatywę zatrudnienia Amandy Ulaśiuk do pomocy w pracy sekretarskiej przy sporządzaniu 22 tys. stron raportu z danymi liczbowymi i zdjęciami pokazanymi do NIAR, co pozwoliło mi na skupieniu się na inżynierskiej i technicznej stronie zadania. Dokonano tego z wielkim sukcesem.

4. Raport techniczny opublikowany w 2018 r., choć nie jest raportem końcowym, to jest jak dotąd jest najważniejszą publikacją dotyczącą zrozumienia tragedii smoleńskiej. W pełni zgadzam się z kluczowymi ustaleniami tego raportu i jeśli Marek Pyza i Marcin Wikło mówią o jakiejś grupie, która go kwestionuje, nie dotyczy to mnie w żadnym stopniu.

5. Marek Pyza i Marcin Wikło piszą: „W rezultacie samolot jest zdemontowany, skrzydła są przecięte, a ten dowód nie nadaje się już do wielu ekspertyz”. Zbudowanie właściwego i wiarygodnego modelu Tu-154M wymaga pobrania próbek materiałowych i było realizacją umowy pomiędzy państwem polskim a amerykańskim instytutem NIAR w celu zbudowania wiarygodnego modelu cyfrowego samolotu. Marek Pyza i Marcin Wikło nie podają żadnych przykładów, które eksperyty nie zostały wykonane w oparciu o bliźniaczy samolot Tu-154M w ciągu ostatnich 10 lat, kiedy to było możliwe i nie będą mogły być już wykonane w wyniku podjętej ważnej działalności badawczej w postaci pobrania próbek materiałowych. Dzięki temu działaniu mamy teraz dokładny cyfrowy model statku powietrznego, który może służyć do aktualnych i przyszłych badań. 

*Z poważaniem
Glenn Arthur Jorgensen
Air Accident and Safety Investigator,
Member of ISASI
Former member of the Subcommittee for
the Investigation of the Smolensk Crash*

**W najbliższym numerze odpowiedź
Marka Pyzy i Marcina Wikły**



Pacjenci z chorobami przewlekłymi potrzebują stałej dostępności leków i opieki farmaceutycznej

Powodzenie terapii jest często związane z przestrzeganiem zasad leczenia. Jest to szczególnie istotne w przypadku chorób przewlekłych, które wymagają systematyczności i ścisłego stosowania się do zaleceń lekarza przez długi okres czasu w celu zminimalizowania skutków choroby

Problem nieprzestrzegania zasad terapii jest bardzo częsty, szczególnie wśród osób starszych, czego skutkiem jest obniżenie efektywności leczenia, a w konsekwencji zwiększona liczba powikłań nieleczonej choroby, które mogą doprowadzić do zwiększonej śmiertelności chorych. Dodatkowo dochodzą ograniczenia w dostępności leków.

Z roku na rok maleje liczba aptek, co znacznie wpływa na ich konkurencyjność, a w konsekwencji na dostępność leków – to pacjenci teraz muszą się martwić o to, czy dostaną swój lek od ręki. Powoduje to duże problemy ze stosowaniem się do zaleceń terapii, co bezpośrednio przekłada się na skuteczność leczenia, a w konsekwencji na obciążenie systemu ochrony zdrowia i zwiększenie ostatecznych kosztów leczenia.

– Skuteczność terapii jest ściśle związana z wypełnieniem zaleceń lekarzy. Identyfikacja tego problemu i wdrożenie metod minimalizujących jego konsekwencje mogą istotnie wpłynąć na zwiększenie efektywności i bezpieczeństwa leczenia, a także na redukcję cierpienia pacjentów i poprawę ich jakości życia. Może się to również przełożyć na zmniejszenie śmiertelności i zachorowalności, a także na całkowity koszt terapii – mówi prof. Piotr Skarżyński, otorynolaryngolog, członek zarządu Centrum Słuchu i Mowy „Medincus”.

Zachowanie równowagi na rynku farmaceutycznym może znacząco wpłynąć na bezpieczeństwo lekowe w Polsce. Konkurencyjność poszczególnych

apteek może być wzmocniona również przez wprowadzenie opieki farmaceutycznej, która miałaby szansę stać się realnym wsparciem w szczególności dla pacjentów z chorobami przewlekłymi.

Biorąc pod uwagę niedobory personelu medycznego, a także ograniczone możliwości finansowania polskiego systemu ochrony zdrowia, rozwiązania tego problemu należy szukać w niewykorzystywanych dotąd zasobach – w aptekach.

Taki model sprawdził się już w wielu krajach, m.in. w Holandii czy Szwecji, które znane są z najbardziej innowacyjnych rozwiązań w medycynie i zdrowszego społeczeństwa. Farmaceuci pełnią tam funkcję doradcy pacjenta, wypisują recepty dla niektórych pacjentów, m.in. tych przewlekle chorych, którzy często pojawiają się u swojego lekarza rodzinnego jedynie po wypisanie leków, prowadzą konsultacje farmaceutyczne czy przeglądy lekowe mające na celu wyeliminowanie konfliktów lekowych.

Uwzględnienie roli farmaceuty w procesie opieki nad pacjentem jest więc bardzo istotne. Skuteczna, bezpieczna i racjonalna farmakoterapia jest jednym z fundamentów efektywnego systemu ochrony zdrowia, a opieka farmaceutyczna polegająca na współpracy farmaceuty z lekarzem, gdzie farmaceuta udzielałby świadczeń zdrowotnych (obejmujących także proste testy diagnostyczne) i porad uzupełniających, powinna stanowić standardową praktykę.

Wzrost roli farmaceutów jest konieczny szczególnie w kontekście starzenia się społeczeństwa, rosna-

cego zapotrzebowania na świadczenia zdrowotne przy jednoczesnym kryzysie kadrowym w środowisku lekarzy i pielęgniarek.

– Przy obecnych wyzwaniach polskiego systemu ochrony zdrowia zwiększenie kompetencji farmaceutów to konieczność. Dodatkowo Polska ma odpowiednie zasoby potrzebne do wprowadzenia opieki farmaceutycznej w aptekach ze względu na ich dużą dostępność, liczny i kompetentny personel farmaceutyczny oraz poszerzany o nowe funkcjonalności system e-Zdrowie – mówi Marcin Czech, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Farmakoeconomicznego, kierownik Zakładu Farmakoeconomicznego Instytutu Matki i Dziecka, podczas niedawnej konferencji poświęconej opiece farmaceutycznej.

Obok konsultacji farmaceutycznych, przepisywania recept dla wybranych pacjentów czy przeprowadzenia przeglądów lekowych farmaceuci mogliby również opracowywać indywidualne plany opieki farmaceutycznej, co pomogłoby usystematyzować przyjmowanie produktów leczniczych, a także mogliby prowadzić edukację zdrowotną, działania profilaktyczne i promocyjne zdrowego trybu życia.

W połączeniu z zapewnieniem pacjentom stałego dostępu do leków może to wpłynąć na zwiększenie skuteczności leczenia pacjentów, a długofalowo na poprawę stanu zdrowia wszystkich Polaków, a także na ostateczny koszt leczenia dla płatnika publicznego.

PJ

Gorzki bilans rewolucji

Po dwóch miesiącach białoruskich protestów możemy z nieco większym dystansem przeanalizować tamtejsze wydarzenia oraz ocenić skutki naszej polityki wobec Mińska.

Może po latach historia przyzna nam rację, ale na razie musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Rewolucja jeszcze się nie skończyła, jednak z polskiego punktu widzenia sytuacja jest dziś gorsza niżli trzy miesiące temu. Dlaczego?



MAREK BUDZISZ

Yauheni Preiherman, twórca i dyrektor półniezależnego think tanku Miński Dialog, napisał, komentując obecną sytuację, że przyjęte przez Unię Europejską sankcje wobec reżimu Łukaszenki nie mają szans wywrzeć „żadnego efektywnego wpływu na Mińsk, nawet jeśli zostaną rozszerzone”. Inni białoruscy analitycy, tacy jak np. Artem Schreibman, są zdania, że unijne działania mają charakter symboliczny, wprowadzane są głównie po to, aby uspokoić własne wyrzuty sumienia, a wyłączenie z listy osób objętych restrykcjami Łukaszenki, ponoć na prośbę Kremla, świadczy o tym, że Europa już się pogodziła z myślą, że na Białorusi panem sytuacji i głównym rozgrywającym jest Putin. Europa nie chce konfrontacji z Moskwą, a zdaniem wielu

ekspertów tylko presja na Rosję (w tym kolejne sankcje) mogłyby doprowadzić do przełomu w Mińsku.

Podobną opinię formułuje również Preiherman, który jest zdania, że już od chwili kiedy Łukaszenka poprosił Putina o pomoc, wiadomo było, że Kreml trzyma wszystkie karty w ręku i może spokojnie, nie spiesząc się, rozgrywać swoją partię. W jego opinii jedynie Stany Zjednoczone, gdyby zdecydowały się zagrać twardo, wprowadzając wymierzone w Białoruś sankcje, mogłyby jeszcze zmienić sytuację, ale na razie trudno sobie wyobrazić, aby się na taki krok zdecydowały. Może po to, aby zniechęcić Waszyngton do rozpatrywania tego rodzaju posunięć, Preiherman wspólnie z Thomasem Grahamem napisali we wpływowym amerykańskim periodyku „Foreign Affairs” artykuł, w którym wzywają Waszyngton do znalezienia odpowiedzi na białoruski kryzys polityczny, tak by uniknąć zarazem niepożądanych rosyjskich działań, jak i ryzyka przekształcenia Białorusi w pole konfrontacji z Moskwą. „Aby uniknąć takiego scenariusza – argumentują – Stany Zjednoczone i Unia Europejska muszą oprzeć swoją politykę na jasnej ocenie

słabości ruchu protestacyjnego i siły Moskwy. Powinni szukać pośredniego rozwiązania, które przyspieszy odejście Łukaszenki i uzna bliskie więzi Rosji z tym krajem”. Warto przypomnieć, że Thomas Graham jest jednym z inicjatorów listu otwartego ponad setki przedstawicieli amerykańskiego establishmentu strategicznego, w którym padają propozycje, aby „zaakceptować Rosję taką, jaka ona jest” i poszukiwać z Moskwą pragmatycznych obszarów kooperacji, zwłaszcza w tych rejonach świata, które dla Stanów Zjednoczonych nie są pierwszoplanowe.

Preiherman i Graham napisali, że oceny tych analityków, którzy po sierpniowych demonstracjach w Mińsku i innych białoruskich miastach byli zdania, że dni Łukaszenki są już policzone, okazały się błędne. Reżim okazał się silniejszy, niżli sądzono, a opozycja słabsza.

BRAK SCENARIUSZA

Co ciekawe, podobne oceny zaczęły się też pojawiać „po drugiej stronie barykady”. Ihar Laszczenia, były ambasador Białorusi na Słowacji, który protestując przeciw wyborczym represjom, podał



nia, po prostu przejmować władzę. Brak zdecydowania wówczas mści się, w jego opinii, dzisiaj.

SILNE ZAPLECZE SPOŁECZNE WŁADZY

Oleg Manajew, wywodzący się z Białorusi profesor socjologii, obecnie pracujący w Stanach Zjednoczonych, jeden z założycieli Niezależnego Instytutu Badań Społeczno-Politycznych i Ekonomicznych, który przez lata zwalczany był przez władzę, w rozmowie z niemiecką stacją Deutsche Welle powiedział, co wywołało wiele szumu wśród białoruskich dziennikarzy sympatyzujących z opozycją, że jego zdaniem ostatnich wyborów prezydenckich z pewnością nie wygrał Łukaszenka, ale raczej zwyciężczynią nie była też Swiatłana Cichanouska. W jego opinii wbrew potocznemu pogładowi wieloletni białoruski prezydent cieszy się większym społecznym poparciem społecznym, niżli się do tej pory uważało. Z pewnością nie jest „Saszą 3 proc.,” jak głosiły przedwyborcze slogany konkurencyjnych kandydatów. Z podobnym w gruncie rzeczy twierdzeniem wystąpił przed kilkoma dniami Ryhor Astapenia, białoruski politolog pracujący dla brytyjskiego think tanku Chatham House, doktoryzujący się w Polsce, który napisał, że jego zespół analizujący wszelkie dostępne źródła na temat wyników białoruskich wyborów jest zdania, że Cichanouska zdobyła 9 sierpnia 52,2 proc., co jednak, zważywszy na margines błędu, nie oznacza, że można ją uznać za zwyciężczynię. Zdaniem Astapeni Łukaszenka zdobył 20,6 proc. głosów. Społeczna baza jego rządów jest oczywiście mniejsza niżli poparcie dla Cichanouskiej, ale gołym okiem widać, że nie jest to nic nieznacząca mniejszość.

Zdaniem Władimira Pastuchowa, rosyjskiego politologa i socjologa pracującego w Londynie, białoruskie wypadki dowodzą, że reżimy takie jak Łukaszenki, ale również Putina, trwają tak długo nie dlatego, że opierają się na „golej sile”, choć z niej oczywiście nie rezygnują, ale z tego powodu, iż prócz siły potrafiły również zbudować bazę społeczną dla swoich rządów. Do takich wniosków Pastuchow dochodzi, paradoksalnie, analizując powody brutalności przedstawicieli białoruskich resortów siłowych wobec współobywa-

teli po wyborach. Nie były one rezultatem, poza pojedynczymi przypadkami, zdżiczenia, ale mają raczej źródło w szczególnego rodzaju relacjach społecznych. I to o nich warto, zdaniem rosyjskiego socjologa, rozmawiać.

Białoruscy siłowicy tłumiały demonstracje, atakując, nieraz bardzo brutalnie, bezbronne kobiety, co możemy oglądać na niezliczonej liczbie filmów i nagranych relacjach, nie robili tak dlatego, że władza im nakazała, aby byli „twardzi”. Rozkazy władzy, jak dowodzi Pastuchow, można przecież wypełniać bez szczególnego zaangażowania, można też być nadgorliwym. I w Mińsku oraz innych białoruskich miastach obserwowaliśmy taką właśnie nadgorliwość. O czym ona świadczy? Ta eksplozja sadyzmu, w opinii Pastuchowa, ma swe korzenie w szczególnego rodzaju układzie społecznym, który został zbudowany w państwach przestrzeni postsowieckiej i dotyczy w podobnym stopniu Białorusi, co Rosji. Otóż do tej pory przyjęło się błędnie uważać, jak argumentuje Pastuchow, że władza Łukaszenki, ale i Putina, to system chwiejnej równowagi ścierających się o wpływy różnych grup oligarchicznych żerujących na kontrolowanych przez siebie organizmach państwowych. W sensie społecznym twór dość słaby, bez zakorzenienia w liczących się warstwach społeczeństwa, skorumpowany i chwiejny. W takich systemach manifestacyjne okazanie społecznej niezgody doprowadzało do pęknięć w elicie władzy, w której równowaga sił zawsze była dość krucha, przejścia jej części na stronę liderów protestu, co doprowadzało do nowego konsensu politycznego, obalenia starego reżimu i stabilizacji sytuacji. Takie procesy, prócz Armenii, nastąpiły też kilka razy w ostatnich latach w środkowoazjatyckim Kirgistanie, w Gruzji i na Ukrainie.

Jednak specyfika Rosji, ale również Białorusi, jest odmienna. Zbudowanego tam przez ostatnie dwa dziesięciolecia systemu polityczno-społecznego nie można opisać w kategoriach wąskiej elity, wyalienowanej ze społecznej masy, żerującej na zawłaszczonym państwie. W istocie mamy do czynienia ze znacznie szerszym społecznym zapleczem władzy, zarówno Putina, jak i Łukaszenki. Z grubsza rzecz biorąc, Putinowi i Łukaszence udało się

się do dymisji i przeszedł na stronę społeczną, w długim wystąpieniu oskarżył powołaną przez triumwirat pań Komisję Koordynacyjną, że ta nie przygotowała politycznego scenariusza przejęcia władzy. W najlepszym razie spodziewała się, że obóz proŁukaszenkowski będzie podlegał przyspieszonej dezintegracji i pozbawiony sojuszników dyktator, chcąc uniknąć losu Ceaușescu wybierze dolę Janukowycza. Ale nic takiego się nie stało, władza okazała się silniejsza i bardziej spoista, niżli to na początku sierpnia się wydawało, a alternatywnego scenariusza zabrakło.

W gruncie rzeczy podobną, choć nie wprost, diagnozę prezentuje Władimir Niaklajeu, kandydat w wyborach prezydenckich w 2010 r., pobity wówczas przez nieznaną sprawców do nieprzytomności, a następnie porwany ze szpitala, który dziś popiera Cichanouską i jest pewien, że w końcu społeczeństwo zwycięży. Jednak pytany o ocenę tego, co działo się w Mińsku kilka dni po 9 sierpnia, kiedy na ulice wyszły setki tysięcy ludzi, a siłowicy – był taki moment – zostali usunięci z ulic, mówi, że wówczas należało zajmować urzędy, rozbijać więzie-

zbudować, w sensie społecznym, inkluzywny system, który przyciągnął będące niejako „w systemie” liczące się grupy społeczne. Dlatego baza społeczna, na której może się oprzeć tyrańska czy neototalitarna – jak ją określa Pastuchow – władza, jest znacznie szersza, niż przyjęło się uważać, a z pewnością wystarczająca, aby się obronić. Z tego też powodu mitologia „milionu” rozpowszechniona w tamtejszych kręgach demokratycznej opozycji, mówiąca o tym, że jeśli na ulice wyjdzie protestować milion ludzi, to władza upadnie, jest w opinii Pastuchowa złudzeniem. Władza nie upadnie, bo będzie walczyć, nawet z bronią w ręku, o swoje interesy. A zbudowane przez nią społeczne zaplecze tylko jej tę walkę ułatwi i zagwarantuje, że to nie pokojowa rewolucja, ale uzbrojony obóz władzy odniesie końcowy sukces. Dlaczego? Z tego powodu, że w Rosji w modelu liberalnym, a na Białorusi archaicznosocjalistycznym władzy udało się zbudować system, który – z grubsza rzecz biorąc – dzieli społeczeństwo na tych korzystających z benefitów, jakie przynosi trwanie władzy Putina czy Łukaszenki będących niejako „w systemie”, i tych, którzy są poza systemem. Tych ostatnich może być znakomicie więcej niż obrońców starego porządku, ale jest ich zawsze zbyt mało, aby obalić chcący opierać się reżim.

WALKA PARTYZANCKA

Obecnie, jak twierdzą zwolennicy opozycji, na Białorusi zaczyna się „walka partyzancka”. Protestują sportowcy, aktorzy, emeryci, ludzie przestają, choć nie na masową skalę, płacić czynsze za mieszkania, aktywizują się cyberpartyzanci, lokalne, często osiedlowe czy nawet ograniczające się do jednego bloku grupy sąsiedzkie. Odbudowywana jest tkanka społeczna, zmienia się to, jak ludzie myślą, rośnie ich samoświadomość, również narodowa. Towarzyszą temu represje władz. Protestujący sportowcy, tacy jak mistrzyni świata w akrobacjach narciarskich Aleksandra Romanowska, są wyrzucani z kadry. Robotnicy prowadzący strajk włoski, jak spowolnienie rytmu w białoruskich fabrykach nazywa Swiatłana

Cichanouska, podlegają karom aresztu, są zwalniani z pracy lub pozbawiani na wiele miesięcy premii. Pacyfikowane są wolne media, pracownicy naukowcy, którzy sympatyzowali z protestami, tracą katedry. Podobne praktyki obserwuje się w szpitalach i klinikach. Prócz okazywania oczywistej woli oporu Białorusinów, ten sieciowy, bez przywództwa protest polityczny może trwać długo i długo też nie prowadzić do przełomu.

ROSJA NIE MUSI SIĘ SPIESZYĆ

Oczywiście o ile Moskwa nie dojdzie do wniosku, że zmiany w Mińsku są jej na rękę. Ale obecnie, jak uważa Preiherman, Kreml nie musi się spieszyć, kontrolując w pełni sytuację. Waler Karbałowicz, białoruski politolog, jest zdania, że państwo

Łukaszenka kontroluje sytuację wewnętrzną na Białorusi, a Kreml kontroluje Łukaszenkę. Zachód zaś udowodnił, że nie ma ani siły, ani też woli, aby rozpocząć poważniejszą rozgrywkę o przyszłość naszego sąsiada, i w gruncie rzeczy zaakceptował to, że na Białorusi decyduje Rosja

w gruncie rzeczy zrezygnowało z niektórych swoich funkcji i przekształciło się w system obrony dyktatury, o czym świadczą założone w przyszłorocznym budżecie kilkunastoprocentowe podwyżki wydatków na resorty siłowe.

Równolegle, jak pisze na stronie niezależnego białoruskiego portalu naviny.by ekspert polityczny Jegor Lebedok, Putin przechwycił kontrolę nad polityką wojskową Białorusi. Ostatnie deklaracje na temat zaplanowanych na następne 11 miesięcy regularnych, comiesięcznych manewrów z udziałem wojsk rosyjskich są niczym innym jak naśladownictwem natowskiej praktyki wojskowej

obecności rotacyjnej na wschodniej flance. Odmowa Łukaszenki kontaktowania się z liderami UE jest też niczym innym jak przekazaniem polityki zagranicznej Mińska w ręce Kremla. Zapowiedzi białoruskiego dyktatora o rezygnacji z usług litewskich i lotewskich portów, co ma być karą za wspieranie przez republikę bałtyckie białoruskiej opozycji, oznacza też, jak uważają białoruscy ekonomiści, oddanie Rosji kontroli nad białoruskimi strategicznymi strumieniami eksportu i importu. Mińsk w sferze finansowej nie ma już innej drogi wobec blokady na Zachodzie i powściągliwości Chin, jak udać się po prośbie do Moskwy.

Kreml nie tylko udziela Mińskowi kredytów, choć dozuje je niczym kropłówkę, dlatego by Łukaszence znów nie zachciało się myśleć o niezależności, lecz pomaga też ratować chwiejącą się płynność systemu finansowego sąsiada. Kiedy w bankach zaczęło brakować środków w sytuacji masowych wypłat depozytów przez firmy, rosyjski premier Mistrzostwa nakazał „udzielenie pomocy”. Rosja nie musi nawet obecnie dążyć do przejmowania co istotniejszych białoruskich przedsiębiorstw, bo – jak diagnozuje Olga Łojko z Centrum Carnegie – po pierwsze, już kontroluje znaczącą część białoruskiej gospodarki (np. 25 proc. systemu bankowego), a po drugie, „głębsze wejście” może być kosztowne i ryzykowne, bo tamtejsze aktywa, zwłaszcza wobec perspektywy sankcji, mogą się okazać „toksyczne”. Trzeba zatem do ich „polykania” dobrze się przygotować, aby nie okazały się niestrawnymi.

Innymi słowy, Moskwa nie chce ani nie musi się spieszyć. Łukaszenka kontroluje sytuację wewnętrzną, a Kreml kontroluje Łukaszenkę. Zachód już udowodnił, że nie ma ani siły ani też woli, aby rozpocząć poważniejszą rozgrywkę o przyszłość naszego sąsiada i w gruncie rzeczy zaakceptował to, że na Białorusi decyduje Rosja. Jak piszą Preiherman i Graham, „Białoruś po Łukaszence, blisko związana z Moskwą, ale z lepszymi relacjami z Zachodem, pozostaje możliwym średniookresowym rezultatem obecnego kryzysu”.

Czy to chcieliśmy osiągnąć, wspierając białoruskie protesty?

Musimy to powstrzymać

Rozmowa z **Anną Zalewską**, europosłanką grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów

Jest pani członkiem komisji ochrony środowiska naturalnego w Parlamencie Europejskim. Polska ma w kwestii podstawowych założeń porozumienia klimatycznego, czyli redukcji emisji dwutlenku węgla, utrudnione zadanie, bo nasza rodzima gospodarka oparta jest właśnie na węglu.

Anna Zalewska: Jest bardzo trudno. Komisja Europejska i Parlament Europejski są „zielone”. Jest w nich bardzo dużo przedstawicieli partii Zielonych. Nie jest w porządku w stosunku do Rady Europejskiej, że prawo europejskie tworzone w parlamencie zwyczajnie nie uwzględnia jej ustaleń. Jak np. zapisanej w grudniu 2019 r. i powtórzonej w czerwcu 2020 r. deklaracji, że mówimy o solidarności w dążeniu do zeroemisyjności do 2050 r. na poziomie całej UE.

Uda się to osiągnąć w Polsce?

Myślę, że tak. Pamiętajmy, że nie będzie już energetyki opartej wyłącznie na węglu, na gazie, ale powinny one być uwzględnione w europejskim miksie energetycznym. Po prostu musimy się nauczyć pochłaniać m.in. dwutlenek węgla, także metan, podtlenek azotu. To jest jednak bardzo niebezpieczne dla rolnictwa. Rolnicy, według zapisów tego nowego prawa, mają być odpowiedzialni za policzenie, ile gazów cieplarnianych emitują. I udowodnić, w jaki sposób je pochłoną. Oczywiście w prawie klimatycznym mamy już napisane, że uwaga: nie ma solidarności, a jest odpowiedzialność każdego państwa. To też jest bardzo niebezpieczne. Dlatego że kraje, które mają miksy energetyczne oparte na węglu, będą musiały w którymś momencie same odpowiadać za wszystko, co się dzieje w Europie. Nie ma wskazanych pieniędzy na pomoc.

Czy nie można postawić UE warunku: owszem, spełnimy wymagania zeroemisyjności do 2050 r., ale pomóżcie nam, także finansowo, to zrobić?

Uważam, że my musimy być w tej sprawie bezwzględni. Nie jesteśmy w stanie tego zrobić sami. I nie tylko my. Problem będzie miała cała Europa. To zagrożenie dla gospodarki, dla konkurencyjności, dla rolnictwa. Proszę zauważyć: we Francji psują się reaktory, elektrownie są w remoncie. Uruchomiono kopalnie. Muszą mieć równowagę dla energii odnawialnej. Energia odnawialna, wiatraki, płyty fotowoltaiczne nie istnieją same. Muszą mieć kręgosłup, który jest stabilny. Jak przestanie wiatr wiać, nie przestaniemy używać lodówek czy korzystać z żelazka.

Polska powinna postawić weto do tak daleko idących rozwiązań?

Tak! Bardzo dużo już zrobiliśmy, mamy plany, ale przy takim tempie i obostrzeniach finansowych, bo uwaga – do 2025 r.



możemy jeszcze w jakikolwiek sposób wesprzeć to, co kopalne, łącznie z gazem. Później, po 2025 r., KE uzurpuje sobie prawo przeglądania naszych budżetów narodowych pod kątem udzielania pomocy firmom energetycznym. W raporcie, który pojawił się po głosowaniu komisji środowiska, wyraźnie jest napisane, że wzrośnie bezrobocie i ubóstwo energetyczne, ceny energii, wody, odpadów. Nie ma żadnego scenariusza, jak temu zaradzić.

Ceny energii już idą mocno w górę. Będzie jeszcze drożej?

Mamy ambitny cel zredukować do 55 proc. emisję dwutlenku węgla do 2030 r. A co to jest za informacja dla firm energetycznych? Że prawdopodobnie zbankrutują. Nie zdążą się przekształcić. Od 2014 r. mamy uwolnione ceny opłat za emisję dwutlenku węgla. Podczas pandemii, kiedy wszyscy siedzieliśmy w domach, nikt nigdzie nie pracował, nie jeździł samochodem, ceny wzrosły dwukrotnie. Każda firma, która zaplanowała sobie budżet na 2020 r., będzie musiała dwukrotnie więcej zapłacić za emisję dwutlenku węgla. To bardzo niebezpieczny mechanizm, który należałoby na czas pandemii zawiesić. W tej chwili to jest 30 euro za tonę dwutlenku węgla. Do 2030 r. może to być 70 euro. To haracz, którego firmy nie są w stanie zapłacić.

Czy Polska ma taką moc sprawczą, by to powstrzymać albo chociaż zawiesić?

Wiele na to wskazuje, że prawo klimatyczne zostanie przegłosowane w tym złym kształcie, o którym mówię. Przed nami jeszcze prace europarlamentu, KE i Rady Europejskiej. Tam będą trwały negocjacje. To oczywiście państwa członkowskie odpowiadają za swoje budżety, za obywateli. I tutaj widzę nadzieję, że uda się to zatrzymać. To duża odpowiedzialność rządu Mateusza Morawieckiego. Premier ma umiejętności i kompetencje do tego, żeby negocjować. Tutaj trzeba być bezwzględny.

Rozmawiała E.H.

Związek Ormian z Rosją to wybór mniejszego zła

Armenia współpracuje z jednym z zaborców, jak Piłsudski z Austro-Węgrami – o dramatycznej historii Ormian, ich przywiązaniu do polskości, o silnej tożsamości diaspory i woli narodowego przetrwania opowiada **ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski**, duchowny obrządku ormiańskiego i rzymskiego, w rozmowie z Jakubem Augustynem Maciejewskim

Dlaczego relacje między Armenią a Azerbejdżanem są tak napięte?

Tadeusz Isakowicz-Zaleski:

Konflikt ormiańsko-azerski trwa od ponad 100 lat i trzeba przy tym wspomnieć, że obecne terytorium Armenii to tylko skrawek dawnej Armenii Wielkiej, której ludność została wymordowana przez Turków w 1915 r. Po I wojnie światowej pogromy Ormian odbywały się m.in. na terenie Azerbejdżanu, o czym wspominał nawet Stefan Żeromski na kartach „Przedwiośnia”. Różne fazy tego samego konfliktu trwają do dzisiaj. Jeszcze w czasach sowieckich, w 1988 r., doszło do pogromów Ormian w Baku i Sumgaicie, więc po uzyskaniu niepodległości przez oba kraje w 1991 r. podłoże konfliktów etnicznych było już gorące.

Sytuacji nie ułatwiał proces przestawiania granic przez komunistów, którym na tych antagonizmach etnicznych i klanowych zależało.

I w ten sposób ormiański Górski Karabach oficjalnie pozostał w Azerbejdżanie, ale w 1992 r. się zbuntował i po rozejmie z 1994 r. został państwem separatystycznym, z kolei azerski region Nachiczewan odcięty jest od Azerbejdżanu terytorium ormiańskim. Ta mozaika narodowościowo-wyznaniowo-etniczna jako spadek po poprzednich wiekach jest jeszcze bardziej pomieszana przez sowiecką, a potem rosyjską zasadę dziel i rządź.

Z jednej strony nasza sympatia leży po stronie bliskich nam kulturowo Ormian, z drugiej – Armenia jest sojusznikiem Rosji, nie należy do GUAM, a Azerbejdżan jest popierany przez państwo NATO – Turcję. Politycznie powinniśmy chyba kibicować Baku?

Rozumiem te obawy, ale przestrzegalbym przed takim prostym podziałem na konflikt Azerbejdżanu wspieranego przez państwo NATO – Turcję przeciw popieranej przez Armenię Rosji. Z jednej strony Turcja ma konflikt z Grecją (członkiem NATO i UE) czy Cyprzem (członkiem UE), a z drugiej – Armenia nie jest prorosyjska. Związek Ormian z Rosją polega nie na sympatii, ale na konieczności wybrania mniejszego zła, bo kraj utracił niepodległość po podboju przez Turków seldżuckich w XI w., potem mieliśmy coś na podobieństwo rozbiórów Rzeczypospolitej, czyli podział na tereny tureckie, rosyjskie i perskie (irańskie), zwieńczone ludobójstwem w 1915 r. I kontynuując analogię do historii Polski, wybór Rosji jako oparcia na Kaukazie przypomina wybór Piłsudskiego tworzącego Legiony Polskie przy boku Austro-Węgier, które były zaborcą najłagodniejszym, a dla Ormian tacy okazali się Rosjanie.

Czyli nie ma innego wyjścia dla Armenii jak poleganie na Moskwie?

Dla Ormian największym zagrożeniem jest świat muzułmański, czyli Turcja i Azerbejdżan. Granica or-

miańsko-turecka jest dziś zamknięta, a oba kraje nie mają nawet własnych ambasad. Dodając do tego konflikt z Baku, łatwo można zobaczyć, że jedyne otwarte granice Ormianie mają z Gruzją i Iranem, są więc wciśnięci wśród nieżyczliwych sąsiadów, co akurat Polacy powinni dobrze rozumieć.

Ormianie popierają jednak separatystyczne państwo, które formalnie należy do Azerbejdżanu – Górski Karabach, który sam siebie uznaje za niepodległy. Ta sytuacja niezdrowo przypomina inne kraje nieuznawane – Donbas, Naddniestrze, Abchazję – które koczują się z destabilizatorami polityki sąsiadów.

Ormianie powołują się na kazus Kosowa. Przecież po rozpadzie Jugosławii na sześć republik zrobiono wyjątek i jedno nowe, separatystyczne państwo uznano na Zachodzie (m.in. przez USA i Polskę) za niepodległe. Nie można się dziwić, że Rumunia czy Hiszpania nie uznały Kosowa, bo mają analogiczne problemy z enklawami mniejszości narodowej: Siedmiogrodem czy Katalonią.

Znowu powraca obawa przed rosyjską retoryką – w sprawie Krymu Moskwa także powołuje się na przykład Kosowa.

Powstanie w 2008 r. Kosowa, nowego państwa europejskiego, dało pretekst do tworzenia nowych krajów i przyniosło nadzieję takim narodom jak Ormianie, którzy liczą na wyrwa-



nie Górskiego Karabachu z Azerbejdżanu. Dlaczego muzułmańska enklawa może być niepodległym państwem na Bałkanach, a na Zakaukaziu chrześcijańska enklawa nie może być uznana? Oczywiście, że w tej sytuacji swoje pieczenie próbują upiec Rosja i Turcja, ale samym Ormianom walczącym o przetrwanie i o niepodległość nie można się dziwić.

Zwłaszcza że Armenia się zmienia – dziś to wygląda na starcie chrześcijańskiego demokratycznego kraju z dyktaturą postsowieckich muzułmanów z Azerbejdżanu.

Rzeczywiście w ciągu 30 lat Armenia zrobiła bardzo dużo, by odejść od sowieckiej spuścizny. Gdyby Zachód opowiedział się po stronie Armenii, to ona sama mogłaby zerwać z Rosją, ale na tę chwilę Ormianie mają uzasadniony żal, że w czasie ludobójstwa i pogromów, a potem podczas domagania się prawdy, milczano na temat Armenii i spychano ją w izolację oraz w objęcia Rosji.

Były jednak proarmenjskie gesty w Europie.

Człowiekiem, który dokonał przełomu, był papież Jan Paweł II, który w 2001 r. udał się do Armenii. Co więcej, jako głowa państwa watykańskiego uznał ludobójstwo Ormian i podjął próbę ściągnięcia Armenii w orbitę europejską. Podczas pielgrzymki Ojca Świętego w 2001 r., z okazji 1700 lat chrześcijaństwa, do kraju przyjechali Ormianie z całego świata. Co ciekawe, nie mogli się między sobą porozumieć, bo mówili przeróżnymi językami, ale jak przyszło odmówić „Ojcze nasz” po ormiańsku, to się okazało, że wszyscy to potrafią – nawet niewierzący. Wtedy też po łacinie „Ave Maria” zaśpiewał Charles Aznavour, wybitny, francuski muzyk pochodzenia ormiańskiego. Jedność, jaką wtedy czuliśmy, była niesamowita. Tą drogą zapraszania Armenii na Zachód idzie papież Franciszek. Kościół ormiański jest kościołem narodowym, apostołskim, który kulturowo i religijnie jest częścią wspólnoty chrześcijan i miał wkład w kulturę Zachodu, a nie Azji.

Skąd właściwie tak silna tożsamość, która potrafi przetrwać setki lat poza własnym krajem? Także dzisiaj wi-

dać mobilizację obywateli Armenii i ormiańskiej diaspory na całym świecie, która wspiera swój kraj wpłatami i ochotnikami do armii.

Tożsamość jest tak silna, że gdy Sowietci zajęli Armenię, to część diaspory posłuchała wezwania, by wracać na ojczyźne ziemie, by kraj nie dał się wynarodowić. To chyba jedyny przypadek takich powrotów do totalitarnego kraju. Taką mamy historię. Armenia była pierwszym państwem na świecie, które przyjęło chrześcijaństwo, niestety później zerwało łączność z Rzymem, stało się kościołem narodowym. Kraj był ustawicznie najeżdżany przez Persów, Bizantyjczyków, Arabów, Turków seldżuckich, potem osmańskich, w końcu Rosjan. Silna tożsamość narodowa ukształtowała się w kościele ormiańskim i w toku walk o przetrwanie. Trzy czwarte Ormian tworzy diaspore, której część trafiła także do Polski. Od 700 lat mamy dzięki królowi Kazimierzowi Wielkiemu możliwość realizowania się jako mniejszość narodowa, ale dodajmy, że mniejszość lojalna Polsce.

Ale jak to jest, że Ormianie nie roztopili się w narodach państw gospodarzy. Żydzi mieli swoją odrębność religijną, językową, obyczajową, tymczasem prawosławni, a więc chrześcijańscy kupcy z Kaukazu, mieli tysiące okazji i korzyści, by stać się po prostu Rosjanami czy Polakami.

Przytoczmy słowa abp. Józefa Teodorowicza, posła i senatora II RP, członka przedwojennej endecji, który powtarzał Ormianom, że mają dwie ojczyzny: Armenię i Polskę. Przy czym sam tej pierwszej nigdy nie odwiedził, bo najpierw była turecka, a potem bolszewicka, ale jako hierarcha zachował właśnie ten nurt rozwoju diaspory wspierania państwa, w którym się żyje, przy zachowaniu tradycyjnej tożsamości. Ormiańska diaspora w Polsce jest o tyle specyficzna, że przyjęła unię z Kościołem katolickim. Doszło do tego, że Lwów był siedzibą trzech katolickich metropolii: rzymskokatolickiej, grekokatolickiej i ormiańskokatolickiej. Kiedy byłem w Armenii, pytano mnie, czy nie zostanę tam na stałe, ale ja się uśmiechałem, że nie znam nawet języka – moi przodkowie przybyli do Polski z Siedmiogrodu 400 lat temu i choć przez pięć pokoleń zachowali język przodków, to dziś już niewiele nam z tego pozostało.

Pytać o powrót do kraju czło- wieka, którego rodzina opuściła ojczyznę pół tysiąca lat temu?

A mnie to pytanie właśnie nie dziwiło, to jest specyfika naszej diaspory. Dowodem na zaangażowanie w życie wspólnoty, w której się żyje, przy zachowaniu odrębności są takie postacie jak Grzegorz Piramowicz, sekretarz Komisji Edukacji Narodowej, Teodor Axentowicz, wybitny malarz polski, czy mjr Walerian Tumanowicz, żołnierz wyklęty zamordowany w 1947 r. przez Sowieców.

Jak diaspora w Polsce wygląda dzisiaj?

Ostatnio oglądałem manifestację Ormian Warszawy i sam się zdziwiłem, że blisko 500 osób brało w niej

udział. To jest ta nowa emigracja, stąd bardziej współczesny rodzaj łączności z ojczyzną. Ormianie w Polsce są podzieleni jednak między dwa wyznania. Katolicy, tacy jak moja rodzina, są częścią starej emigracji, liczącej nawet setki lat. Jest też nowa emigracja, czyli wyznawcy Kościoła apostolskiego. Nie tylko nie ma konfliktu między starymi a nowymi, lecz więcej – ci pierwsi są pomostem do polskości dla tych drugich. Trzeba też pamiętać, że Ormianie, przyjeżdżając do Polski, nie zawsze mają obywatelstwo Armenii, bo często przybywają tu z Ukrainy, Rosji czy nawet Uzbekistanu, ale znam także np. rodziny z Syrii.

Kiedy byłem w Armenii, pytano mnie, czy nie zostanę tam na stałe, ale ja się uśmiechałem, że nie znam nawet języka – moi przodkowie przybyli do Polski z Siedmiogrodu 400 lat temu i choć przez pięć pokoleń zachowali język przodków, to dziś już niewiele nam z tego pozostało

Ostatnio premier Paszynian, mobilizując społeczeństwo do oporu, przypomniał ludobójstwo z 1915 r. Czy świadomość narodowa w Armenii tak żywo reaguje na wydarzenia sprzed 100 lat? Mam wrażenie, że nawet Katyń w Polsce nie wywołuje już takich emocji.

Tak jak Żydzi mają pamięć o Holokauście, tak pamięć o ludobójstwie, które było ćwierć wieku wcześniej, mobilizuje w dniu pamięci ofiar (24 kwietnia) cały naród rozsiany po świecie. W wielu państwach to właśnie mniejszość ormiańska potrafiła zachęcić władze do uznania wydarzeń z 1915 r.

za ludobójstwo. W Polsce w 2005 r. na wniosek trzech posłów ówczesnego PiS – Zbigniewa Ziobry, Michała Ujazdowskiego i Marka Jurka – Sejm przez aklamację przyjął uchwałę potępiającą ludobójstwo Ormian. Formalna kontra ze strony Turcji tego nie powstrzymała i Polska stała się jednym z wielu krajów, które uczciły w ten sposób racje narodu ormiańskiego. Na terenie Polski postawiliśmy już kilkanaście krzyży ormiańskich, które mają tym większe znaczenie, że przecież diaspora nie ma swoich kościołów w obcych krajach. Pierwszy krzyż ormiański, z piaskowca, powstał przy kościele św. Mikołaja w Krakowie w 2004 r.

Genealogia księdza także jest naturalna dla ormiańskich rodów, wkraczających do polskiej historii.

Po przybyciu około 1600 r. na ziemię Rzeczypospolitej moi przodkowie osiedlili się na Pokuciu, czyli pograniczu polsko-moldawskim. Zajmując się handlem, osiedlali się po dwóch stronach rzeki Czereemosz i tworzyli faktorie kupieckie, później się asymilowali. Wiem, że jeden z tych moich przodków miał na imię Isak, czyli Izaak, i stąd jest nazwisko Isakowicz. Dodam, że Ormianie, tak jak Żydzi czy Tata- rzy, używali imion starotestamentowych, takich jak Izaak, Samuel, Dawid itd., co dodatkowo ich odróżniało od pozostałych mniejszości. Posiadali też odmienny alfabet, choć w toku zmian historycznych

stawał się on dla diaspory coraz trudniejszy i coraz mniej potrzebny. Jeden z moich prapradziadków był ostatnim w rodzinie, który znał język ormiański, natomiast już młodsze pokolenia mówiły po polsku, choć uczestniczyły w nabożeństwach w liturgii ormiańskiej, w której używano języka staroormiańskiego. Mój dziadek był więźniem Mauthausen-Gusen tylko dlatego, że był polskim urzędnikiem, jego brat stryjeczny został zamordowany jako polski nauczyciel w Stanisławowie przez Niemców w 1941 r. Polskość, ormiańskość, sam pan widzi – to się bardzo przeplata.

K

ULTURY

*Na specjalne zamówienie
Polskiej Opery Królewskiej
Krzesimir Dębski stworzył
operę pt. „Hiob”, inspirowaną
dramatem Karola Wojtyły.
Koncertowe prawykonanie
dzieła odbędzie się
16 października
w warszawskiej
Świątyni
Opatrzności
Bożej*

Hiob w czasie zarazy

**Z Krzesimirem Dębskim,
kompozytorem i dyrygentem,
rozmawia
Jolanta Gajda-Zadworna**

Jak zareagował pan na propozycję Polskiej Opery Królewskiej (POK), by na podstawie młodzieńczego dramatu Karola Wojtyły pt. „Hiob” napisać libretto i skomponować do niego muzykę?

Krzesimir Dębski: Trochę się zdziwiłem, kiedy dyrektor POK – śp. Ryszard Peryt – właśnie do mnie się z tym zwrócił. Chociaż – jak się zastanowić – do roli kompozytora operowego przygotowywałem się już dość długo, pracując m.in. przy filmach takich jak „Ogniem i mieczem” czy „1920 Bitwa Warszawska”. Z monumentalnymi historiami i muzyką rozbudowaną o chóry, z solistami i wielkim epickim rozmachem.

Pisałem też formy mniejsze (piosenki) i lżejsze (m.in. musicale, zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci). Sporo się tego nazbierało, jednak – nim rok temu dyr. Peryt złożył oficjalne zamówienie – wysłuchał też moich symfonii do tekstów Sofoklesa (które sam adaptowałem); również z chórami i potężnym aparatem wykonawczym.

Mówi pan, że w kinie minął czas kompozytorów orkiestrowych. Epicką muzykę wyparły z ekranów piosenki i wszechobecna elektronika. Czy w operze jest jeszcze miejsce na muzyczny rozmach? Nawet gdy scena jest tak kameralna jak w Łazienkach Królewskich?

W Teatrze Stanisławowskim od czasu jego otwarcia [w 1788 r. – przyp. red.] grane były i opery barokowe, i nawet klasycystyczne, ale z dzisiejszej perspektywy patrząc, na głównej scenie POK niewiele jest przestrzeni. Przyступując do pracy nad „Hiobem”, dowiadywałem się, ile instrumentów zmieści się w orkiestrowym kanale i jak duży chór może stanąć obok śpiewaków. Pisałem muzykę, mając to wszystko na uwadze. Nie przypuszczałem, jakie obostrzenia, m.in. w składzie muzycznym czy liczbie widzów, wymusi wirus.



Fot. Anna Abisko / East News

Czas pandemii sprawił, że zamiast w historycznej dekoracji Teatru Stanisławowskiego prawykonanie opery „Hiob” odbędzie się w ogromnej Świątyni Opatrzności Bożej. To dobre miejsce?

W tak dużym obiekcie 24-osobowa orkiestra i chór – czyli największy aparat wykonawczy, jakiego mogłem użyć w Teatrze Stanisławowskim – zmieści się znakomicie. Oczywiście nie będzie wystawienia scenicznego, w kostiumach. Zastąpi je wersja koncertowa.

Karol Wojtyła nazywał „Hioba” dramatem o cierpieniu. „Greckim formą, chrześcijańskim duchem i odwieczną treścią”. Jak pan odczytywał ten tekst?

Jestem już w wieku hiobowym, więc trochę w życiu przeżyłem. W historii mojej rodziny, szczególnie w pierwszej połowie minionego wieku, nie brakowało dramatycznych, a nawet tragicznych zdarzeń. Mam nadzieję, że wpisane w los Hioba uniwersalne przesłanie będzie dla naszych słuchaczy czytelne. Każdy prędzej czy póź-

niej doświadcza cierpienia. Niektórzy mierzą się z nim wcześniej, na różnych etapach swojego życia, inni dopiero przy jego nieuchronnym końcu. Ale jest też w tej postaci, w tragizmie jej losu, element nadziei. Cierpienia Hioba zostają wynagrodzone. Do jego życia wracają pomyślność i szczęście.

Historię Hioba, tragicznie doświadczanego, a mimo to niezłomnego w wierze, przedstawił bardzo młody człowiek.

Miał 20 lat, ale los już go mocno doświadczył. Nie zapominajmy, że jego dzieciństwo przypadło na czasy, w których długo wygaszały skutki I wojny światowej. Do tego doszła osobista tragedia – śmierć matki, potem ojca. I kolejna wojna. W roku 1940, gdy pisał „Hioba”, trwał już terror w Krakowie... Musiał być bardzo dotknięty nieszczęściami.

Jak pan pracował nad adaptacją tekstu Karola Wojtyły?

Ogromnie przydatne okazały się notatki i sugestie śp. Ryszarda Peryta,



który kilkukrotnie tworzył montaż poetycki na podstawie „Hioba”, wystawiając je potem w kościołach i filharmoniach, ale niezbędna była też selekcja materiału. Oryginalny tekst został napisany dla teatru rapsodycznego. W jego przedstawieniach nie było typowej akcji scenicznej, miały one charakter medytacyjno-recytatorski. Tymczasem w muzyce liczy się rytm, tempo, odpowiednia narracja. Dokonałem więc sporych skrótów. Jednocześnie ośmieliłem się wprowadzić dodatkową postać.

Kogo?

Zakamuflowanego szatana, żeby zło było wyraźniejsze. Opera dopowiada treści. Poprzez strój, scenografię określa, kto jest kim. Na niewielkiej scenie Teatru Stanisławowskiego nie ma szansy na spektakularne akcje kostiumowe. W koncertowym wykonaniu podpowiedzi scenicznej tym bardziej nie będzie. Dlatego pojawił się Strą-

cony. Wieloznaczne imię, bo zło ma wiele postaci.

Co znaczy, że na potrzeby operowego „Hioba” stworzył pan swój „idiom biblijny”?

To wyobrażenie o muzyce czasów biblijnych. Ale pokusiłem się też o syntezę tego, co wiem o muzyce dawnej. Wprowadziłem odniesienia do muzyki średniowiecznej, renesansowej czy barokowej. Takie fragmenty zde-rzyłem ze współczesną warstwą, m.in. rytmiczną i harmoniczną. Siegnąłem po różnorodne instrumentarium, by historyczne brzmienia, np. lutni czy teorbanu, móc połączyć z elektroniką. Aż się boję, czy nie za dużo tego wszystkiego jest.

Nie spytał pan o to swojego syna Radzimira?

Nie. Tworzymy odseparowani od siebie, niezależni od wzajemnych ocen, bo w trakcie pracy niczemu one nie

służą. Chcę go zaprosić na którąś z ostatnich prób. Zobaczymy, co powie, ale niczego nie uzależniam od tej opinii. Ja też, słysząc czasem, co on robi, nie do końca to rozumiem, ale szanuję.

Czas pandemii wpłynął na zmianę miejsca prapremierowego wykonania „Hioba”, a czy dopisał jakiś kontekst do tego utworu?

To, co się teraz wokół nas dzieje, wpływa na zmianę optyki, weryfikuje dotychczasowe priorytety. Jeśli wirus będzie się rozprzestrzeniał w takim tempie, to wiele spraw, które jeszcze wczoraj wydawały się kluczowe i budziły ogromne emocje, może stracić swoją wagę. Niezależnie od naszych oczekiwań i planów.

Koncert z warszawskiej
Świątyni Opatrzności Bożej będzie
transmitowany w TVP Kultura.
Szczegóły na www.operakrolewska.pl

Chłodna noblistka z Long Island

Mówiąc półzartem: w kilku znajomych domach sięga się pewnie w tych dniach po „Dzkie brzoskwinie”, świetny skład inąd zbiór przekładów poetek amerykańskich, zredagowany przez Julię Hartwig. Wydana przez Sic! przed 17 laty antologia zdążyła już trafić na wyższe półki i pokryć się delikatnym, zdmuchiwanym teraz kożuskiem kurzu. Owszem sięgało się po nią nieraz, żeby sprawdzić coś u tych najbardziej znanych: Bishop, Levertov, Hirshfield (dwie ostatnie poetki rozpoznawalność w Polsce zawdzięczają w znacznej mierze Miłoszowi). Ale Louise Glück? No cóż, teraz przyjdzie się wczytywać w zamieszczone tam trzy jej wiersze, zanim pojawią się pierwsze przekłady laureatki tegorocznej Nagrody Nobla w dziedzinie literatury.

Kto ciekaw biografii i stylu zachowań, bez trudu pewnie wpisze Glück w jedną z możliwych formuł „amerykańskiej poetki”: ciemnowłosa, szczupła, napięta jak struna, wychowana w blokowiskach Long Island, ciekawa natury, z rodowodem środkowoeuropejskich (węgierskich, rosyjskich, żydowskich) przodków, większość dorosłego życia zawodowego przeżyła w kręgu

college'ów i uczelni Nowej Anglii (Goddard College w Vermont, Columbia, Yale), pisząc, tłumacząc, wykładając poezję.

Nielatwo ją osadzić w „nurtach”, choć w chłodzie i powściągliwości jej tonu, a jednocześnie gotowości do wyznań, żalu w obliczu straty, ktoś doszuka się pokrewieństw z Johnem Berrymanem, ktoś z Elizabeth Bishop. Mam nadzieję, że nikt nie zrymuje jej (sama Glück pisze białym wierszem) z Szymborską. To zupełnie inny ton, całkiem serio, choć i Glück sporo gra z mitologią. W jednym z kilku wierszy poświęconych Persefonie, z tomiku „Averno” (2006), Hades porywacz buduje dla niej replikę świata, z początku zalanego słońcem:
*Pomyślał, że z czasem wprowadzi noc,
najpierw jako cienie chwiejących się na
wietrze liści,
następnie księżyc. Potem gwiazdy. Potem noc
bez księżyca i gwiazd.*

Czekam na dużo polskich przekładów. Kończąc półzartem: a pomyśleć, że mogła to być notowana wysoko na sztokholmskiej giełdzie, od lat podgrzewająca lęk przed „dyktaturą patriarchy” Margaret Atwood! To dobrze, że poeci i poetki zwykle nie wykuwają sloganów, lecz mówią półgłosem.

Wojciech Stanisławski



Wojna nie jest tu grzeczna

Dobrze, że powstają takie seriale jak „Ludzie i bogowie” – o egzekutorach, którzy na zlecenie Armii Krajowej wykonywali wyroki śmierci. Miał go robić dla TVP1 kto inny, skończyło się na Bodo Koksie, który nawet mnie zdziwił jako wykonawca tego tematu. Był wszak charakterystycznym specem od kina offowego, a to typowa produkcja, przynajmniej w założeniu popularna, mająca przyciągnąć jak najszerze kręgi widzów.

Kox zgodził na się na bycie twarzą projektu, o którym sam mówi, że jest rzetelnym oddaniem racji Polaków w okupacyjnym starciu z Niemcami. Myślę, że przy przesycie kinem wojennym, a może historycznym w ogóle, wciąż jest zapotrzebowanie na opowieść o mniej znanych epizodach ostatniej wojny. A choć wyroki śmierci „w imieniu Polski podziemnej” pojawiały się na ekranie, specyfika tej działalności i związanych z nią dylematów, także moralnych, pozostawała gdzieś na marginesie.

Także dlatego, że trzeba było choć odrobinę wyjść ze schematu szlachetnych, i tylko szlachetnych, konspiratorów. Egzekutorzy musieli być brutalni, mogli się pomylić. Mylić mogły się także podziemne sądy wskazujące skazanych. Kox oparł historię na prawdziwej grupie o kryptonimie Wapiennik (w serialu – Pazur). Narazie nie doszliśmy do przypadków najbardziej wątpliwych. Ale zasadniczy motyw jest motywem zemsty – Łukaszowi Adamskiemu skojarzyło się to z kinem Tarantino. „Dager” morduje Niemców na własną rękę. O mało nie zostaje za to zlikwidowany. Ale „Onyks” pomaga mu zyskać ostatnią szansę, właśnie w roli prawnie umocowanego egzekutora.

Oglądamy galerię szujpodejmujących współpracę z Niemcami i próbujących się obłowić. I to jest już pewna nowość, bo temu zasadniczo poświęcona jest fabuła. Raz są to drobne cwaniaczki z kresowym akcentem, ale rzekomy pułkownik „Kuzyn”, grany przez majestatem Mariusza Bonaśzewskiego, kreuje na swój użytek całą fałszywą podziemną organizację. Wojna nie jest tu grzeczna, co zbliża

nas do prawdy, choć po czwartym odcinku wciąż mam wrażenie, że autorzy scenariusza – zmarły przed emisją Krzysztof Węglarz i Wenanty Nosul – najstraszniejszych rzeczy nam oszczędzają.

Okupacyjna Warszawa wydaje mi się prawdziwsza niż teatralne dekoracje w „Czasie honoru”. Chociaż zasadniczych przewartościować nie oczekujemy – zresztą słusznie. System stworzony przez Niemców był systemem ustawicznej opresji, gdzie każdy Polak wychodzący rano do pracy żegnał się z rodziną na zawsze. Był też systemem ustawicznych upokorzeń. To jest oddane. Bohaterowie mijają riksą grupę Polaków postawionych przez okupantów pod ścianą. Sami uchodzą z życiem, ale tamtych nieszczęśników mijamy wraz kamerą i nawet nie poznajemy ich losu. Bo to była codzienność.

Mankamenty? Kox powierzył główne role mało znanym aktorom: Dawidowi Dziarkowskiemu („Dager”) i Jackowi Knapowi („Onyks”). Znani występują w rolach mniejszych, czasem epizodach (kapitałny Lesław Żurek jako Igo Sym czy Sebastian Stankiewicz jako szmalcownik). To dobry zabieg, a Dziarkowski i Knap są naturalni. Trochę mi jednak wciąż



brak motywu do zainteresowania ich losem – to była akurat mocna strona naiwnego „Czasu honoru”. Oni się na razie nie zmieniają. Epizody z ich życia prywatnego są standardowe.

Skądinąd tu także mamy sceny mało prawdopodobne, jak akcja „Dagera” na Pawiaku. Nie znam dziejów Wapiennika, więc może się myłę. Możliwe za to, że ciąg dalszy – to 13 odcinków – podważy moje poczucie niedosytu. Bo oglądać będę dalej, mimo wszystko z zaciekawieniem.

Piotr Zaremba



Gwarancja spłaty limitów faktoringowych BGK

Wystawiasz faktury i obawiasz się, że kontrahent może spóźnić się z zapłatą? Zależy Ci, by zapłacić za fakturę przed terminem płatności? Bank Gospodarstwa Krajowego wie, jak ważne dla funkcjonowania firm jest terminowe otrzymywanie należności, dlatego teraz pakiet pomocy BGK rozszerza się o ofertę gwarancji, które ułatwią przedsiębiorcom otrzymywanie limitów faktoringowych w bankach i firmach faktoringowych. Unikatowe w skali europejskiej **gwarancje spłaty limitów faktoringowych BGK**, zabezpieczając nawet do 80% wartości przyznanego limitu, pozwolą firmom utrzymać płynność finansową w czasach pandemii. Rozwiązanie działa w ramach **Tarczy Antykryzysowej**.

W geście przestrogi

„Zatrute źródło” to tytuł nowej instalacji uznanego polskiego artysty Jerzego Kaliny, ustawionej na dziedzińcu Muzeum Narodowego w Warszawie. Instalacja, w której figura Jana Pawła II trzyma kamień nad czerwoną wodą, wzbudziła wielkie emocje

Z Jerzym Kaliną rozmawia Goran Andrijanić

Pana instalacja wywołała bardzo mocne reakcje. Ale sztuka ma przecież taki cel.

Jerzy Kalina: Nie ma sztuki bez reakcji. Sztuka istnieje dopiero wtedy, kiedy jest kontakt z obiektem sztuki. Kiedy muzeum jest zamknięte, powieszonych tam obrazów zwyczajnie nie ma. One dopiero wtedy są, gdy pojawiają się ludzie. Wtedy dochodzi do interakcji i wymiany energii. To proces, który jest warunkiem, aby nazwać go sztuką.

Dlatego najgorszą rzeczą dla artysty jest brak reakcji i obojętność. Dla mnie sztuka bez emocji nie istnieje. Wtedy jest to sztuka conceptualna. Jest zresztą taki kierunek w sztuce, kiedy dzieło nie powstaje. Powstaje tylko idea.

Najgorszy stan dla mnie to obojętność na to, co robię. Coś mówię, a nikt mnie nie słucha. Tu są moje przemyślenia, emocje. Pewien profesor napisał, że Kalina ma sklerozę, bo robi swoje prace w reakcji na dzieło, które powstało 20 lat temu...

Chodzi oczywiście o „La nona ora” Maurizia Cattelana, dzieło, które było wystawione w Zachęcie 20 lat temu. O figurę Jana Pawła II przygniecioną meteorytem.

Tak. Znam artystów, którzy nawiązują do sztuki Egiptu czy Etrusków, Indian czy Aborygenów, a więc cofają się tak daleko, lecz jednocześnie idą

do przodu. To jest prowadzenie dialogu z historią swoją, ale także innych, z wrażliwością innych ludzi, którzy sformułowali myśli o tym, co jest dla nich ważne teraz, ale co było również ważne kiedyś. Nie ma zamkniętych książek. Te źle napisane też są świadectwem minionego czasu. Tak samo jest z pracami plastycznymi z wszystkich dziedzin.

Oczywiście są takie, które się wypiętrzają, osiągają ten najwyższy poziom odkrycia tajemnicy. Dlatego ja uważam kamień za taką zamkniętą ukrytą tajemnicę. W pierwszym pomniku katyńskim w Podkowie Leśnej użyłem kilkunastu kamieni, które zostały rozłupane, a w środku znalazły się nazwy miejsc pamięci „cisza strzeżonych”, bo dopóki były zamknięte, czekały na odkrycie, na ten czas, kiedy mogliśmy zacząć mówić o Katyniu. Potem zaczął się cały cykl kamieni, które wystąpiły w innych realizacjach, tak jak w przypadku grobowca różańca ks. Jerzego Popiełuszki.

Trzeba pamiętać, że już od 1971 r. tworzę akcje, zdarzenia, które są zintegrowane z przestrzenią albo są krytyką tej przestrzeni, bo są z nią w zgodzie albo się z nią mocują. To miejsce styku i krzyżowania się rzeczywistości, tej zastanej, z rzeczywistością moją, kreatywną.

I o jakie krzyżowanie chodzi panu w tej nowej instalacji?

Ona nawiązuje do instalacji „La nona ora” z Zachęty, z tą różnicą, że meteoryt tam użyty jest w symbolice takim tworem natury, który przylatuje z nieba, z kosmosu. Meteoryt, który pokonuje miliony kilometrów, jest okrucieństwem w kontekście wszechświata, ale zaczyna być wielki, kiedy staje się zabójcą choćby jednego człowieka. Dlatego ten moment ugodzenia papieża jest przez Cattelana wykalulowany, intencjonalnie mający na celu zdeprecjonowanie wielkości Jana Pawła II i jego dzieła. Dzieła, które przyniosło przemiany w skali świata, ale są siły, które chcą powstrzymać te przemiany poprzez atak na papieża.

Dlatego pojawia się w stosunku do nas opór, ponieważ Polska w tej części Europy stała się, można powiedzieć, takim ostatnim szansem, gdzie kulturowymy naszą duchowość, tradycję, liturgię i obrzędy – tego, co buduje człowieka i jego godność.

Jan Paweł II przywołał Ducha Świętego!

Nie jest to przypadek, kiedy przylatuje meteoryt, wpada przez wielkie okno Sali Matejkowskiej i trafia tam w Jana Pawła II – a dzieje się to w Polsce w takim miejscu, jakim jest świątynia sztuki. Zachęta w Warszawie jest ważnym azyłem dla obrony sztuki i naszego rodowodu. Stało się to też w czasie, kiedy w Polsce zaczęły się przemiany, którym patronował papież, nasz przewodnik, pasterz wspól-



Instalacja „Zatrute źródło”
na dziedzińcu Muzeum Narodowego
w Warszawie i jej twórca Jerzy Kalina

noty polskiej. Zarówno wtedy, jak i dziś działania przeciwników dążą do obalenia mitu Solidarności i doprowadzenia do totalitarnego celu, którym byłoby zniszczenie wiary i Kościoła w Polsce.

I ten projekt trwa do dziś?

To była przemyślana i konsekwentnie kontynuowana próba pomniejszenia tego, co dla Polaków jest najważniejsze – niepodległość i solidarność. Pojawił się człowiek, który nas podniósł z półzycia, półsnu, z letargu.

Potem był stan pokoju, wiary i wyobraźni, która zaczęła dopiero coś budować po dekonstrukcji czerwonej inwazji, która opanowała Europę i dużą część świata, a nazywała się komunizmem. Była to bolszewia, która narzucała jeden kolor flagi. Czerwony kolor z sierpem i młotem miał zapanować nad światem.

A papież powiedział „nie” i nie pozwolił na rozdzielenie sfery religijnej od polityki, bo nie można tego rozdzielać.

Kiedy się modłę, jestem w świecie modlitwy, ale kiedy maluję, rzeźbię, to gdzie jestem? Ja nie zamierzam się modlić do czerwonej wielkiej płachty, która w mojej instalacji jest teraz zatopiona, ale próbuję wynurzyć się ponownie. Papież w mojej instalacji nie rzuca kamieniem w człowieka, lecz zamiera w geście przestrogi.

Chciałem właśnie o to zapytać, ponieważ pojawiły się oskarżenia, że „papież rzuca kamieniem”.

On tym gestem okazuje nam swą siłę, charyzmę, gotowość niesienia pomocy. Papież zmierzał do jednoczenia. Ci spod tęczyowej flagi także mówią o miłości, ale depczą znaki pojednania. Oni działają, można powiedzieć, jak terroryści. Korzystają z tego, że staliśmy się krajem demokratycznym, że możemy bardzo wiele, ale jednocześnie mają swoich popleczników, którzy ich



„La nona ora” Maurizia Cattelana.
Instalacja wystawiona 20 lat temu
w Zachęcie

Fot. ALAIN JOCARD/AFP/Earst News

finansują, i to daje im siłę oddziaływania, bo mają zaplecze.

Żyjemy w momencie zastraszania, a ci, którzy to robią, posługują się symboliką religijną. Tęcza jest pięknym symbolem przymierza i jedności Boga z człowiekiem. To łączy. Tymczasem oni, używając tego symbolu, dążą do skonfliktowania, dążą do tego, aby się polala krew.

To jest wzbudzanie lęku. Papież wołał: „Nie lękajcie się!”. Kontynuował to przesłanie ks. Jerzy Popiełuszko, nawołując, aby zło dobrem zwyciężać. My jesteśmy w tym momencie w sytuacji ryzyka. Wyglądało, że zaczniemy coś konstruować na dłużej i lepiej. Okazuje się jednak, że istnieją siły destrukcji, które prowadzą do konfrontacji.

„Źródło” prowadzi nas do wody jako symbolu. To jeszcze jeden element często wykorzystywany w pańskich instalacjach.

Chodzi o źródło, które jest początkiem dobrego, ale też złego. Źródła i wody bywają zatrute, i to nawet specjalnie zatruwane, jak w czasie wojen.

Instalacja Cattelana była próbą zatrucia naszego źródła, którym był i został papież oraz jego dzieło. To, co teraz obserwujemy, to działania mające ten sam cel. Wierni bez swojego przewodnika, wspólnota bez pasterza rozpierzcha się. I to się w tej chwili niestety dokonuje na naszych oczach.

W tej chwili?

Tak. Obserwujemy nasilenie i eskalację, próby unieważnienia zasług Jana Pawła II. Odprowadza się go gdzieś na pobocze, w niepamięć. To jest próba jego zmarginalizowania. A żyjemy w czasach, kiedy jego dziedzictwo jest nam bardzo potrzebne. Wierni muszą wystąpić wyraźnie, w sposób taki, który znowu będzie afirmować wartości Jana Pawła II. Także tego, czego dokonał prymas Stefan Wy-

żyński, który urzeczywistnił ideę wędrującego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. A kiedy komuniści aresztowali obraz, po Polsce pielgrzymowały puste ramy. Ta decyzja była dla mnie szczytem przenikliwości, inteligencji, wrażliwości teologicznej i artystycznej. My artyści nie stworzyliśmy tak przejmującego znaku wiary. Komuniści bali się tych pustych ram.

A dziś są tacy, którzy w pochodach, które nazywam waginaliami, wulgarnie profanują nasze świętości. Czerpią pomysły i obrazy ze sztuki sakralnej, która owszem, często jest odpustowa a nawet kiczowata, ale ten kicz zawsze był i jest obecny. U Cattelana również. Leżący papież to kicz. To nie jest rzeźba, to kukła, poprzez wizerunek której autor chciał przedstawić obraz dewocyjnej Polski. Kompletny brak metafizyki, transcendencji.

Nie chciałem, aby papież wyglądał u mnie tak jak u Cattelana. U niego Jan Paweł II wygląda jak figura z Muzeum

9/0120/F

Madame Tussaud. Nie da się ukryć tego, czego dokonał Jan Paweł II, ale można usiłować to umniejszyć, skarykaturować. To jest taka gra. Każdy z nas stoi dzisiaj przed decyzją, że albo będzie krystalicznym źródłem, albo Czajką, która cały czas wylewa się w Warszawie.

Powiedział pan, że jego akcje „nie mają sensu, jeśli nie odwołują się do bieżących zdarzeń”. Czy to nie grozi zbanalizowaniem sztuki?

Powiem szczerze, banalne jest też powiedzenie, że sztuka, aby była coś warta, powinna być międzynarodalna i ponadczasowa. Trzeba po prostu podjąć decyzję. Czy zgłębiam tajemnice koloru, czy zgłębiam tajemnice relacji człowiek – człowiek, człowiek – Bóg. Jako artysta chcę demaskować stany pozorne, stany kłamstwa, kiedy u podstaw jest tylko chęć zdobycia tego, co materialne. Słuchać swojego głosu, ale także głosu tych,

którzy przed nami sformułowali swój etos.

Tyle że pan, słuchając swojego głosu, ma sporo kłopotów. Cały czas trwa walka z pomnikiem Smoleńskim, Bitwą Warszawską, a teraz z pana ostatnią instalacją. Dlaczego?

Chodzi o to, że jestem dla nich człowiekiem niewygodnym, bo nie jestem utrwalaczem władzy, nigdy nie tworzyłem sztuki związanej z propagandą.

Część ludzi w III RP doszła do wniosku, że należy wykluczać ludzi, którzy tworzą w przestrzeni sacrum dla przestrzeni sacrum. Ale pojawia się dziś jeszcze jeden problem w świecie korporacji. Dobry artysta to ten, który jest skuteczny i który pracuje dla nas.

Trudno mi powiedzieć, czego oni mi zazdroszczą. Ja mam 76 lat i wielu artystów w tym wieku już nie żyje, a ja w tej chwili projektuję takie obiekty, których młodzi nie są w stanie zaprojektować, bo nie mają takiej wyob-

raźni. Wydaje mi się, że jestem cały czas otwarty na to, co się dzieje wokół mnie i co usiłuje we mnie dokonywać przemian. Nie straciłem swojej indywidualnej busoli i poruszam się zgodnie z nią.

Jestem artystą, który stworzył swój dekalog postępowania oparty na głównym dekalogu, a swoją sztukę określiłem wyrażeniem „nawigacja sztuki”. To ja kieruję, wytyczam sobie pewne przestrzenie i zadania, które prowadzą do odkrycia tego, co zaskakuje nawet mnie samego. Ciągłe coś mnie frapuje, interesuje. Znam artystów, którzy nie ruszyli się ze swojej wsi, a komponowali tak, że słuchał ich cały świat. A są i tacy, którzy jeżdżą po całym świecie, a nikt nie chce ich słuchać. Cała tajemnica polega na tym, aby nie porzucić podstawowych zasad dekalogu. Kiedy dzisiaj widzę, jak Polska zanurza się w tym polityczno-pseudoartystycznym bełkocie, to czekam na koniec tej pandemii...

REKLAMA

Oszczędzanie na wysokim poziomie!

Przekonaj się, jak dobrze być naszym Klientem. Skorzystaj z Lokaty Witaj w Kasie o niezwykle atrakcyjnych parametrach.

- **300 zł** – tylko tyle wystarczy, by zacząć oszczędzać
- Możesz ulokować **nawet 50 000 zł**
- Okres oszczędzania – **2 miesiące**

Załącz lokatę w placówce!

Aż

2,50%
w skali roku

Oprocentowanie stałe
na lokacie 2-miesięcznej



kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

 **KASA STEFCZYKA**

Zawsze u siebie

Oferta dostępna dla nowych Klientów Kasy. Jeden Klient może posiadać jedną aktywną lokatę, którą może założyć w ciągu 2 miesięcy od zapisania się do Kasy. Szczegóły w placówkach Kasy i na kasastefczyka.pl

eprasa.pl 9df45d73cd

Zaczynamy ofensywę

Kowalski nad morzem, obok Janusza zadowolona Grażyna, dzieci bawią się w piachu nowiutkim smartfonem. Pięć lat temu odwrócono wektory polskiej polityki. Nieuchronny upadek kraju został powstrzymany. Dziś już najbogatsi nie grabią najuboższych. Jest godnościowe 500+, pierwsi skorumpowani siedzą w aresztach. Połowa roboty wykonana. Tylko połowa, bo wyzysk został ograniczony, ale bez duchowej rekonkwisty Polsce dalej grozi moralny i duchowy upadek. Jarosław Kaczyński musi powściągnąć swoich. Szarpnąć lejcami, potrząsnąć tymi, którzy we władzy widzą kasę, a boją się jedynie siły. Ale jest coś o wiele gorszego od arogancji władzy, morderczej dla partii, która doszła do władzy pod hasłami odnowy moralnej. Jest coś, co najmocniej rani serce Boga – Kościół nieoczyszczony ze zła. Ojcowie biskupi! Zło pedofilii trzeba wypalić gorącym żelazem. Chorzy kapłani, krzywdziciele dzieci, muszą zostać wydani przez was w ręce sprawiedliwości. A ci hierarchowie, którzy kryli przestępców w sutannach, muszą ponieść surowe konsekwencje.

Jeśli polski Kościół się nie oczyści, czeka go upadek. A Polska podzieli los zdechrystianizowanych w dekadę Irlandii czy Malty. Konsekwencji tej tragedii nawet nie chcę sobie wyobrażać. Prawdą jest, że prawica kulturowa ma w Polsce o wiele lepszą sytuację niż w większości krajów zachodnich. Ale wynika to z pozycji polskiego Kościoła. Przez 30 lat stał się słabszy, niż był w PRL, kiedy był naturalnym miejscem ucieczki, ale dalej jest gigantem na tle Kościołów Starej Europy. Polska prawica obyczajowa ma więc jeszcze u nas przewagę popularności, ma przewagę czasu. Ma też łaskę dystansu

– Polacy widzą, jakich spustoszeń dokonał na Zachodzie marksizm kulturowy.

Co więcej, wspólnota wiernych w naszym kraju się budzi. Kościół to najsilniejszy element społeczeństwa obywatelskiego. Pierwotny wobec państwa, uniwersalny i globalny. I Kościół w Polsce oddolnie zaczyna reagować na rozpoznane już zagrożenie. Powstają kolejne akcje, takie jak milionowy Różaniec do Granic, ale co ważniejsze, powstają też ruchy i wspólnoty.

Różaniec biorą do ręki mężczyźni. To nowość w historii naszego Kościoła. Najbardziej chyba spektakularni są Wójownicy Maryi, coraz potężniejszy ruch Only4Men, którym opiekuje się były mistrz karate ksiądz Dominik Chmielewski. Mówi oczywiste dla każdego ojca rzeczy: mężczyzna musi być dziś wojownikiem. Jeśli nie będzie walczył z grzechem, jeśli nie będzie walczył o dzieci i żonę, zginie on i rozpadnie się jego małżeństwo, a dzieci pójdą na zatracenie. Ciśnienie przenicowanej przez rewolucjonistów kultury jest już dziś w Polsce absolutnie nie do odparcia. Dziecko bierze do ręki komórkę i dostaje pornografię dostępną w skali, o której dotąd nikomu się nie śniło. Dostaje kakofonię bodźców i emocji, nad którymi nie jest w stanie zapanować nie jeden zrównoważony i uformowany już dorosły. Przyciągane jest przez najniższe przyjemności, najprostsze wzmocnienia prowadzą je w pustkę znieprawionej kultury. Dziecko staje się łupem ludzi, którzy dla centa zysku są gotowi zrobić wszystko. I sprzymierzonych z nimi ideologicznych zielonych i tęczowych misjonarzy.

Tak, wyzysk ludzi słabych został w Polsce powstrzymany. Ale w kraju szerzą się pogańskie kultury, ekoreligie, sekty gender/LGBT, zostały też ubóstwione



ROBERT TEKIELI

skuteczność i zysk. Uwielbienie człowieka, który zapomniał o Bogu, i inne liberalne oraz marksistowskie wierzenia opanowały kulturę. Polacy na zagrożenie reagują wysiłkiem duchowym. I ma on już wymiar społeczny. Uczestniczę od dwóch miesięcy w nabożeństwach pierwszych piątków i sobót w Niepokalanowie. Na październikowej sobotniej mszy przywitanie wszystkich pielgrzymek i wspólnot, głównie różańcowych, parafialnych, męskich, żeńskich i „branżowych”, które przybyły do sanktuarium, trwało dziesięć minut z okładem.

W Niepokalanowie od miesiąca trwa też modlitewno-pokutna Kampania Różańcowa. Walka o triumf dobra w naszych rodzinach, ojczyźnie i na całym świecie. Jest jeden warunek przynależności: regularna modlitwa różańcowa. Uczestnicy Kampanii Różańcowej są objęci ochroną duchową i korzystają z duchowego arsenału franciszkanów, wyposzczonego, wymodlonego i wycierpianego w jej intencji. Uczestnictwo w kampanii można zgłosić poprzez stronę niepokalanow.pl, mailowo: [poczta@niepokalanow.pl](mailto: poczta@niepokalanow.pl), lub listownie: Niepokalanów, Kampania Różańcowa, ul. św. Maksymiliana Kolbego 5, 96-515 Teresin.

Bronią w tej walce duchowej o Polskę, rodzinę i Kościół są, oprócz modlitwy, Eucharystia, post i dobrowolnie przyjęte cierpienie. Również w twojej intencji, jeśli tego potrzebujesz.



wyjazdy do biduli), odpowiedzialności za Polskę (budowanie struktur władzy w Duszpasterstwie Akademickim z prezydentem, premierem itd.), nauka gotowania czy przygotowania do małżeństwa (tak zwane kursy antymażeńskie).

Wiele osób chciało wystąpić w naszym filmie, wiele z występujących płakało podczas nagrania. Masz przed sobą dorosłego mężczyznę, mocno po pięćdziesiątce, i na pytanie, jak jego życie wyglądałoby bez księdza Stanisława Orzechowskiego, on zaczyna płakać i przez dłuższy czas nie może się uspokoić – puentuje Magda Piejko.

Czy trzeba czegoś więcej, by chcieć obejrzeć film „Orzech – zawsze chciałem być wśród ludzi”?



Wbrew zapowiedzi sprzed tygodnia jednak nie napiszę już więcej o nowym przygodowym filmie Netflixa zatytułowanym „Enola Holmes”. Wszystko napisała bowiem o tym feministycznym manifestie „Gazeta Wyborcza”: w „Enoli” „Sherlock Holmes to umiśniony przystojniak”. Wiadomka: ideał feministek.

Smutne Populacja Ziemi dzieli się na tych, dla których sukienka dla mężczyzny jest „przełamywaniem toksycznych stereotypów płciowych”, i na tych, którzy uważają, że o płci zdecydowała już raz na zawsze natura. Jedna z największych marek modowych na świecie wprowadziła właśnie na rynek sukienkę inspirowaną kulturą grunge'u z lat 90. XX w., która „w delikatnych kolorach odzwierciedla ideę płynności [...], przełamując toksyczne stereotypy, które kształtują męską tożsamość płciową”. Gucci walczy ze „stereotypami”, licząc sobie za sukienkę dla mężczyzny 1,7 tys. funtów.

Drodzy włoscy projektanci, istnieją dwie płci i pisząc to, stwierdzam fakt. To nie opinia. Nikim w ten sposób nie pogardzam ani nie przydaję nikomu cierpienia. Organizm człowieka produkuje tylko dwa rodzaje gamet – w zależności od płci: męskie i żeńskie. Nie istnieje trzeci typ gamet i nawet Gucci tu nie poradzi.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Warte „Jak śni mi się goła baba, to wiem, że wszystko w porządku, ale jak kardynał, wiem, że będą kłopoty” – tak od księżowskiej mowy ucieka 81-letni dziś ks. Stanisław Orzechowski, człowiek legenda, wrocławski duszpasterz akademicki, kapelan wrocławskiej Solidarności, główny przewodnik Pieszej Pielgrzymki Wrocławskiej. Film o nim zdobył właśnie Złoty Opornik dla najlepszego polskiego obrazu dokumentalnego na Festiwalu Niepokorni Niezlomni Wyklęci. – Orzech jest postrzegany jako wyjątkowy z wielu względów – niezwykle pocucia humoru, fenomenalnej pokory, dystansu do siebie samego, otwartości na drugiego człowieka, silnej, mistycznej więzi z Panem Bogiem czy też wzoru męstwa dla tysięcy osób, szczególnie mężczyzn, którym zastępuje ojca – powiedziała mi Magda Piejko, współreżyserka dokumentu obok Damiana Żurawskiego. – Studenci przychodzą do niego, usłyszą coś zaskakującego, prostego, a jednocześnie bardzo otwierającego i nie wiadomo kiedy orientują się, że stoją już razem z Orzechem naprzeciwko Chrystusa. To doświadczenie żywej wiary w tym duszpasterstwie jest niesamowicie silne i jest punktem odniesienia – punktem, do którego się wraca, zwłaszcza przy jakichś życiowych zawirowaniach.

Orzech zaraża swoją bezpośredniością i silnym poczuciem własnej wartości, takim silnym przekonaniem, że Pan Bóg stworzył go właśnie takiego, z całym jego arsenałem trudnej czasami osobowości, w jakimś celu.

Orzech wymyśla często ludziom śmieszne ksywy, odnajduje z nimi ich powołania, spotyka się z nimi od razu na głębokim poziomie – tam, gdzie ich najbardziej boli, i jakoś stara się tam wpuścić Pana Boga. Zaraża ludzi swoim autentyzmem i wiele osób, już po studiach, nosi go w sobie.

Pytanie: „Co by Orzech na to powiedział?”, które się często pojawia w głowie każdego z nas, jego wychowanków, jest pytaniem o stanie w prawdzie wobec siebie samego, wobec godności drugiego człowieka, wobec talentów, których nie powinniśmy zaprzepaścić, wobec sensu życia czy zgodności z głosem serca jakkolwiek górnolotnie by to zabrzmiało.

Dla Orzecha zawsze bardzo ważne było budowanie międzypokoleniowej wspólnoty, otwarcie na biednych (słynne



Wojciech Stanisławski

Bruno i Michaił

Być może należałoby wydzielić w księgarniach osobne półki – dla „biografii popularnych” oraz „biografii dociekliwych”?

To karkołomne zestawienie, bo na pozór różniło ich niemal wszystko: król życia i człowiek „wewnętrznie przygarbiony”, lekarz i nauczyciel bez dyplomu, żonkoś i zaprzysięgły kawaler, dandys i ofiara depresji, goj i Żyd (w czasach, gdy miało to ogromne znaczenie dla pozycji społecznej, samooceny, perspektyw). Ale czy rzeczywiście? Niemal rówieśnicy (jeden w chwili śmierci miał 50 lat, drugi – 49), urodzeni w belle époque (1891 i 1892), którą na ich oczach stąrgały wielka wojna i rewolucje. Obaj z poczuciem niespełnienia, obaj w cieniu wiary, że „rękopisy nie płoną” (pierwszy obiecał to sobie i czytelnikom; najważniejszego rękopisu drugiego szukamy do dziś), rękopisów obu trzeba by szukać w tajnych rosyjskich archiwach. Obaj padli ofiarą totalizmów, choć pierwszy był przez system tylko (tylko?) poniżony i zamilczany, drugi skończył z gestapowską kulą w głowie. Obaj rozwijali wizję sabatu, tańca, bału, marzyli o dionizjach. Wersów ich autorstwa nie da się zapomnieć, ich historię przyszło mozolnie odtwarzać po latach milczenia, śmierci, strachu. Michaił Bułhakow i Bruno Schulz.

Do postawienia tych dwóch życiorysów obok siebie nie skłania mnie ani niełatwy los recenzenta, który w obliczu jesiennej klęski urodzaju wydawniczego może drukować swoje uwagi tylko raz na dwa tygodnie, ani poszukiwanie efektownego kontrastu. Wydane właśnie biografie Michaiła i Brunona doskonale pokazują po prostu, jak różnie pisać można książki należące na po-

zór do jednego gatunku, do jak różnych odbiorców są one adresowane.

Marietta Czudakowa była dla pamięci o Bułhakowie tym, kim dla pamięci o Schulzu Jerzy Ficowski – tylko bardziej: począwszy od lat 60., w czasach, kiedy naprawdę było to źle widziane, gromadziła, wypraszała, wszelkie możliwe relacje od osób, które bodaj zetknęły się z pisarzem. „Życie nieoczywiste” jest biografią totalną, odtwarzającą setki relacji – przyjaźni, współpracy, flirtu, zawści – dociekającą związków między najdrobniejszymi realiami życia Bułhakowa a ich odzwierciedleniem na stronach „Mistrza i Małgorzaty” – i mimochodem niejako odtwarzającą dramatyczną rzeczywistość narastającego stalinizmu. Narracja Czudakowej bywa niedoskonała, chropowata, niektóre hipotezy stawiane są zdecydowanie na wyrost: ta książka to zmaganie z bezmiarem faktów.

Anna Kaszuba-Dębska odwołuje się do relacji zgromadzonych przez

Ficowskiego, korzysta z pozostawionego przezeń archiwum. „Epoka genialna” rzetelnie dokumentuje mniej znane strony biografii Brunona: jego niełatwą sytuację rodzinną, starania o ukończenie studiów, nieznane związki z kobietami. Ciekawe jest odtworzenie sfery emancypującego się, galicyjskiego mieszczaństwa o żydowskich korzeniach: jednak odlegli od chasydyzmu i od polskich emocji zbiorowych, pozostawali wykorzenieni, zawieszeni między Wiedniem, Berlinem a Lwowem. Ilekroć jednak autorka usiłuje opisać tło historyczne, ponosi porażkę: „W sierpniu 1920 roku w Warszawie dochodzi do ważnego starcia polskich sił zbrojnych z nacierającą na zachód Armią Czerwoną. Pod przewodnictwem [sic! – WS] marszałka Józefa Piłsudskiego rozgrywa się Bitwa Warszawska zwana przez cywilów Cudem nad Wisłą...”

Wygląda na to, że lepiej pisać z pasją niż z ambicją popularyzacji.



Marietta Czudakowa, „Michaił Bułhakow. Życie nieoczywiste”, tłum. Margarita Bartosik, Wydawnictwo Akademickie Sedno, 2020



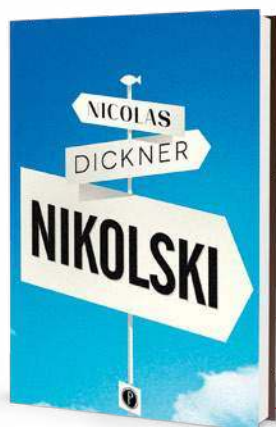
Anna Kaszuba-Dębska, „Bruno. Epoka genialna”, Znak, 2020

Kanadyjska sprężyna

Zupełnie inne, może bardziej dumne jest wędrowanie w bieli zim warszawskich Pawła Dunina-Wąsowicza. Miałem już okazję pisać o „Praskim przewodniku literackim”, od dłuższego czasu kartkuję przewodnik mokotowski, obszerniejszy od poprzednich. Strach wyobrazić sobie rozmiary „Śródmiejskiego”, który też ma pewnie szanse się ukazać, skoro pieczę nad serią objęła fundacja Hereditas, pewniejszy może wydawca od włodarzy poszczególnych dzielnic.

Zamysł autora, różny od zwyczajowych „przewodników literackich po miastach”, bardzo przekonuje: Dunin-Wąsowicz opisuje przede wszystkim lokalizacje, które pojawiły się w konkretnych utworach literackich – w prozie, w liryce, w rapie – ale znalazł też miejsce dla „mokotowskich” pisarzy, związanych z nimi wspomnień i anegdot. Oczywiście, stąd wydzwaniał Broniewski, tu rezydował Wańkowicz, ale też za sprawą tej dzielnicy do wyobraźni czytelników literatury polskiej trafiły lokalizacje podniosłe, zapomniane i zdumiewające: Pole Mokotowskie (formalnie, wedle dzisiejszych podziałów administracyjnych, stanowiące dziś część Śródmieścia), wytwórnia filmowa na Chełmskiej, i miejsca, które powstały (lub zyskały na znaczeniu) dopiero w III RP: Mordor, Galmok, Czarska.

Ten klucz lokalizacji idący, niczym zdjęcie tomo-
graficzne, w poprzek epok, gatunków, podziałów gatunkowych czy politycznych, okazuje się niesłychanie odświeżający, wyrywający nasze myślenie o literaturze z przyzwyczajęń, z kolein mentalnych. Otwieram na chybił trafił rozdział „Park Dreszera i okolice”, a w nim: „Uczta Baltazara” Brezy, „Sanitariuszka Małgorzatka” Mirosława Jezierskiego, Bartelski, Stawiński, ba, Przymanowski! – ale zaraz już Zofia Bystrzycka, peerelowskie kryminały, czytało Marii Nurowskiej – i „Czas niedokonany” Bronisława Wildsteina. Literatura, o czym raczą zapominać wzmożeni publicyści, jest jedna. Na szczęście. ✔



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Nicolas Dickner, „Nikolski”,
tłum. Magdalena Kamińska-Maurugeon,
Wydawnictwo Pauza, 2020

Opony cienkie jak barszcz

Poeta, eseista, tłumacz (z rumuńskiego), literaturoznawca, redaktor i literaturoznawca z UJ – każdy z nich pragnie przecież wstać od biurka, przeciągnąć się, zażyć ruchu, pędu, wysiłku, tym bardziej może, gdy jest w tyłu funkcjach jedną osobą, tym bardziej może, gdy ciąży mu nie tylko godziny spędzone nad dziejami awangard środkowoeuropejskich, ale i niechciane może parantele. Ale kto wie, czym w pierwszej kolejności kierował się dr Jakub Kornhauser: może przede wszystkim szło o radość pędu, mknienia pod górę „niczym yeti na jednośladowie”? Dość, że nie tylko zjeździł na rowerze cały Wielki Kraków, od Kocmyrzowa po Swoszowice, od Bieżanowa po Łobzów, ale i opisał to dla portalu Małopolska To Go, i można teraz pędzić z pysznym przewodnikiem podobnym prozom poetyckim. Kto da radę, trzymając kierownicę jedną tylko ręką, kto nie da, siedząc w fotelu.

Są te trasy opisane stylem, który nieraz osuwa się, niczym koło na błotnistym zboczach, w manierę; nieodmiennie pisane na długim, bardzo długim oddechu, a przy tym, rozumiecie, dialogicznie, w trybie apostrofy do czytelnika, jest to chwyt może nie aż tak oryginalny i trudny, może po kilku rozdziałach nieco nużący, ale urozmaicają go bryzgi kryptocytatów, od Leśmiana po skandowania piłkarskie, a co więcej, co i raz załśnią, niczym klipsy odbłaskowe na szprychy, uszczypliwości i sarkazmy pod adresem tromtadracyj i kapliczek, no, ale w Krakowie pewnie nie sposób inaczej, większość tych szpilek jest misterna niczym szybki zwrot kierownicą, raz tylko autor wali w dobrą zmianę grubo niczym Królak pompką, ale co robić, różne rzeczy ludziom ciąży. Poza manierą i pompką jest jednak jeszcze proza, krajobraz i Kraków, a wszystko to doskonale dynamicznie, z żartobliwą powagą, z homerycką hiperbolizacją opisane, „halibucie płaskie miasto” i zbocza przyrównane do Nanga Parbat, czyta się to, mówię wam, i nogi przebiegają już do Krakowa bicyklowego niczym do oberka w Bronowicach i chciałoby się tylko, żeby poeta przewodnik trafił kiedyś do Bydgoszczy, do Trójmiasta, do Augustowa – znajdziemy mu i tam premie górskie. ✔



Jakub Kornhauser, „Premie górskie najwyższej kategorii”, Książkowe Klimaty, 2020

Jabłka w przepisach gwiazd

Z kruszonką lub płatkami migdałowymi. W wersji sprint lub fit. W sprawdzonych przepisach teściowej i we własnej, wykonanej śpiewająco wersji...

Gdy jesień przynosi obfitość owoców, a zwłaszcza jabłek, nadchodzi czas szarlotek, jabłeczników i placzków z jabłkami. Niezależnie od ustaleń kulinarnych purystów, podkreślających, że do szarlotki trafiają tylko jabłka prażone, a jabłecznik zadowala się surowymi częściami owoców, czas na pieczenie.

Fanami jedyne go w swoim rodzaju smaku, jak również zapachu, który wypełnia dom, gdy nastawiamy ciasto z jabłkami, okazuje się parę znanych osób.

Jest wśród nich Andrzej Piaseczny. Na Instagram piosenkarza, równolegle z materiałami dokumentującymi artystyczną działalność, trafiają zdjęcia i filmiki pokazujące, jak świetnie „Piasek” radzi też sobie w przydomowym warzywniaku, sadzie czy kuchni. Tu dorodne jabłka (zebrane z braku koszyka do T-shirta) zamieniają się w szarlotkę. Jej wyciągnięcie z piekarnika możemy podziwiać na filmiku. Przepisu, niestety, brak.

O wiele bardziej szczodry w kwestii przepisów okazuje się znakomity tenor Piotr Beczała. Podaje składniki przygotowywanych dań, zarówno na kontach społecznościowych, jak i w wydanej kilka lat temu książce „Die Oper kocht” (ponad sześćdziesięcioro światowych śpiewaków zaproponowało w niej swoje ulubione potrawy. Polski tenor postawił na szarlotkę).

Przepis na ciasto jabłkowe – które „nie może nie wyjść!!!!” i najlepiej smakuje z lodami waniliowymi oraz malinami – podpowiada na stronie Leniwa Żona Sonia Bohosiewicz. W kulinarnej propozycji przejętej od teściowej sprawa jest prosta: obieramy i kroimy jabłka. Do miski wysypujemy po szklance: mąki, cukru i bułki tartej, dodajemy łyżeczkę proszku do pieczenia i mieszamy. Teraz na dno tortownicy trafia połowa tej „mieszaniny”. Kładziemy na nią pokrojone jabłka, przesypując kolejne warstwy cukrem waniliowym i cynamonem. Na ostatnią sypimy resztę suchej „mieszaniny”. I teraz clou: na wierzchu rozkładamy równomiernie plastry, cięte z kostki twardego masła. Ciasto wstawiamy na 50 min do piekarnika rozgrzanego do 200 st. C. I z niecierpliwością czekamy na smakowity efekt.

Aktorka Ewa Gawryluk, piekąc „sprint-szarlotkę”, zamiast szklanki bułki tartej (jak u Leniwej Żony) proponuje kaszę mannę.

Tajemnymi składnikami jabłkowego ciasta Magdaleny Lamparskiej są dodane do

bazy (1,5 szklanki mąki, 200 g masła, łyżka śmietany, żółtko, 13 łyżek cukru, 1,5 kg szarej renety oraz łyżeczka cynamonu i świeża wanilia do prażonych jabłek): po garści płatków owsianych i migdałowych. To z nich (po dołożeniu połowy szklanki mąki, 50 g masła i 5 łyżek cukru) powstaje wisienka na torcie, czyli migdałowa kruszonka.

Ewa Chodakowska, jak przystało na jedną z najpopularniejszych trenerek, proponuje szarlotkę w wersji fit. Migdały (całe, 100 g) i orzechy włoskie (70 g) blendujemy na mąkę. Dodajemy płatki owsiane (150 g), wiórki kokosowe (7 łyżek), olej rzepakowy (2 łyżki, 20 g), ksylitol (2 łyżki) i masło orzechowe (2 łyżki). Ucieramy aż powstanie „gliniasta kruszonka”. Na 30 min odstawiamy ją do lodówki.

Jabłka (2 kg) obieramy, kroimy, dusimy ok. 30 min. Dodajemy 2 łyżeczki cynamonu i odparowujemy nadmiar wody. Połowę ciasta wyklejamy spód okrągłej formy (o średnicy 26–28 cm), układamy jabłka. Na suchej patelni podprażamy płatki migdałów (3 łyżeczki) i dodajemy do drugiej części ciasta. Po wymieszanu taką kruszonką posypujemy wierzch ciasta. Formę wstawiamy do piekarnika (180 st. C) i pieczemy 30 min.

Trenerka wyliczyła, że jej ciasto można podzielić na 16 porcji. Każda z nich to 261 kcal. Kto by jednak liczył szarlotkowe kalorie.

Jolanta Gajda-Zadworna

Operowa szarlotka

Składniki: Ciasto: 200 g masła, 8 kopciastych łyżek mąki, 3 łyżki cukru, 1/2 łyżki proszku do pieczenia, paczka cukru waniliowego, 2 żółtka.

Masa jabłkowa: 6 dużych jabłek, 100 g rodzynek moczonych w rumie, 1 łyżka cynamonu, 2 łyżki cukru, łyżka soku z cytryny.

Wykonanie: Mąkę przesiać i połączyć z resztą sypkich składników, dodać roztopione masło i żółtka. Zagnieść ciasto, podzielić je na dwie części. Jedną wykleić dno tortownicy, drugą wstawić do zamrażarki. Tortownicę umieścić w rozgrzanym do 160 st. C piekarniku i piec 20 min. W tym czasie obrać jabłka i zetrzeć je na tarce o grubych oczkach, dodać odcedzone rodzynki, cukier, cynamon i sok z cytryny. Wymieszać i wyłożyć na podpieczonym spodzie. Na górę zetrzeć resztę ciasta z zamrażarki. Piec godzinę w 170 st. C.



Fot. Shutterstock



SŁODKO-SŁONY



Czerwone korale

ANNA MONICKA

Zdarzyło mi się kiedyś zbierać z mamą żurawinę na bagnach w lasach Pojezierza Drawskiego. Mimo mrozu ziemia falowała i kłaskała pod nogami, zasyłała gumofilce. Było piękne słońce, więc owocki wylażyły z mchów; tak właśnie robią – gdyby go nie było, pochowałyby się. Ale i tak pomarżyły nam palce. Wróciłam z sinymi, lodowatymi rękami, ale dumna, bo zbiorów wystarczyło nam na niejednego kisiel. Teraz już nie zapuszczamy się na te tereny, bo powstał Drawieński Park Narodowy i jest zakaz. Miejscowi mają go w nosie, ale my nie zamierzamy się ganiać po lesie ze strażnikami.

Kilka dni temu znajomi zabrali mnie do innego lasu, niedaleko Szczytna. Poszliśmy wprawdzie na grzyby, ale poza zeżartymi przez wszelkiej maści robale starymi kaniami niewiele widzieliśmy. Cieszyłam się z ostatniego w tym sezonie spaceru, ale znajomi wpadli na pomysł, żeby zajrzeć do podmokłej części lasu, z której sterczą kikuty umarłych drzew. Krajobraz trochę jak z „Władcy pierścieni”, człowiek łypie na boki, czy nagle nie wyłoni się z wody jakiś wojownik w zbroi, ale nie... Nagrzane od słońca karpy traw złościły się malowniczo, a wśród źdźbeł błyszczały czerwone korale. Wyglądało to trochę jak ciasto mech posypane rubinowymi pestkami granatów. Coś pięknego, magicznego... Owoce rosną jak nanizane na cienkie nitki, krzewinki nie mają korzeni, po prostu pełzną wśród mchów – na powierzchni i w środku. Zawodowi zbieracze szarpia żurawiniska specjalnymi grabkami, my – wyluskivaliśmy owocki delikatnie, żeby nie poszarpać poszycia. Zebraliśmy dwa wiaderka w półtorej godziny. Powinno wystarczyć na całą zimę.

Co z tej żurawiny będzie? Przede wszystkim, po przemrożeniu, kisiel na święta. Ale z tej ilości wyszłoby tyle, że wystarczyłoby dla pułku wojska. Połowę utrę więc z miodem. Codziennie łyżeczka tej mikstury do śniadania lub do kubka z letnią wodą powinna ochronić nas przed przeziębieniami lepiej niż syntetyczne witaminy. Żurawina leczy też infekcje pęcherza i nerek – zalecają ją nawet lekarze. Jest wspaniałym dodatkiem do sałatek (kilka świeżych kulek wystarczy) i do jasnego drobiowego mięsa (przetarta z cukrem lub miodem). Warto zapolować na zdrowe czerwone korale.

WILCZYM OKIEM



Kłątwa sporyszu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dziś nie zdajemy sobie sprawy, jak wielką i złowrogą rolę przez wieki odgrywał pewien grzyb. Buławinka czerwona, *Claviceps purpurea*, to grzyb pasożytniczy na kłosach zbóż. Jedną z faz rozwojowych buławinki czerwonej jest forma przetrwalnikowa, zwana sporyszem. Sporysz przypomina duże, ciemne, spotworznięte ziarno zboża. W glebie sporysz może przetrwać kilka lat, czekając, aby w sprzyjających warunkach porazić kolejne rośliny.

Jeżeli sporysz wraz z ziarnem, mąką lub chlebem zostanie zjedzony przez człowieka, a zwłaszcza jeżeli toksyczny grzyb będzie spożywany przez dłuższy czas, spowoduje bardzo groźne schorzenia: halucynacje, manie, obłęd, martwicę skutkującą utratą kończyn i śmierć (toksyczny jest także dla zwierząt). Wiele bezrękich i beznogich postaci, które znamy np. z obrazów Hieronima Boscha, to ofiary „ognia świętego Antoniego”, czyli zatrucia silnymi alkaloidami – w tym ergotaminą – zawartymi w sporyszu.

Alkaloidy zawarte w sporyszu wykorzystywane są w przemyśle farmaceutycznym (w tym do produkcji LSD), przez całe wieki natomiast jako źródło zatrucia siały straszliwe spustoszenie. W samej tylko Akwitanii w 994 r. na skutek zjedzenia mąki zainfekowanej sporyszem zmarło ponoć 40 tys. osób.

Zatrucia sporyszem odpowiedzialne były również za wiele przypadków halucynacji, którym niejednokrotnie ulegały całe wsie. Zatrucia i wywołane przez nie omamy byłyby łączone ze zjawiskami nadprzyrodzonymi i czarami. Można spekulować także o wpływie grzyba na wielką historię: zatruciu sporyszem niektórzy badacze przypisują tzw. Wielką Trwogę, czyli gwałtowne bunt chłopów na samym początku rewolucji francuskiej, które doprowadziły do zniesienia systemu feudalnego.

Chociaż związek sporyszu z chorobami wśród ludzi opisano w XVII w., jeszcze długo nie umiano skutecznie zabezpieczyć zboża – masowe zatrucia sporyszem występowały nawet w XX w.

Ponieważ nie ma środków chemicznych zwalczających tego grzyba ani też nie udało się wyhodować odpornych na niego odmian zbóż, aby nie dopuścić do masowych zatruc, należy stale zachowywać czujność i stosować środki prewencyjne: mechaniczne oczyszczanie ziarna, płodozmian, a także przyorywanie pozostałości po żniwach.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Jest coraz dziwniej

Robi się coraz dziwniej. Globalne koncerty medialne z niespotykanym dotąd impetem kreują coraz większe obszary infosfery. Metodą cepa i młota dowodzą, że obecnie media publiczne w Polsce to kombinat faszystowskiej propagandy. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” migruje po Europie z przesłaniem, że obecnie polski rząd wprowadza dyktaturę z hasłami i metodami „parafaszystowsko-bolszewickimi”. Michnikowi wtóruje prezydent Gdańska, gdy alarmuje w niemieckiej rozgłośni, że kraj obecnie zmienia się w hitlerowską III Rzeszę. Niemal w tym samym czasie polskojęzyczne redakcje komercyjne zapowiadają „alarmujące raporty” o stanie praworządności w Unii Europejskiej, których „reflektor skierowany pozostaje na Węgry i Polskę”. I jak ustaliła dziennikarka radia RMF – tak, to „polska” rozgłośnia z kapitałem niemieckim – przygotowany ostatni raport jest miażdżący głównie dla Polski. Komisja omawia cztery obszary funkcjonowania państwa, w tym system wymiaru

sprawiedliwości, ramy antykorupcyjne, pluralizm mediów. We wszystkich dziedzinach, jak podkreśla stacja, „Polska wypada fatalnie”.

Jan Hartman, profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, już w marcu br., na początku czasów COVID-19, dostrzegał na murach miast „tysiące antyżydowskich napisów”, a na ulicach słyszał „wielotysięczne demonstracje faszystów, pełne ryczącej przemocy, symboliki faszystowskiej i nienawiści rasowej”. Pomijam już to, co dostrzegają na naszych ulicach opozycyjni polscy europarlamentarzyści oraz ich nieustanne zawrodożenia o ratunek w Parlamencie Europejskim.

Dlatego nie może dziwić, że swoje postanowiła dołożyć niemiecka wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley, skarżąc się na „reżimy Orbána i Kaczyńskiego”. Ogłosiła, że politycy ci przebudowują swoje kraje na demokrację „niemające już nic wspólnego z wartościami UE”. I nawołuje, by je „finansowo zagłodzić”. Ciekawe, w jaki sposób swój postulat Barley i jej urzędnicy zamierzają zrealizować.

NOSTALGIA ZA WOLNOŚCIĄ SŁÓWA Z CZASÓW PRL

Pod koniec września słuchałam debaty w Senacie RP o mediach. Jej ton przypominał dziwnie lament prezydent Aleksandry Dulkiewicz nad losem zmuszającym ją i jej matkę do życia w kraju nad Wisłą. Pokrywał się także z groźbami ambasador USA Georgette Mosbacher wobec wszystkich, którzy podnoszą rękę na stację TVN. Senatorzy opozycji uskarżali się głównie na to, że w części hoteli nie mogą oglądać komercyjnej stacji TVN 24, a w innej części z kolei znajdują tylko TVP Info. Sprawiali wrażenie dyletantów, którzy na salę obrad trafili przypadkiem, nie wiedząc nawet, że debata miała konkretny temat. Mimo to chcieli uchodzić za jedynych sprawiedliwych – oddanych walce o wolność słowa. Tymczasem gros z nich doskonale pamiętało lata propagandy gierkowskiej, w której nawet niektórzy aktywnie uczestniczyli. Byli znacznie młodszy, mieli więcej wigoru niż dziś, ale nie mieli problemu, by razem z innymi

kształtować obowiązującą, kanoniczną formę i treść przekazów medialnych reżimu.

Nie było to specjalnie bolesne, gdyż w latach 70. i później pracowano przede wszystkim nad atrakcyjnością przekazu. Już nie agitowano wprost, lecz pośrednio, wplatając różne wątki propagandowe, łącząc różne formy przekazu. Coraz rzadziej odwoływano się wprost do ideologii marksizmu i teorii procesu dziejowego jako ostatecznego argumentu, choć rzecz jasna, tylko ta ideologia i teoria jedynie się liczyły. Nostalgia za taką telewizją pozostała w szeregach dzisiejszej opozycji i trwa. Przywołanym obradom przewodniczyła już bardzo dziś wiekowa marszałek Senatu Barbara Borys-Damiecka, która telewizję z czasu PRL zna bardzo dobrze. W końcu spędziła w niej wiele lat.

NOWY ETAP SOCJALIZMU

Lamenty unijnych urzędników oraz naszej opozycji nad „telewizją Jacka Kurskiego” z Koronką do miłosierdzia Bożego nie powinny zaskakiwać. W kulminacyjnym okresie gierkowskiej propagandy publicyści i pisarze nie składali deklaracji „wiary” w socjalizm i ateizm. Wiadomo było jednak, podobnie jak dziś na europejskich salonach, że żadnej innej „wiary” nie ma. Ale za to ma być przyjemniej.

W 1974 r. w programie 2 TVP naczelna redakcja publicystyki ruszyła z blokiem programowym „Studio 2”. Był to rodzaj pomysłu na „ciepłą wodę w kranie” Donalda Tuska, który antycypował wówczas Mariusz Walter (ten sam Walter, po załamaniu systemu komunistycznego, zmienił się w szefa i właściciela telewizyjnej stacji TVN). Cały blok emitowany był w każdą tzw. wolną sobotę i przedstawiał widzom różnorodną, jak na tamte czasy, ofertę programów studyjnych i filmowych, łączonych wejściami prezenterów, gospodarzy programów. Mieli być spontaniczni, choć była to zaprogramowana improwizacja. Chodziło o to, by widzowie mieli wrażenie otwarcia na Zachód,

zobaczyli wyższe standardy życia i poziom nowoczesności.

Sposoby pracy nieustannie doskonalono i rozwijano. W Warszawie 12 grudnia 1974 r., podczas IX Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, wypracowano metody „jak

Gwiazdy dziennikarstwa i sceny, pamiętające czasy socjalistycznej prosperity, dziś najgłośniejsi pomstują i wołają na ratunek unijnych urzędników. Unijni komisarze mają im zagwarantować bezpieczeństwo, jak dawniej urzędnicy Komitetu Centralnego

najskuteczniejszego oddziaływania gazet, agencji prasowych, radia i telewizji na najszerze rzesze społeczeństwa. Zjazd SDP ma określić sposób, w jaki dziennikarze powinni podejść do dyskusji nad programem, w którym PZPR przyjdzie na swój VII Zjazd” (w 1975 r. – HK), donosiło ówczesne „Życie Warszawy”. Honorowym gościem zjazdu był Jerzy Łukaszewicz, odpowiedzialny z ramienia KC PZPR za dział ideologii i propagandy. W swoim wystąpieniu podkreślał m.in. atmosferę dumy z dokonań i „satisfakcji z osiągnięć, klimat wyższych aspiracji stworzony w naszym kraju w okresie obchodów XXX-lecia Polski Ludowej”. Dodawał, że „środki masowego przekazu powinny koncentrować się na dalszej popularyzacji i upowszechnianiu nowych cech i wartości, które rodzi ustrój socjalistyczny”. Dziś powiedzielibyśmy nowych cech i wartości unijnych, które rodzi ustrój nowej Europy.

W grudniu 1975 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki zebrali się

na VII zjeździe partii delegaci z całego kraju. W referacie programowym I sekretarz KC PZPR Edward Gierek podkreślił: „Ojczyzna nasza wkracza na nowy, wyższy etap socjalistycznego rozwoju, w etap budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. Znów ta retoryka jest znajoma. Dziś powiedzieliśmy, że wkraczamy na nowy, wyższy etap unijnego rozwoju, etap budowy rozwiniętego społeczeństwa unijnego.

WOŁANIE O POMOC: UNIO, RATUJ!

Czy może się więc dziwić, że gwiazdy dziennikarstwa i sceny, pamiętające czasy socjalistycznej prosperity, dziś najgłośniejsi pomstują i wołają na ratunek unijnych urzędników? Unijni komisarze mają im zagwarantować bezpieczeństwo, jak dawniej urzędnicy Komitetu Centralnego.

Ostatnio do grona zbuntowanych artystów dołączył aktor Adam Ferency. Udzielił wywiadu kolorowej prasie, dając upust swojej frustracji i niezadowoleniu z obecnej władzy. I znów można było dziwnie się poczuć, gdy pytany o Unię Europejską, niby nową jutrzenkę swobody, wybuchnął, ukazując głęboką niechęć do wszystkiego, co nie jest unijne: „Unia nas ostrzega i ostrzega, jestem ciekaw, kiedy wreszcie zrobi to, co zapowiada, czyli że nie będzie pieniędzy, jeżeli nie będzie praworządności. Marzę o tym. No marzę”. Ferency marzy. Żeby zabrano Polsce pieniądze...

Czy aktorzy III RP muszą się tak odrażająco starzeć? Czy ich frustracja narasta tak bardzo dlatego, że politycy kawiorowej lewicy, dawni sekretarze KC, z Leszkiem Millerem na czele, wciąż zbierają większe niż oni unijne benefity? Któż by pomyślał, że zmutowani komuniści, jako swoiste zwieńczenie ustaw dekomunizacyjnych, lustracyjnych i dezubekizacyjnych, znajdują tak łatwo w cieniu unijnych gmachów słodkie i nieoczekiwane dożywocie.

Jest naprawdę coraz dziwniej.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Dziennikarska wiarygodność

W naszym zapędzonym życiu często korzystamy z przypadkowych mediów, głównie internetowych. Nie sprawdzamy podawanych informacji, komentarzy, nie docieramy do źródeł, by poznać prawdę. Tu narzuca się zasadnicze pytanie o wiarygodność i rzetelność zawodu dziennikarskiego. Nie wiem, czy można nazwać dziennikarzem kogoś, kto tylko trzyma mikrofon w rękę, albo redaktorem kogoś, kto całą wiedzę czerpie z internetu. Dlaczego? Bo w sieci można napisać wszystko, każdą bzdurę, byle tylko wzbudzić sensację i przyciągnąć odbiorcę. Taki redaktor w wielkim pośpiechu zamyka temat, nie zastanawiając się nad skutkami swojej pracy.

Miałam jeszcze to szczęście uczyć się dziennikarstwa od ludzi, dla których każde słowo miało wielkie znaczenie i mimo że tworzyli i działali w czasach PRL, to jednak te zasady, zapewne wyniesione od swoich przedwojennych mistrzów, nadal obowiązywały. W filmie dokumentalnym każdy obraz, zdjęcie, każdy materiał muszą odpowiadać prawdzie, nie ma miejsca na przypadkowość, fikcję, bo wtedy cała praca i jej autor tracą wiarygodność. Do filmu „On wierzył w Polskę” (o gen. Fieldorfe „Nilu”) odnalezienie w archiwach Prokuratury Generalnej oryginalnego dokumentu skazującego go na karę śmierci – podpisanego przez trzech sędziów: Igora Andrejewa, Gustawa Auscalera i Emila Merza – zajęło mi prawie dwa miesiące.

Odbiorcy współczesnych mediów nie zaglądają do źródeł – napisali, powiedzieli, więc musi tak być. Dopiero kiedy kogoś osobiście doświadcza nieprawda, fikcja dziennikarska, wtedy przychodzi zastanowienie nad kondycją naszej całej medialnej przestrzeni i nasuwa się podstawowe pytanie: czy dzisiaj komukolwiek potrzebna jest prawda?

Ostatnio zostałam uhonorowana na Festiwalu Niezłomni Niepokorni Wyklęci w Gdyni i teraz, z perspektywy tygodnia od tamtej uroczystej gali, może należy się uśmiechnąć, zamiast irytować, że ktoś, przedstawiając mnie, mija się z prawdą, a przecież wystarczyło zapytać, zamiast kompilować coś z internetu.

Nie ma tu miejsca na wyjaśnianie tych wszystkich lapsusów, odniosę się tylko do sprawy ostatniego mojego filmu pt. „Fenomen polskości”, który ukończyłam na początku 2020 r., więc nie mógł kilka lat czekać na emisję, jak zostało powiedziane. Media internetowe skrzętnie to podchwyciły, a przecież teraz, za prezesury Jacka Kurskiego, takie filmy nie czekają długo na prezentację i ten też nie czekał. Był dwukrotnie pokazany w TVP1 z bardzo dobrym skutkiem. Otrzymałam wiele listów podziękowań nie tylko z kraju. Film jest również dostępny na stronie IPN, zachęcam do zobaczenia i własnej oceny.

Redaktorzy chętnie posługują się pewnymi sztamowymi zwrotami, modnymi w danym czasie, typu: „Miała pani najwięcej filmów półkowników”, ale to niezupełnie prawda. Tematy, jakimi się zajmuję, i mój sposób ich realizacji, szczególnie za rządów ludzi, którym obca jest duma z Polski i Polaków, powodowały zawsze



**Alina
Czerniakowska**

problemy z zatwierdzeniem tematu, z możliwością ich realizacji, a potem z emisją. Jednak zaskarbiłam sobie swoją pracą uznanie znakomitych autorytetów w kraju i za granicą, takich jak Zofia Korbońska, hrabia Marek Raczyński, prof. Józef Garliński z Londynu, wykładowca wielu światowych uniwersytetów, prof. Zbigniew Brzeziński, prof. Zbigniew Wolak (jeden z ekspertów ONZ z żelaznej kurtyny), prof. Paweł Wierczokiewicz itd. Wstawiali się za mną, pisali listy do TVP, recenzje (mam ich całą dużą dokumentację) i moje filmy nie leżały na półkach, były emitowane. A to, że w środku nocy (druga-trzecia godzina), bez zapowiedzi, to już inna sprawa, raczej charakteryzująca cały ten bolszewicki zakłamywany system. Jednak mówienie, że nie były emitowane, jest też swego rodzaju łatwym skrótem owej propagandy.

Jeszcze dla wyjaśnienia wszystkim, którzy pytają, jak wysoką dostałam nagrodę, o czym usłyszeli w telewizji, odpowiadam, że jest to symboliczna statuetka, którą można zobaczyć na stronie Festiwalu NNW.

Trochę byłam zdziwiona tym uhonorowaniem, bo moje filmy, chociaż tematycznie bardzo odpowiadają niepokornym, niezłomnym i wyklętym bohaterom, nie były pokazywane przez 12 lat trwania tego festiwalu, raz tylko jeden z nich zaistniał na początku przez przypadek... Po obejrzeniu „Fenomen polskości” prezes IPN Jarosław Szarek i dyrektor Dorota Kalita zdecydowali, by zrobić 12 sylwetek wynalazców polskich, którzy zmieniali oblicze Polski i świata, o czym mało kto wie. Pierwszy na tej liście znalazł się Ignacy Mościcki, wszyscy wiemy, przedwojenny prezydent, wytworny, elegancki, patriota z wielką kulturą reprezentujący Polskę, ale to przede wszystkim niezwykle umysł, naukowiec chemik. Wynalazł i opracował metodę pozyskiwania kwasu azotowego z powietrza. Kontynuując swoje badania dotyczące reakcji tlenu i azotu w łuku elektrycznym z wykorzystaniem wirującego płomienia w polu magnetycznym, skonstruował pierwsze na świecie kondensatory wysokiego napięcia. Wymyślił i opracował aparaty do zabezpieczania sieci elektrycznych przed wyładowaniami atmosferycznymi, piece elektryczne – do produkcji cyjanowodoru z węglowodorów i azotu itd. Autor ponad 40 patentów polskich i zagranicznych, po wyborze na prezydenta RP użytkowanie praw do nich nieodpłatnie przekazał państwu polskiemu. Rozwój światowej cywilizacji wiele zawdzięcza Ignacemu Mościckiemu.

Warto i trzeba docierać do źródeł, na szczęście został wydany pięciotomowy słownik „Polski wkład w przyrodznawstwo i technikę” pod naukową redakcją wybitnego znawcy tematu prof. Bolesława Orłowskiego. Wystarczy czytać i opierać swoją wiedzę na sprawdzonych naukowych dziełach, a wtedy ustrzeżemy się powierzchowności, przypadkowości i błędnych informacji, krzywdzących nie tylko jednostki, lecz i całe społeczeństwo.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Jubileusz

Wyciszą się fety upamiętniające powstanie NSZZ „Solidarność”. Akademickie ku czci, odznaczanie zasłużonych związkowców, telewizyjne koncerty – to wszystko sprawia wrażenie, że oto 40 lat temu powstał potężny, 10-milionowy ruch społeczny, który pokonał komunę. Czy na pewno? A może karnawał wolności zakończył się, zanim się tak na dobre rozpoczął? Może ludowa władza grała na czas? Kilkanaście miesięcy wystarczyło reżimowi Jaruzelskiego do przygotowania stanu wojennego.



**Lech
Makowiecki**

Obrady okrągłego stołu poprzedzone były zastraszaniem, skrytobójczymi mordami i masowym wyrzucaniem tzw. ekstremy Solidarności za granicę – z biletem w jedną stronę. Na tak przygotowanym gruncie zezwolono Polakom na pierwsze „wolne” wybory, w których tylko 35 proc. miejsc w Sejmie mógł obsadzić naród. Kuriozalne wzmocnienie lewej nogi przez prezydenta Lecha Wałęsę (teraz już wiemy dlaczego) doprowadziło do dwóch kadencji Aleksandra Kwaśniewskiego i triumfalnego powrotu lewicy do władzy.

Dziś, gdy niegdyś prominentni komuniści reprezentują Polskę w Parlamencie Europejskim, a partyjni faryzeusze z pogromców „pedałów” (akcja „Hiacynt”) przefarbowali się na tęczyowych wyznawców „dżender”, trwa upokarzająca batalia o podniesienie rent i emerytur zasłużonym związkowcom do poziomu obniżonych (czy na długo?) esbeckich świadczeń. Sowiecka „integracja” zastąpiona została unijnymi próbami demontażu państw narodowych. Groźba finansowego „zagłodzenia” Polski i Węgier jest coraz bardziej realna. I jak to się ma do prawdziwych ideałów pierwszej Solidarności? Do tej wymarzonej wolności, czyli decydowania o swym losie (nie mylić z „wolnością” wyboru płci)? Co z chrześcijaństwem, które jest na Starym Kontynencie brutalnie rugowane? Co z tradycyjną rodziną, którą bezwzględnie dewastują genderowi ideolodzy? Marksistowskie utopie niszczą cywilizację łacińską. Solidarność to nie skansen, wciąż jest nam potrzebna! Dziś chyba nawet bardziej.



Z życia

Kościół

relacjonuje
**Agnieszka
Ponikiewska**

1. Kościół traci swoją pozycję, a jego głos bywa pomijany. Czy da się odwrócić ten trend? Pomóc w tym może nowa encyklika Franciszka „Fratelli tutti”. Papież przypomina, że „wszyscy tworzymy wspólnotę powołaną do obalania murów i budowania mostów”. Zaznacza też, że Kościół jest skierowany „na zewnątrz” po to, by „szukać człowieka” nawet na peryferiach. To wezwanie nie tylko do duchownych, lecz także wiernych, by stać po stronie prawdy i nie bać się przyznawać do Jezusa. Papież wyjątkowo celnie diagnozuje problemy świata i warto wczytać się w jego słowa.

✂ ✂ ✂

2. Mijają właśnie trzy lata, od kiedy 7 października 2017 r. miliony ludzi w Polsce i na świecie modliło się podczas wydarzenia Różaniec do Granic. Modlitwa, która początkowo miała się odbyć jedynie wzdłuż granicy Polski, rozlała się niemal na cały świat. W tym roku wydarzenie będzie miało swoją kontynuację – Różaniec do Granic Nieba, który odbędzie się 1–8 listopada 2020 r. w całej Polsce.

✂ ✂ ✂

3. Episkopat Polski przyjął nowe zasady formacji w seminariach duchownych. W dokumencie podkreślono, że każdy kapłan zawsze powinien się czuć uczniem w drodze, stale potrzebującym formacji, rozumianej jako ciągle upodabnianie się do Chrystusa. Nowością jest uwrażliwienie przyszłych kapłanów na problem wykorzystywania seksualnego małoletnich.

✂ ✂ ✂

4. Zespół Pomocy Kościołowi na Wschodzie zachęca do udziału w akcji „Podaruj znicz na Kresy”. Świadczy ona nie tylko o naszej wierze, lecz również o pamięci o naszych rodakach i patriotyzmie. Akcja prowadzona jest od 14 lat. Jej celem jest troska o to, by na polskich mogiłach na Wschodzie zapłonęły znicze w czasie Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego.

✂ ✂ ✂

5. Caritas Polska ma 30 lat. Rocznicowe uroczystości odbyły się 9 października. Caritas jest największą organizacją dobroczynną w Polsce. Pomaga setkom tysięcy potrzebujących w kraju i za granicą. W 2019 r. jej wydatki na działalność dobroczynną przekroczyły 100 mln zł. Po latach widać wyraźnie, że Caritas Polska jest szybko i skutecznie reagującą organizacją pomocową, która cieszy się zaufaniem społecznym.



JAN POSPESZALSKI

Walka z pandemią usprawiedliwiła uchylenie wielu praw i wolności. Służby sanitarne i policja dostały uprawnienia, by karać tych, którzy łamią wprowadzone obostrzenia. Na ołtarzu zdrowotnego bezpieczeństwa złożyliśmy naszą wolność.

Dzieje się to w kraju, w którym na mocy tzw. kompromisu aborcyjnego, w imię wolności i w imię prawa do komfortu, każdego roku uśmierca się ponad tysiąc polskich obywateli. Wystarczy podejrzenie upośledzenia dziecka i zgodnie z obowiązującymi przepisami, w ramach bezpłatnej opieki zdrowotnej, można dokonać aborcji. Wprowadzenie przed laty do ustawy tego wyjątku, w miarę upowszechniania się diagnostyki prenatalnej, doprowadziło z czasem do ogromnych nadużyć. Ponury bilans za 2019 r. pokazuje, że na 1116 dokonanych tzw. legalnych aborcji przesłanka eugeniczna miała zastosowanie w 1074 przypadkach.

Jednak nie tylko powszechność badań prenatalnych sprawia, że aborcji przybywa. Agresywna propaganda politycznych radykalnych organizacji demoluje sumienia i prowadzi do zmian w postrzeganiu aborcji eugenicznej. Prawo ma siłę kształtowania norm i postaw. Wdrukowanie poczucia, że to, co legalne, jest dobre (powszechnie akceptowane), deprawuje sumienia lekarzy i rodziców.

Nasze miejsce w historii

*22 października zbierze się
Trybunał Konstytucyjny,
by rozstrzygnąć, czy aborcja eugeniczna jest
zgodna z konstytucją. Już teraz na sędziów
wywierane są ogromne naciski*

Zapis jest nieprecyzyjny, umożliwia więc szeroką interpretację, dając ogromną władzę lekarzowi. Aborcję można przeprowadzić, gdy istnieje „duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu”. A więc wystarczy prawdopodobieństwo. To lekarz, często jednoosobowo, określa jego stopień i wyrokuje, jak ciężkie może być upośledzenie i jak bardzo nieodwracalna choroba. Wielu rodziców potwierdza, że w gabinetach lekarskich spotkali się z postawą proaborcyjną.

Relacja matka – lekarz jest niesymetryczna. Postawa lekarza, który stwierdza, że dopatrywał się wad rozwojowych, „ale niech się pani nie martwi, jeszcze zdążymy [cytuje], bo należy się pani aborcja”, sprawia, że matka często ulega sugestijnej propozycji. Zamiast rzetelnej informacji o możliwościach terapii (także prenatalnej), zamiast wsparcia, perspektywa „usunięcia płodu”. Matka, zwykle w ogromnym stresie, nie jest też informowana, że alternatywą dla aborcji jest donoszenie ciąży. Urodzenie ciężko upośledzonego dziecka, nawet gdy nie ma szans na przeżycie, pozwala przy zastosowaniu opieki paliatywnej nadać imię, ochrzcić, a gdy umrze, pochować je z należną każdemu człowiekowi godnością. Następnie (co dla psychiki matki bardzo ważne) opłakać stratę i przeżyć żałobę. Jest też wiele świadectw rodziców, którzy mieli odwagę przeciwstawić się naciskom lekarzy i zdecydowali się przyjąć chore dziecko, które po urodze-

niu okazało się zupełnie zdrowe. Nie zawsze (na szczęście) diagnoza lekarza jest trafna. Zdarza się też, że w okresie płodowym następuje wycofanie się wad.

Dziś stoimy jako społeczeństwo wobec ogromnej szansy. Czekaliśmy na to cztery lata. 22 października (tak się składa, że tego dnia jest liturgiczne wspomnienie św. Jana Pawła) zbierze się w pełnym składzie Trybunał Konstytucyjny, by rozstrzygnąć, czy aborcja eugeniczna jest zgodna z konstytucją. Wszystko zatem zależy od decyzji sędziów. Ale nie tylko. Już teraz wywierane są na nich ogromne naciski. Proaborcyjne lobby podejmuje wściekłe działania dezinformacyjne. Zaroiło się od fake newsów o karach więzienia dla matek, które poroniły, o zakazie badań prenatalnych.

Ale my nie jesteśmy bezbronni. Możemy dołączyć do Nowenny Życia. Od 13 do 21 października (rocznica objawień w Fatimie) w całej Polsce będziemy się modlić, by Duch Święty umocnił sumienia sędziów, aby położyli kres zabijaniu chorych dzieci. Prawo do życia i godność osoby nie może być unieważniona tylko przez wykrycie u nich wad przed urodzeniem. Upośledzone dziecko nie jest intruzem. Osoby z zespołem Downa dzięki terapii funkcjonują społecznie i cieszą się życiem. Szacunek i równość wobec prawa ich też dotyczy. A stosunek do słabszych i bezbronnych określa, kto jest dobrym człowiekiem, i wyznacza, czy Polska będzie po właściwej stronie historii.

Michał Korsun prezentuje:
Dieta Frau Katariny Barley



Wycinki z przeszłości

Wędrowiec. Pismo Tygodniowe Ilustrowane” z kwietnia 1893 r. przynosił opis wyburzania w Berlinie starych ruin, by uczynić miejsce na jedną z cesarskich rezydencji. Czytamy:

„Szereg wspaniałych gmachów zajmie znaczną przestrzeń, na której obecnie rozwalają domy i uprzątają gruzy. Wielka była trudność w usunięciu starej wieży kościelnej, której potężne mury pod



wplywem czasu zeszły się niemal i stawały wielki opór oskarodom, postanowiono tedy użyć druzgocącej siły dynamitu. Ogrodzono miejsce, aby uniknąć wypadku i przystąpiono do

robót. Czynności tej dokonywał oddział pionierów pod okiem oficerów inżynierii; położono ogromny nabój dynamitu pod fundamenta i puszczono prąd elektryczny. Nastąpił straszny wybuch, lecz wieża ani drgnęła. Musiano więc ilość dynamitu podwoić, rezultat nie był lepszy. Na koniec natrafiono na miarę właściwą – stara wieża zachwiała się i runęła. Właśnie rycina przedstawia tę chwilę”.

(mk)

I kiedy złotem paździenika oczarowani...



Leszek Długosz

Dalekie wiosny

– Innych już nie będzie

Jeśli się zdarzą, będą jeszcze dalsze...

– Odległość funkcją jest przestrzeni i zegara

– Umówionej miary

Wszakże tam serca wspomnianie

Gdzie mu się zdaje – centrum, sedno było

– Szczęście w najbliższym zasięgu?

Późniejsze wiosny i jesienie

– Dni tylko zwykłym są księgowaniem

– Biegną, zbiegają po kolei

(Ach, nie tak już, ach, nie tak już

Jak przedtem...)

Lecz... biegną i wbiegają na murawę

Szczęśliwie do gry nowo powołani

Aby po chwili swego apogeum

Na ławce rezerwowych usiąść

W cieniu nieuchronnego zapomnienia

Wiosny zliczając wciąż późniejsze i jesienie

– *Przychodzimy, odchodzimy*

Refren ów podejmując...

Z sercem czy uciszonym?

– *Wolnym od oczekiwania?*

Bóg i oni jedni wiedzą...

– *Szczęśliwcy*

Jeśli na widok blasków dalekiego kwietnia

Zachwytem zdolni są rozjaśnić

Swoje spojrzenia

Jak i gdy złotem paździenika uwiedzeni

Z uśmiechem patrzą

W milczeniu...

– *Z wizją listopada pogodzeni.*

CENNIK

PRENUMERAT*

OKRES PRENUMERATY

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wyobraźnia w szafie

Cenimy sobie Katarynę. Osobiście nigdy jej nie spotkaliśmy, ale czytujemy chętnie, nierzadko się z nią zgadzając. Szkoda, że nie pisuje już tekstów dla tygodnika „Do Rzeczy”, ale do „Plusa/Minusa” również zaglądamy.

Z Katarzyną Sadło tu polemizujemy – wcale nie dlatego, iż swoim publicystycznym pazurem spróbowała osiągnąć prezydenckiego ministra Andrzeja Derę, który powiedział: „Gdyby moje dziecko miało skłonności homoseksualne, na pewno zachęcałbym je, żeby tego nie afirmowało”.

TYLKO DWA POWODY?

Taka rada ojca Katarynie się nie podoba. Oburza ją sprzeciw ojca wobec tego, żeby „dziecko otwarcie mówiło, kim jest i kogo kocha”. Publicystka pisze, iż widzi „tylko dwa powody, dla których można własnemu dziecku doradzać ukrywanie się z tym”. Pierwszy to obawy o bezpieczeństwo dziecka w nieprzyjaznym środowisku. Drugim powodem, „dla którego rodzic może doradzać swojemu dziecku, żeby się ze swoją orientacją seksualną – czyli *po prostu z tym, kogo kocha* – nie obnosiło”, jest wstyd przed tym, co ludzie powiedzą, a nawet jak nie powiedzą – pewnie pomyśla.

Takie powody pewnie faktycznie występują, ale nam nasuwają się co najmniej trzy inne, także poważne.

PRYWATNOŚĆ

Ojciec może po prostu nie chcieć, by jego dziecko afirmowało publicznie homoseksualizm, uznając, że sprawy seksu powinny pozostawać w sferze prywatności. Taka to stara norma kulturowa. Sprawa dobrego smaku.

PSYCHOLOGIA

W dzisiejszej kulturze konsumpcji i pokoleniowego narcyzmu odczuwany przez młodą osobę homoseksualizm



W wymiarze duchowym to błąd Katarzyny najważniejszy, gdyż aktywiści LGBT+ seksualne odmienności próbują uświęcać, przywołując kategorię „miłości”. Nie dajmy się zwieść takiemu pomyleniu pojęć

może być przejawem fascynacji, ekscytacji, poczucia wolności, potrzeby eksperymentowania, chęci bycia „innym”. To może, ale nie musi, mieć wiele wspólnego z miłością. Albo zgoła nic. Nic.

Nawet gdy mamy do czynienia z wrodzonym, silnym popędem seksualnym do tej samej płci, to do prawdziwej miłości w wielu przypadkach może być droga tak daleka, że dla niektórych w ogóle nie do przebycia.

Bycie dzieckiem to okres kształtowania tożsamości, także okres błędzenia polegającego na utożsamianiu przelotnych urzeczeń z wielkim uczuciem.

W wymiarze duchowym to błąd Katarzyny najważniejszy, choć może nie-

przypadkowy, gdyż aktywiści LGBT+ wszelkie seksualne odmienności próbują uświęcać, gdzie tylko można przywołując kategorię „miłości”. Nie dajmy się zwieść takiemu pomyleniu pojęć.

SOCJOLOGIA I KULTURA

Jest jeszcze trzeci powód – z socjologicznej perspektywy może najważniejszy. To postawa, która mówi: jesteśmy przeciwko dyskryminacji inaczej pożądanym (w tym kochającym) i jednocześnie przeciwko afirmacji ich postaw. Dlaczego? Z punktu widzenia ładu kulturowego, jaki uznajemy za dobry i, przeto, godny zalecenia.

Nie wszystkie małżeństwa mają dzieci. Ale z ideą małżeństwa wiąże się zobowiązanie do wychowania swojego potomstwa, czyli, jak przypominał niedawno Bronisław Wildstein, podjęcie się „najważniejszej funkcji społecznej”. Tak, w dzisiejszym zgiełku zapominamy, że nie ma ważniejszej funkcji społecznej niż wychowanie dzieci.

Przecież to proste. Świat LGBT, gdyby stał się powszechną kulturową normą, doprowadziłby ludzkość do samozagłady. A wcześniej do głębokiej degradacji społecznego świata. Świat bez rodziców zdolnych do poświęceń dla swoich dzieci to świat pozbawiony podstawowego źródła ludzkiego ciepła.

Granice – w tym dobrego smaku – w kulturze są potrzebne. Kultura ludzka, dla swojego zdrowia i rozwoju, winna stawiać dwie granice: pierwszą przeciw dyskryminacji środowisk mniejszościowych, drugą przeciw promowaniu wzorców zachowań, które nie nadają się do tego, aby stały się powszechne.

Publicystyka Katarzyny jest niebanalna. Wiele razy wykazała się przenikliwością analityczną, ale tym razem chyba za brakło jej wyobraźni socjologicznej lub – może nieświadomie – dała się zamknąć w ideologicznej szafie genderu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Sieć Przyjaciół



Jacek Karnowski

Redaktor naczelny tygodnika Sieci



Marzena Nykiel

Redaktor naczelna portalu wPolityce.pl

Sieć Przyjaciół zapewnia dostęp
do cyfrowej wersji **tygodnika Sieci**,
magazynu **wSieci Historii**
i artykułów **PREMIUM+** w portalu **wPolityce.pl**

E-PRENUMERATA **SIECI**
TERAZ 50% TANIEJ!

NOWOŚĆ!
DOSTĘP DO TREŚCI PREMIUM+
W PORTALU **wPolityce.pl**

KUP TERAZ: www.SiecPrzyjaciol.pl

DRAP



DRRRRAP KASA WPADA!



Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.